NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM III NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 5

LONDYN M A J 1944

D. W. BROGAN

DUCH POLITYKI BRYTYJSKIEJ*

Hae tibi erunt artes; pacisque imponere morem
Parcere subjectis et debellare superbos.
(*Wirgiliusz*).

W archaicznej francuskiej formule „le roy le veult" król angielski zgadza się na proponowane prawa, które nie mogą wejść w życie bez jego zgody. Jeżeli się tym prawom sprzeciwia, stawia veto w równie archaicznym francuskim powiedzeniu: „le roy s'avisera". Ale dodajmy zaraz, że żaden monarcha angielski nie skorzystał ze swego veta od XVII w., t.j. od czasów królowej Anny i rządów księcia Marlborough. Dzisiaj możność stanowienia praw i przeciwstawienia się im, o ile znajduje się w czyjejś mocy, jest w rękach potomka księcia Marlborough.

Normy prawne ustroju czy konstytucji brytyjskiej sięgają średniowiecza, czasów Henryka II księcia Anjou i Normandii a zarazem króla Anglii; zwyczaje zaś parlamentarne czasów Henryka VI.

W tej mieszaninie starych i nowych zwyczajów, symbolów i rzeczywistości znajdujemy wątek prowadzący nas do istoty angielskiego życia politycznego, t.j. do stosunku pomiędzy polityką Wielkiej Brytanii a politycznym ustosunkowaniem się narodu do zagadnień życia. Trzeba zawsze pamiętać o tym, że polityka brytyjska jest wynikiem politycznego stanowiska narodu a ono nacechowane jest niechęcią do wszelkich krańcowości, do bezkompromisowych sytuacji i rozwiązań.

Wydali Anglicy bohaterów, poetów oraz kilku świętych lecz nie chcą być przez nich rządzeni. Ludzie których Anglicy naprawdę czczą za ich czyny i za sposób w jaki ich dokonali są godnymi podziwu „sub specie aeternitatis" ale też w Anglii

* *Artykuł napisany specjalnie dla „Nowej Polski"*

patrzy się na nich pod innym kątem: „sub specie reipublicae”. Bo Anglia jest rządzona przez polityków, przez nich jest jej polityka określana i objawiany jej istotny duch — a nie przez żołnierzy, świętych czy pisarzy. Oto co Anglicy rozumieją przez rząd parlamentarny i dlaczego patrzą na świat jako odkrywcy tych rządów i władcy politycznych metod. Są umiarkowanie dumni ze swych poetów i żołnierzy i — może nie tak umiarkowanie — ze swych żeglarzy, bo dodajmy że z punktu widzenia angielskiego w popularności z Parlamentem może jedynie współzawodniczyć Królewska Marynarka. Jeszcze do nie tak dawna większość wielkich angielskich admirałów zasiadała w Parlamencie, bądź jako lordowie bądź jako zwyczajni posłowie z wyboru.

Cudzoziemiec nie powinien zawierzyć żartom czy nawet kpinom z politycznego życia jakie napotka w Anglii. Anglia jest krajem w którym polityka jest rozumiana jako rzeczywista sztuka. „Hae tibi erunt artes” — oto najbardziej angielski cytat Wirgiliusza, choć napisany z myślą o Rzymie. Lecz w Anglii Wirgiliusz jest prawie że narodowym poetą.

Dla Polaków, Francuzów, Holendrów, znaczenie tych prawd o politycznym życiu angielskim jest jasne. Brytyjska polityka wobec nich oraz wobec całej Europy będzie taką, jaką ją widzą politycy a politycy równocześnie są twórcami i wykonawcami wewnętrznej woli, nurtującej naród angielski.

Trzeba sobie powiedzieć od razu, że niemal wszyscy Anglicy zdolność politycznego życia uważają za najistotniejszą z zalet społecznych i narodowych. Kultura, piękne obyczaje, świetność wojskowych osiągnięć, są w oczach Anglika zaletami mniej ważnymi, pożytecznymi ale posiłkowymi, istotną zaś i potrzebną cechą w życiu narodu jest to co Cavour nazwał cechą prawdziwego męża stanu, t.j. „le tacte de choses possibles”. Warto dodać, że Cavour był nie tylko najbardziej angielskim z europejskich polityków w XIX w., ale do dziś jest postacią podziwianą w Anglii.

Więzy kulturalne pomiędzy Francją a Anglią, tak samo jak więzy geograficzne między tymi krajami, są bardzo stare i nie do zerwania, lecz jakże wiele szkody wspólnym interesom obu narodów przyniosła wzgarda żywiona w Anglii na widok francuskiej niestałości politycznej! Tennyson, który nie był najinteligentniejszym z poetów, jakże był jednak typowym gdy opisywał „czerwony szał Sekwany”.

Nic nie jest mniej angielskie niż zarozumiałość którą chełpili się, częstokroć falszywie, politycy francuscy że są bezkompromisowi, „intransigeant”. Dla przeciętnego Anglika wydawanie gazety pod nazwą „L'Intransigeant” jest w ogóle zabawne. Literaturę polityczną angielską o wiele lepiej reprezentuje doniosła broszura wielkiego lorda Halifaxa (współczesnego Sobieskiemu) „O pośrednictwie męża stanu”.

To opisanie angielskiego temperamentu politycznego na pierwszy rzut oka wydaje się obraźliwe. Czyżby Anglicy nie mieli poczucia przyzwoitości, poczucia godności i charakteru? Oczywiście że mają i to w bardzo wydatnym stopniu i jedno i drugie i trzecie. Posiadają jednak również żywe zrozumienie ograniczenia, które każda działalność polityczna narzuca przesłankom etycznym, a nawet dobrym obyczajom.

Sir Robert Walpole, jeden z typowych angielskich mężów stanu, który nieuczciwość w polityce znał ale jej nie pochwalał, powiedział o pewnej grupie parlamentarzystów: „wszyscy ci ludzie mają swoją cenę", a przy innej sposobności stwierdził: „w tej Izbie są tylko dwaj uczciwi; Shippen (zwolennik Stuartów) który jest oddany sprawie króla Jakuba i ja który stoję za królem Jerzym, pozostali zaś dbają o siebie samych". Takie zdania wygłaszał polityk, niewahający się nigdy przed użyciem marnego człowieka dla pokonania uczciwego. Czynił tak dla podtrzymania na tronie nierozumnego niemieckiego książątka, Jerzego II., a dla niedopuszczenia pretendenta, którego świetny dziedzic (syn Klementyny Sobieskiej) był księciem Karolem Edwardem, bohaterem z 1745, godnym swych przodków ze strony matki. Było jednak jasnym dla Sir Robert'a że powodzenie tego bohatera zniszczyłoby nowe klasy społeczne arystokratyczno-mieszczańskie, co z takim powodzeniem prowadziły wówczas Europę do nowego świata liberalnej gospodarki i uprzemysłowienia. Dlatego to żadne legendy, żadne bohaterskie czyny, nie mogły naprawić braku logiki politycznej w partii stuartowskiej, co przede wszystkim raziło Walpole'a. Słusznym było, że przed wiekami Cezar zwyciężył Wercingetoryksa, a król Jerzy pokonał króla Jakuba. „Sic fortis Etruria crevit".

Nie znaczy to wcale, że nie trafiają się Anglicy którzy by nie walczyli o przegrane sprawy i nie czuli wstrętu rzeczywistych lub pozornych zdrad. Po ostatniej wojnie pułkownik Lawrence rzucił godności i zmienił nazwisko, protestując przeciwko temu co uważał za zdradzenie Arabów. Pułkownik Wedgwood zniszczył swą karierę polityczną (umarł jako wielce zaszczycony, ale bezsilny par) nieumiarkowanym stanowiskiem, że Anglicy zdradzili Żydów. Gladstone, największy angielski mąż stanu XIX w., rozbił swą partię przedtem zraziwszy wielu ze swych zwolenników a nawet samą królową Wiktorię, przez namiętne potępianie rządów angielskich w Irlandii. Żaden mąż stanu od czasu św. Ludwika nie kierował swym życiem politycznym uczciwiej niż Gladstone, oglądający się zawsze na moralne i religijne zasady. Na końcu swej kariery był krytykowany przez ironizującego przyjaciela nie za to, że nie miał atutów w ręku, lecz za to że mając je, utrzymywał, iż dał mu je Bóg. Tym krytykiem był złośliwy arystokrata francuskiego pochodzenia. Przeciętny Anglik przyznałby Gladstonowi słusz-

ność zarówno, że posiadał atuty polityczne jak również, że wierzył iż dał mu je Bóg.

Kiedy dla poparcia tradycyjnej angielskiej polityki zagranicznej Disraeli, gracz przebieglejszy od Gladstona, starał się uratować Bałkany przed Rosją, mimo okrucieństw tureckich wobec chrześcijan, kierując się koniecznością utrzymania „równowagi sił" — Gladstone uzyskał poparcie społeczeństwa przeciw Torysom. Charakterystycznym objawem opinii był następujący fakt: gdy agitacja z powodu okrucieństw w Bułgarii dosięgła szczytu, w Liverpoolu w czasie przedstawienia „Otella", publiczność stojąc, oklaskiwała wiersz „Turcy zostali pokonani na morzu". Liverpool był i jest ważnym ośrodkiem Torysów ale jest zarazem miastem angielskim oraz był miejscem urodzenia Gladstona.

W wieku XIX, w tym stuleciu optymistycznych wiar, Anglicy uważali że ich instytucje polityczne dadzą się eksportować prawie z tą samą łatwością co ich wyroby bawełniane. Obecnie wiedzą więcej, wiedzą że nie. Lecz nadal czują, że jest to stratą dla świata, który nie umie wypracować ani nawet zrozumieć subtelnego zastosowania wolności i autorytetu, podporządkowania się i swobodnej krytyki tej drugiej natury Anglika. Anglicy nie pochwalają tyranii żadnego rodzaju, zwłaszcza tyranii bezużytecznej, niewymiernej, wyrastającej ponad ich zmysł polityczny. Zobaczyli oni ostatnio tragikomiczne uzasadnienie swej niewiary w system dyktatur, patrząc na kastastrofę pyszałkowatego systemu Włoch.

Anglicy wierzą, że wolność tak samo jak prawo podnosi naród. Widzą zarówno złe jak dobre strony wolności i nie wierzą aby ona tak jak ją rozumieją i cenią, była do osiągnięcia na innej drodze jak tylko na drodze uregulowanej normami prawa. Wiedzą także, że tego rodzaju życie polityczne wymaga poświęceń.

W wyższych warstwach społeczeństwa angielskiego panowało przed rokiem 1914 wzburzenie z powodu polityki ówczesnego rządu „paktowania z buntownikami" w Irlandii. Istniało niebezpieczne podłoże do wrzenia i rokoszu lecz po niesławnych próbach spojrzano przytomnie na proste fakty. Irlandia nie tylko nie mogła być utrzymana ciągłym przymusem militarnym w granicach Imperium Brytyjskiego, ale przymus ten czynił coraz trudniejszym utrzymanie instytucji parlamentarnych w Anglii samej. Wszystkie instytucje bowiem w tym kraju istnieją po to aby utrzymać zasadnicze cechy angielskiego ustroju.

Taki pogląd przejawia się nie tylko w klasach rządzących. Wielka siła państwa angielskiego leży w ścisłym związku rządzących z rządzonymi. „Senatus populusque Anglicanus" sterują Anglią. Dzisiaj jest ów lud angielski zmęczony wojną a równocześnie jest pełny podziwu dla militarnych osiągnięć

Rosji. Ale mimo swych sympatii socjalistycznych, nie daje się zwieść przez wolnościowe hasła sowieckiej propagandy. Z drugiej zaś strony lud angielski dba mniej o samą niepodległość, natomiast bardziej troszczy się o wolność ustrojów politycznych. Dzieje się to dlatego że Anglicy nie zaznali nigdy (za wyjątkiem krótkiego okresu w latach 1940 i 1941) uczucia, które wzbudza utrata czy nawet możliwość utraty niepodległości. I bez dostatecznej znajomości sprawy, ale nie nieuczciwie lub nieszlachetnie, patrzy Anglia na przyszłą Europę wolnych społeczeństw, która nauczy się ładu wolności i oprze pokusom gwałtu. Jest w tym pewien naiwny sposób patrzenia który doprowadza do rozpaczy umysły bardziej krytyczne.

Anglicy nie mają zrozumienia dla zadawnionych namiętności historycznych albowiem naprawdę posiadają bardzo złą pamięć historyczną, skłonni przebaczać swoim przyjaciołom i wrogom. Kierują się przy tym pewną trudną do bliższego określenia dobrotliwością, doprowadzającą czasami do szaleństwa. Ale przecie charakter angielski jest godny podziwu chociaż bywa irytujący.

Anglicy są narodem mało podatnym na głos obcej opinii. Z chwilą gdy Anglia coś postanowi trwa przy tym niewzruszenie, a dzieje się to dlatego że przy podejmowaniu decyzji ważną rolę odgrywają zasady moralne, to jest te zasady które Anglicy uważają za rozsądne i do zastosowania w polityce, w świecie takim jaki jest. Dla takich zasad Anglia zwykła walczyć i wygrywać wojny; natomiast zasady które nie mają szans zwycięstwa bada bardzo krytycznie, bardzo ostrożnie.

Jak powiedziałem Anglicy znający lepiej stosunki, myślący bardziej po europejsku, mogą żałować że tak się dzieje i próbować zatarcia tej niezręcznej prawdy. Cóż kiedy społeczeństwo nie wierzy swym rzeczoznawcom, urzędnikom, dyplomatom czy specjalistom. „Zadaniem ministra jest aby przekazał urzędnikowi do wykonania to co społeczeństwo może znieść. Gdybyś Pan chciał rządzić krajem na nikogo się nie oglądając w sześć miesięcy zabrakłoby latarni aby Pana powiesić" — tak powiedział wybitny radykalny minister pięćdziesiąt lat temu i miał słuszność. Radykałem był Sir William Vernon Harcourt, pochodzący z Stanton Harcourt w hrabstwie oxfordzkim, ze starożytnej—bo od 1066 roku istniejącej — rodziny magnackiej. Jej głównymi miejscowymi rywalami stali się młodsi genealogicznie Churchillowie.

Takimi bywają ludzie z arystokracji, których Anglicy słuchają. Zdarza się również, że słuchają ludzi z ludu. Tak słuchali Artura Greenwooda, przemawiającego „w imieniu Anglii" dnia 2 września 1939 roku, a żądającego aby Anglia przyszła z pomocą narodowi polskiemu, lecz nie wysoce niepopularnemu ówczesnemu rządowi polskiemu. Naród angielski walczy

jedynie dla spraw które interesują zarówno Churchillów jak i Greenwoodów, dla spraw które wydają mu się zarówno sprawiedliwe jak rozsądne.

Tylko na krótki okres czasu, ponuro i niechętnie, Anglicy mogą godzić się z tryumfami, jakie uważają za niesłuszne. Monachium było tego przykładem. Mogą z drugiej strony sympatyzować z powabnymi a przegranymi sprawami; wiele z nieoficjalnej historii angielskiej wskazuje na to. Polityka państwa angielskiego jednak musi być oparta na zasadach, które poruszają zarówno inteligencję rządzących jak i serca rządzonych. Te zasady zaś nie mogą ubliżać ani poczuciu moralności, ani nie mogą być niezrozumiałe dla politycznego zmysłu narodu, gdyż inaczej nie będą przyjęte i wykonane z tą determinacją jaka zapewnia zawsze Anglii zwycięstwo.

Bo we wszystkich wielkich wojnach w których brała udział, Anglia zwyciężała, wyjąwszy jednej, a w tej miała przeciwko sobie nie tylko armie i floty, lecz przede wszystkim swe własne zasady polityczne wyłożone w Deklaracji Niepodległości, i miała przeciwko sobie swych własnych synów, przekonanych że historia musi być zmieniona i że trzeba stworzyć nowy świat mimo wszystkich obaw i nienawiści rewolucyjnych wewnątrz i na zewnątrz Ameryki. I stało się że dwukrotnie w ciągu historii tryumfujące zasady z roku 1776 wysłały wojska amerykańskie za morza w obronie własnej i w obronie państwa angielskiego.

Podstawową tradycją angielską w polityce, ważniejszą od zwykłych obrządków, jest umiejętność spojrzenia w oczy faktom. Jest to stosowanie maksymy największego angielskiego myśliciela-teologa, biskupa Butlera: „Sprawy i czyny są tym czym są, zaś ich następstwa będą tym czym będą; dlaczegóż więc mamy sobie życzyć aby spotkał nas zawód?"

* * *

Denis Brogan, Profesor Nauk Politycznych Uniwersytetu w Cambridge urodził się w Glasgow jako syn Irlandczyka znanego ze swych narodowych i rewolucyjnych tendencyj i Szkotki, jest więc Brytyjczykiem, a nie Anglikiem. Wuj jego jest biskupem katolickim.

Studia swe Profesor Brogan ukończył na uniwersytecie w Oxfordzie, jako stypendysta fundacji Shella które to stypendium uniwersytet w Glasgow przyznaje najzdolniejszemu studentowi celem umożliwienia dokończenia studiów w Oxfordzie. Jednym z tych stypendystów był w osiemnastym wieku sławny ekonomista szkocki Adam Smith.

Już w czasie swych studiów uniwersyteckich Denis Brogan specjalizował się w historii nowożytnej Francji i Stanów Zjednoczonych, a po uzyskaniu dyplomu spędził lat kilka w obu tych krajach. Owocem studiów odbytych w tym czasie są dwie książki: „The Development of Modern France" i „The American Political System", uznane za klasyczne opracowanie w tych dwóch dziedzinach. Inną znaną jego książką jest „The English People". Przeznaczona przede wszystkim dla czytelników amerykańskich, zdobyła sobie wielką poczytność i w Anglii.

Profesor Brogan oświetla problemy polityczne zwracając uwagę na myśli, wierzenia i uczucia ludzi prostych. Dewizą jego jako uczonego jest „Nic ludzkiego nie jest mi obce".

Profesor Brogan pisuje często do prasy periodycznej na tematy polityczne, historyczne i literackie. Poza tym jest znakomitym znawcą Marcela Prousta. *(Red.)*

STANISŁAW BALIŃSKI

Antoniemu Słonimskiemu

POGANIN

Z całą swą rezygnacją, z całym niedosytem
Nadziei, zaprawionej nadto gorzkiem winem,
Czemże jesteś, wędrowcze, goniący za świtem,
A zapatrzony w zmierzchy, — jak nie poganinem.

Twoje bóstwa rozbite. Twój Bóg niewidomy
Odszedł cię, zapomniawszy zdradzić sekret siły.
Z jakiem słowem wędrujesz? W jakie dążysz strony?
I czego się spodziewasz po swych pieśniach, miły?

Poganin:
Moje bóstwa rozbite. Mój Bóg dawno oślepł.
Nie spodziewam się, bracie, od ludzi niczego.
Nie idę w żadną stronę, lecz idę naoślep,
Między skałą dobroci, a przepaścią złego.

Nocą śpię pod kamieniem. I myślą zuchwałą
Ogarniam noc, co błyszczy od serca goręcej.
Nic po nas nie zostanie, prócz tych gwiazd nad skałą
I wiatrów nad przepaścią. Czegoż pragnąć więcej.

MARIA PAWLIKOWSKA

WRAŻENIA

Stary kościół — kamienna korona
W drzew obrębie, w oparów smudze...
. . . .
Dolo moja niewydarzona,
Jakie to wszystko cudze!

Domostwo z surowej cegły,
Bluszczem obrosłe podwoje —
Z powitaniem, psy ku mnie podbiegły —
Serdeczne, ale nie moje.

Służące: Phylis, Rebeka —
Golf: aksamitne boisko —
Jakie to wasze wszystko!
. . . .
Ja zaś jestem z bardzo daleka...

O zmierzchu, domowe ognisko
W marmurowym, czarnym kominie
Zapłonie jak bukiet chryzantem.
Zgromadzonej przed nocą rodzinie
Radjo zagra „The National Anthem" —
O jakież cudze to wszystko.

Na ileż lat szczęścia liczycie?
Powiedzcie. Ja was nie straszę,
Nie pouczam was, czem jest życie.
. . . .
Jakie to wszystko w a s z e !

Lecz te głogi kwitnące, bezpańskie,
To niebo w kałuży, jak w blasze,
Ten wiatr na umarłą nutę,
Ten trakt daleki, ten smutek,
Rosy, kolce,
To już nietylko wasze,
To już i moje, cygańskie,
Cygańsko — polskie...

ZWYKŁE MATCZYSKO

Matka Grachów? Rzymska matrona?
„Propagandowe" nazwisko?
Nie, to tylko dobroć wcielona,
Zwykłe matczysko.

Wielkość mało dla niej stanowi.
Do szczęścia jej nie wystarczy.
Nie ona to rzekła synowi
„Z tarczą albo na tarczy!"

Mocna nie jest. Wzdycha i płacze
Nad poniżeniem jednostki,
Nad dzieckiem swojem tułaczem,
Nad zagadką wyroków boskich.

Lecz za każdą jej łzę spada pocisk!
Za westchnienie — dymi rumowisko!
I cóż na to anioł dobroci?
Płacze dalej i oto wszytko.

Lecą światem rikoszetów echa,
Płoną gniewy i odwety męskie —
Któżby z panów zemsty poniechał
Zemsty z Bogiem lub przeciw Bogu?
Wiktorje stają u progu —
A tu tylko matczysko tęskne.

Władcy wojny prowadzą. Stać ich
Na ofiary ku przyszłym chwałom!
Ale matka za to wszystko zapłaci,
Jeśli syn jej nie powróci cało...

KŁOSY NA NIEBIE

Duszo poety, cicha, głodna pokłośnico,
Coś wyszła na pokłosie o blasku księżyca,
Stój! Oto reflektory ścielą się po niebie
Jak srebrne kłosy na ziemi...

Nie twój plon, głodna duszo,
nie twój kłos, Noemi!
Zejdź z tych pól, pochyl głowę i nie patrz za siebie...

ANTONI SŁONIMSKI

SYKSTYNA

Jeszcze nie minął dzień stworzenia,
Kłębią się wiry nad otchłanią,
Gdy jeszcze z niebios nie spadł na nią
Rozcinający miecz promienia.

Adam wilgotnych, ciężkich powiek
Jeszcze nie podniósł nad głębiny,
I nie podźwignął pierwszy człowiek
Tej ręki, — którą znasz z Sykstyny.

Bóg skryty jeszcze w lotnej chmurze,
Z plafonu spada w rzut poprzeczny,
A już na przeciwległym murze,
Sąd boży rośnie ostateczny.

Jeszcze bezgwiezdna huczy sfera,
A już dźwigając się z otchłani,
Znów z aniołami Lucyfera
Niebios sięgamy zbuntowani.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

MARGRABIA WIELOPOLSKI

IV. ZWYCIĘSTWO I KLĘSKA

Od paru dziesięcioleci Petersburg był dla Polaków groźną Mekką caryzmu, panującą zza mgieł północnych, dworskich assambli i kawalergardzkich parad nad ich krajem. Tam spędził swe lata niewoli Tadeusz Kościuszko, swą starość Stanisław August, odnosił pierwsze tryumfy Mickiewicz a obecnie jeszcze dogorywał tajemniczy więzień stanu Walerian Łukasiński. Jednocześnie wszelakie Telimeny, a poza tym Wielhorscy i Chreptowicze, następcy i dziedzice Targowicy, rozkochani może nie w Rosji ale na pewno w caracie reprezentowali na salonach Polskę w nieco podobny sposób jak książęta Mingreli czy Mdivani Kaukaz, a skośnookie emirzęta lenne chanaty Chiwy i Buchary. Petersburg był połączeniem grozy i możliwości, wykwintu i barbarzyństwa, mocy i melancholii. Ludzi po których wczoraj zajeżdżała dworska karoca mogła jutro wywieźć daleko policyjna kibitka. Na tronie carskim zbyt często syn wariat zasiadał po genialnej matce, brat żandarm po bracie mistyku, syn „liberał" po papie stupajce. I nawet przedział generacyj jeszcze tego nie zmieniał, bo „liberał" mógł na starość zakrzepnąć w tyrana, a tyran mógł w sobie odkryć na starość nikłe nitki „liberalizmu". Teraz był Aleksander II-gi i on to niebawem, po kanclerzu Gorczakowie—(kuzynie zmarłego w maju namiestnika) — przyjął na dłuższej audiencji Wielopolskiego. Był to bodaj ich pierwszy osobisty kontakt. Car wysłuchał długiego raportu, podobnie jak sliedowatiel w bliższych nam czasach wysłuchiwał opowiadania. Wielopolski uderzył w jedną stronę rządów w Królestwie; w system wojskowy. Przed oczy cara który pozował na liberalizm, który chciał być Europejczykiem, jeździł do Erfurtu, Stuttgartu, Paryża, Londynu, przedstawiał sceny batożenia

panien „z dobrego domu" przez Baszkirów lub Kozaków, jawnych złodziejstw na wysokich szczeblach, wpadania do kościołów podczas nabożeństw. Cytował daty, fakty, nazwiska. Mówił o tym nie jako o krzywdach Polski, ale jako o błędach regime'u. Car słuchał. Władcy Rosji, niezależnie do jakiej należą dynastii, nie lubią mieć złej prasy na Zachodzie, choćby nie wiedzieć jak gardzili Zachodem. Car wiedział że te, takie i tym podobne rzeczy są powtarzane echem przez gazety francuskie, angielskie, belgijskie, że tych kilkanaście tysięcy polskich emigrantów jakich wygnał na Zachód rok 1831 przynajmniej jednego dokonało w toku swego zmarnowanego żywota: zohydziło światu Rosję. Nim oni nie przyszli młode imperium Romanowych było opromienione sławą mądrości Katarzyny Wielkiej, przyjaciółki Voltaire'a i Diderota, sentymentalnym liberalizmem Aleksandra Pierwszego, świetnymi zwycięstwami Suworowa, Kutuzowa, Bargrationa. Europa była wdzięczna Rosji za to że miecz rosyjski skruszył na białych polach Rosji ówczesnego Hitlera. Tymczasem w kilkadziesiąt lat później Rosja stała się krajem znienawidzonym, pogardzanym i ośmieszanym. Pewno że sama polityka reakcyjna Mikołaja sprawiła tę zmianę: ale niemało przyczynili się do niej i rozsiani wszędzie po 1831 roku polscy emigranci którzy pisaną i ustną propagandą ukazywali Rosję od strony wyrazów jakie Zachód od nich się uczył: *knut*, *kibitka*, *ukaz*, *kozak*, *zsyłka*, *Sybir*. Teraz, słuchając Wielopolskiego, car wiedział, że wszystko co mu mówi ten Polak będzie jutro w gazetach angielskich i francuskich, jeśli już nie jest w nich dzisiaj. Car wiedział, że jeśli ten system i ci ludzie będą dalej rządzić wojskowo Królestwem, to propaganda antyrosyjska będzie miała wieczny materiał do wykorzystania. A Wielopolski mówił: usuńcie wojsko rosyjskie od rządzenia, wprowadźcie polskie rządy cywilne, będziecie mieli spokój.

Ludzie rządzący Rosją rzadko dają odpowiedzi na samych audiencjach. Może jeden Stalin jest tego wyjątkiem ze swymi błyskawicznymi decyzjami. Car pożegnał margrabiego bez wyraźnej odpowiedzi. Ale z Rosji nie wyjeżdża się łatwo. Wieloposki pozostał w Petersburgu formalnie dla zreferowania w Radzie Państwa projektu swych reform. Reformy te tymczasem uwięzły w innym ciale opiniodawczym: w owej stworzonej właśnie, a raczej wskrzeszonej tylko, warszawskiej Radzie Stanu. Prezydiował tam teraz namiestnik, generał Lüders, zapamiętały wróg Wielopolskiego, który właśnie Lüdersa najczarniej osmarował przed carem: zasiadało w nim paru biurokratów rosyjskich czy zruszczałych, dla których Wielopolski polszczący urzędy był oczywiście wrogiem numer jeden. Toteż utrącali jak mogli jego projekty reform. Zamiast jednolitej szkoły chcieli wprowadzić podział narodowościowy w szkolnictwie Królestwa, traktując osobno Polaków, Żydów i Niemców, a zatem wytworzyć trójnarodowość, niczym dziś Frank w Generalnym Gubernatorstwie. Najskuteczniej zsabotowali projekt ustawy o zniesieniu pańszczyzny, właśnie wprowadzany w życie. Obalili go wprost. Wielopolski w odpowiedzi podaje się raz jeszcze do dymisji z obu tych stanowisk jakie posiadał w rządzie Królestwa: wyznań i oświaty oraz sprawiedliwości. 7-mego grudnia car „przychyla się" do tej prośby i daje margrabiemu dymisję, z jednoczesnym powołaniem go do owej Rady Stanu oraz z błękitną wstęgą jednego z wysokich orderów jaki aż do przedwiośnia 1917 roku mieli nadawać carowie rosyjscy. Musiała ona przypominać panu z Chrobrza niejeden portret rodzinny, pamiątki zamarłej przeszłości i smutną teraźniejszość. Na carskim orderze widniały bowiem łacińskie litery napisu „Pro fide, rege et gregae" oraz orzeł, ani barwą ani kształtem nie przypominający czarnego bizantyjskiego orła Romanowych. Był to order Orła Białego.

Bardzo często ci co chcą nam zaszkodzić właśnie nam najwięcej pomagają; skargi generalicji rosyjskiej na Wielopolskiego pomogły mu

najwalniej tym właśnie wezwaniem do Petersburga. Petersburg chciał wiedzieć kim jest ów Polak którego zachwalał zmarły namiestnik Gorczakow, a nienawidzili jego następcy, ten Polak na którego szły nieustanne donosy że jest ucieleśnieniem mickiewiczowskiego Wallenroda i wprowadza w życie, przeciwko Rosji, tamten sen poety. Toteż pierwszym uczuciem w stosunku do „margrafa" była ciekawość. Nie tylko cesarz był ciekaw. Ciekaw był i kanclerz Gorczakow i minister Wałujew i prezes rady państwa stary Bludow, ciekawi byli — (jak ongi Kościuszki, choć inaczej) — wielcy książęta i wielkie księżne, ludzie polityki i ludzie opinii. Wreszcie ciekawym był korpus dyplomatyczny. Sprawa polska stawała się właśnie na nowo sprawą dyplomacji światowej, jak była nią w roku 1830, lub za wiedeńskiego kongresu, albo później, w 1920, albo jeszcze w tragicznej chwili kiedy wystukujemy te litery. Na chwilę, nie na długo, gdzieś po jednych rzeziach armeńskich a nowych awanturach hiszpańskich, ale była. W raportach, w szyfrach, w sprawozdaniach prasowych było pełno o Polsce: znudzeni śmiertelnie dyplomaci musieli naraz uczyć się gdzie leżą Suwałki, co to była Unia Horodelska, co to są ci Unici, i jakie są szanse na otwarcie zamkniętych w Warszawie kościołów? W kraju Polacy wiedzieli o tym zainteresowaniu i serca ich wzbierały nadzieją: sprawa polska wypływa więc znowu, tym razem zawinie do portu! Byli oczywiście przekonani, że dyplomaci Zachodu myślą tylko nad tym jak stworzyć, wzorem Włoch niepodległych czy Grecji, niepodległą Polskę. Oczywiście mylili się bardzo. Właśnie najżyczliwsi Polsce dyplomaci myśleli — w jej interesie —o tym aby ją możliwie najdogodniej pogodzić z Rosją. Wielopolskim musieli się zainteresować. Wielopolski był bowiem przedstawiany zgodnie jako jedyny Polak który wyznaje ten program. Dzięki niemu sprawa polska może zejść z martwego punktu w jakim znajduje się obecnie, może przestać zatruwać stosunki międzynarodowe, zaprzątać Korpus Dyplomatyczny unitami i Suwałkami. Jest to Polak kompromisu.

Poprzez długie dziesięciolecia utrzymywała się legenda o olbrzymim szarmie towarzyskim któremu Wielopolski zawdzięczał to, że znad Newy dokąd jesienią wyjechał potrosze jak zesłaniec, powrócił do Warszawy wiosną nieomal jak dyktator. Istotnie, ten człowiek w tym środowisku mógł i umiał czarować. Z nazwiskiem, z manierami, łączył dużą kulturę osobistą, głębokie wykształcenie, wysoką inteligencję. Należał jeszcze do owych pokoleń z XVIII wieku ród wiodących u których wykształcenie nie zionęło profesorską nudą, a salonowość nie pokrywała się z bubkarstwem. Niezawodnie tym właśnie jednał przede wszystkim kobiety, jak ongi panią Pankratiew, córkę namiestnika Gorczakowa, jak piękną i wpływową panią Calerghi, a teraz narwaną i czynną Antoinettę Bludow i wielce wpływową w.ks. Helenę. W Petersburgu, jak w niejednej ówczesnej stolicy, salony były potęgą. (Miały nią pozostać aż do ostatnich dni monarchii, a ostatnim ich ulubieńcem i protegowanym miał być, znany nam nieco inaczej niż margrabia, Grisza Rasputin.) Otóż salony Wielopolski podbił. Ale cały szarm osobisty nie ważył ani wtedy, ani potem, tyle ile sobie niejeden z polskich czarusiów wystawia. To co decydowało były poglądy. I otóż zarówno ambasador brytyjski, Lord Napier, jak i francuski, Fournier, byli po paru tygodniach nie mniejszymi popleczni-kami Wielopolskiego jak Bludow i Rosjanie z dyplomacji. W tym samym czasie Austriak hrabia Thun stał się jego petersburskim wrogiem, a przedstawiciel Prus zaniepokoił się mocno. Ów przedstawiciel Prus nie był to byle kto. Niebawem miał opuścić Rosję i rozpocząć swoją wielką historyczną karierę, związaną na zawsze ze wspomnieniem Sedanu, jeszcze bardziej Wersalu, z utworzeniem niemieckiego cesarstwa i z nazwą, jaką mu dano, „żelaznego kanclerza". Nazywał się Bismarck.

Tajemnicy dlaczego naraz ów dymisjonowany Polak zainteresował tak żywo petersburski korpus dyplomatyczny należy szukać w polityce tych

państw. Wielka Brytania w owym czasie nie szukała zadrażnień z Rosją. Przeciwnie, była zwolenniczką pokoju. Nie podniecała też w żaden sposób kwestii polskiej. Przy swej zwykłej skłonności do kompromisu i postępu patrzyła z zadowoleniem na liberalizowanie się i europeizowanie Rosji, z niechęcią na jej nawroty reakcyjno-samodierżawne. Uwłaszczenie włościan, łagodny kurs w stosunku do Finlandii i Polski, popuszczenie cugli w samej Rosji, oto były rzeczy które lord Napier, prasa brytyjska i rząd Jej Królewskiej Mości królowej Wiktorii pochwalał, jeśli mógł. Wprawdzie byli w Anglii równie namiętni jak nieliczni zwolennicy sprawy polskiej, obsyłający parlament protestami i wołający o Polskę w granicach 1772 roku (nie zawsze wiedząc co ta data terytorialnie oznacza), wprawdzie aż dwanaście miast angielskich w tym m. innymi i Cupar—miało pisać niebawem do Izby Gmi ; ale poważna polityka brytyjska tak daleko nie szła. Była natomiast skłonna pomagać Polsce w uzyskaniu większych czy mniejszych ustępstw. Wielopolski który szedł na porozumienie z Rosją miał więc z tej strony wiatr w swe żagle. Miał je i z francuskiej. Fournier był roztropnym dyplomatą mglistego Napoleona III-ciego. I wtedy i potem miał on stawiać na porozumienie francusko-rosyjskie. Fournier wiedział, że na drodze do tego porozumienia tkwi stale, jak cierń, sprawa polska, że polska emigracja we Francji psuje mu i tak trudną robotę, a każda wieść o zamieszkach w Warszawie jeszcze ją bardziej uniemożliwia. Fournier był nieraz pomawiany przez Polaków o nieżyczliwość Polsce. W istocie był lepszym przyjacielem Polski niż wielu innych Francuzów którzy w tym czasie bądź z lekkomyślności, bądź gorzej, dla własnej francuskiej gry, pchali Polaków przeciwko Rosji, zagrzewając ich do oporu, choć wiedzieli dobrze że Napoleon III-ci jak przyjdzie co do czego zostawi Polaków na lodzie. Fournier nie obiecywał Polakom tego w imieniu Francji czego Francja i nie chciała i nie mogłą im dać. Ale Fournier nie odwracał się też z całym cynizmem od Polski jak to później robili ministrowie spraw zagranicznych francuskich z parnych lat przed pierwszą wojną światową. Fournier chciał także kompromisu. I znowu w interesie porozumienia francusko-rosyjskiego musiał popierać Wielopolskiego. Tak samo w dyplomacji rosyjskiej pozyskiwał Wielopolski aliantów. Dlaczego? I to nie jest tak wielką zagadką. Dyplomaci rosyjscy mieli już dosyć tych ciągłych kwasów jakie wywołuje na Zachodzie zachowanie się rosyjskich czynowników w Królestwie. Wiedzieli oni, że reformy w Warszawie będą miały „dobrą prasę" na ich placówkach, a stan oblężenia czy zamykanie kościołów wywiera przeciwnie najfatalniejsze wrażenie. Tak carski M.S.Z. był przeciwko carskiemu M. S. Wew.

Nieprzyjaźń jaką okazywał za to Wielopolskiemu ambasador austriacki hrabia Thun była niemniej cenną jak przyjaźń angielska i francuska. Austria była mocno niepopularna nad Newą. Pamiętano jej „niewdzięczność" za rok 1848, kiedy Rosja dławiąc powstanie węgierskie ratowała koronę Habsburgom, wytykano jej że u schyłku wojny krymskiej stanęła przeciw Rosji, niemiłym był jej katolicyzm, pogardę wzbudzała słabość. A wreszcie prądem podskórnym jaki nurtował w Rosji był właśnie panslawizm. Pisarze, doktrynerzy, młodzież, armia i cerkiew byli pełni litości nie tylko dla braci Serbów, ciemiężonych przez Turków, ale jeszcze i dla braci Czechów, a także braci Słowaków i braci Rusinów i braci Chorwatów i wielu innych jeszcze braci których ciemięży katolicki Niemiec z Wiednia. (Zjazd praski Słowian w burzliwym roku 1848 nie pozostał, jak widzimy, bez echa.) Ten panslawizm miał dla Polski swoje niebezpieczeństwa i swoje nadzieje. Niebezpieczeństwa, bo zmierzał przecież do „zlania wszystkich słowiańskich rzek w jedno rosyjskie morze": nadzieje, bo — zdawało się — że głosiciele słowiańskiej idei nie mogą przecież tępić do spółki z Germanami jednego z czołowych słowiańskich narodów. Wiatr słowiański dął więc częściowo w żagle Wielopolskiego,

ale nieraz zwracał się przeciwko niemu. Dlaczego? Bo Wielopolski sztandaru słowiańskiego wyraźnie nie rozwinął. Prawda, był jego list do Metternicha, był jego udział w zjeździe praskim, był panslawizm jego szwagra i o panslawizm pomawiali go jego wrogowie w Polsce. Ale Rosjanie wiedzieli, że w Polsce się bardzo chętnie przylepia ludziom poglądy których nigdy nie wypowiadali,i wiedzieli, że Wielopolski nie wypowiada się zbyt jasno w tej sprawie. Mamy zbyt mało materiału w ręku by odpowiedzieć i na to pytanie czemu zachowywał tę rezerwę. Może odegrały tu rolę względy zasadnicze. Panslawizm był antykatolicki: Wielopolski był zagorzałym katolikiem, panslawizm był antyszlachecki; Wielopolski czuł się mocno szlachcicem, panslawizm chciał Polskę — wprawdzie w dalekiej przyszłości — roztopić w słowiańskim morzu; Wielopolski chciał odbudować w Polsce polskie państwo. Panslawizm wreszcie kultywował w Rosji pogardę do „zgniłego" Zachodu; Wielopolskiego całe jego wykształcenie trzymało z tym Zachodem. Bliskim był mu nie Puszkin, ale Goethe, nie Samarin a Hegel, nie Kołomna, ale Getynga. Synów wychowywał w śląskim Wrocławiu, a nie w Korpusie Paziów. Byłoby to dość wiele racyj. Ale poza tym były racje taktyczne. Może niemniejsze niż tamte.

W ciągu obecnego opowiadania już nieraz potykaliśmy się ze strony Rosjan o nazwiska niemieckie, takie jak Lüders, jak Kruzenstern, jak Hube, a było ich jeszcze więcej i w Warszawie i w Petersburgu. Dwór, armia, dyplomacja, administracja była pełna zruszczałych Niemców. Jedni przyciągnęli z głodnych Niemiec nażreć się rosyjskiego kołacza, inni byli to dumni baronowie bałtyccy. Żony cesarzy od pokoleń były Niemkami. Prąd słowiański dopiero zaczynał podmywać ten stan rzeczy i aż do upadku nie zdołał go podmyć ostatecznie. Wielopolski liczył się z tym. Miał zby wiele wrogów by szukać jeszcze jednej wojny. Za to tam właśnie poszukał sobie aliantów. Był spokrewniony z Meyendorfami, z Nesselrodami, miał protektorki w Niemkach wielkich księżnach. Wolał wygrywać tutaj swój arystokratyczny kosmopolityzm, niż antyniemiecką słowiańskość. Nie mówił o Poznaniu ani o Śląsku, choć wiemy że kiedyś o nich myślał gdy nie myśleli inni. W rezultacie mniej sobie pozyskał słowianofilską opinię, za to znacznie bardziej miarodajny, dworsko-dyplomatyczno-urzędowy Petersburg. Toteż już z początkiem roku 1862 święcił pierwsze sukcesy. Ponoć pierwszym z nich była głośna scena w dniu Nowego Roku kiedy w Pałacu Zimowym Aleksander II-gi przyjmował życzenia. Wielopolski nie zajął wtedy miejsca wsród administracji i dygnitarzy rosyjskich do których przynależał jako członek Rady Stanu, ale podrałował najspokojniej w szeregi posłów i ambasadorów państw obcych. „Reprezentuję tu króla polskiego u rosyjskiego cesarza" miał rzec — wedle anegdoty — ochmistrzowi dworu. „Gordyj Paliak" postawił na swoim i owego jednego jedynego Nowego Roku w czasie całego stulecia przedstawiciel nieistniejącej Polski figurował obok posłów Wielkiej Brytanii, Francji, Holandii, Hiszpanii. Anegdota dotarła do Warszawy, a że Polacy lubią tylko gesty więc naraz jakimś łaskawszym okiem spojrzano na margrabiego. Rosyjscy biurokraci nad Wisła, którzy jak szarańcza poleźli na stanowiska które opuścił, ponownie przykucnęli z wrażenia.

* * *

Niebawem miało się okazać, że wpływ Margrabiego nie tylko nie zamarł nad Newą, ale dopiero rozkwita. Przede wszystkim przeprowadził on nominację nowego arcybiskupa warszawskiego. Było to walne zwycięstwo. Ze swym programem odsunięcia Kościoła od polityki Wielopolski stał się w zeszłym roku wrogiem numer jeden dla polskiego duchowieństwa, i schorzały arcybiskup Fijałkowski, równie zacny co mierny, udrapował się w ostatnich mięsiącach swego życia na nowego Stanisława Szczepanowskiego gotowego umrzeć za wiarę z rąk nowego Bolesława Śmiałego, jakim

w tej teatralnej charakteryzacji miał być Margrabia. Kiedy zmarł ruch narodowy wykorzystał jego pogrzeb dla demonstracji z tym samym zamiłowaniem do żerowania na pogrzebach z jakim czyniono to w Polsce nie tylko w owych czasach. Jego tymczasowy zastępca, zacny ksiądz Białobrzeski, był jeszcze bardziej w ręku nastrojów ulicy i młodzieży, co wszystko zakończyło się zamknięciem kościołów dla ludu, a Białobrzeskiego w cytadeli. Teraz chodziło o następcę. Miał on otworzyć kościoły, uspakajać wiernych, prowadzić duchowieństwo. W tak religijnym i w dodatku podnieconym społeczeństwie była to jedna z kluczowych pozycyj. Toteż i kapituła warszawska i rosyjska władza wystąpiły z kandydaturami. Pierwsze z nich byłyby doskonałe gdyby chodziło o zamienienie ambon na trybuny: drugie byłyby jeszcze lepsze gdyby chodziło o przerobienie konfesjonału na dodatkowy departament policji. Kandydatury brakło. Wielopolski rozejrzał się szerzej i z zupełnego ukrycia wydobył niespodzianie młodego księdza o ciekawej przeszłości. Jego matka należała do radykalnego spisku Konarskiego po latach 1830-dziestych, on sam był ranny w bitwie pod Miłosławiem w 1848 roku w Poznańskim, a jeszcze przedtem w małym mieszkaniu w Paryżu asystował ostatnim chwilom Juliusza Słowackiego. Nazywał się Zygmunt Feliński. Zdawało się, że kto jak kto ale właśnie patriotyczna Warszawa przyklaśnie takiemu wyborowi: oczywiście, rozłościła się jeszcze. Młody arcybiskup w lutym objął władze w swej trudnej diecezji. W lutym też, o dzień przed tym wydarzeniem, Wielopolski składał w Petersburgu swój ostatni memoriał. Był to jakby rozkaz natarcia wydany po długim artyleryjskim przygotowaniu.

W tym memoriale, który w ten czy inny sposób znał cały miarodajny Petersburg, Wielopolski posuwał dalej swe rozumowanie. Co dał, zapytywał w memoriale, ów stan wojenny trwający w Królestwie od tylu miesięcy? Czy powierzenie sprawy czynnikom wojskowym przyniosło obiecywany spokój? Czy ustały demonstracje, wrzenie, starcia? Czy prasa europejska przestała zapełniać się przykrymi dla Rosji wiadomościami znad Wisły? Odpowiedź na to pytanie mogła być tylko negatywna. Całe wrzenie nie tylko nie ustało pod zbawiennym wpływem nahajki, ale jeszcze się wzmogło. Zarazem Wielopolski parował możliwe zarzuty. Może to jednak reformy nie dały rezultatu? Może i one nie przyniosły uspokojenia? Tak, ale nie przyniosły ich dlatego, że przyszły za późno, że były tylko połowiczne, że jednocześnie władza w Królestwie pozostała w ręku generalskich stupajek. Trzeba dalej posunąć reformy i trzeba usunąć stupajki. Rządy w kraju muszą być polskie i muszą być cywilne. —

Memoriał uzasadniał reformy już zakreślone przez Wielopolskiego przed niespełna rokiem, a zarazem wyrażał jego pogląd na sprawy polskie. Oto jak na przykład bronił dwóch swoich reform socjalnych: oczynszowania włościan i równouprawnienia żydów: „te dwie warstwy ludności dotąd w poniżeniu zostawione przeznaczone są na to aby społeczność odnowić ograniczając i zrównoważając przewagę żywiołu szlacheckiego”. Nie tykając trzech niemożliwych dla Rosji rzeczy, to jest konstytucji, armii i Kresów, żądał najszerszego wyodrębnienia Królestwa. Ku temu miały służyć ustanowienia „naczelnika rządu cywilnego” któremu podlegałaby cała władza w kraju, z wyjątkiem wojskowej. Powinien być nim Polak. Ale Wielopolski wiedział dobrze, że tak daleko Rosja nie pójdzie i uzupełniał ów projekt inną instytucją. Oto Królestwem rządził od dawna cesarski namiestnik. Byli nimi teraz kolejno różni generałowie rosyjscy, ale kiedyś był nim (faktycznie) wielki książę Konstanty Pawłowicz, brat twórcy Królestwa, Aleksandra 1-ego, ponury bohater parad na placu saskim. Jeszcze przedtem był nim oficjalnie polski generał Zajączek. Trzeba wrócić do tamtej tradycji, to jest poszerzyć z powrotem rolę namiestnika i zamianować nim „księcia krwi cesarskiej”. Oto co sugerował projekt Wielopolskiego. Dwie kandydatury były brane pod uwagę.

Jedną z nich była osoba brata cesarskiego. Był to także jak ongiś, Konstanty, ale liberał, sławianofil i zwolennik reform. Drugim był przebywający nad Newą książę meklemburski. Skąd niemiecka kandydatura u „panslawisty" Wielopolskiego? Ano, może i dlatego że dynastia meklemburska, spokrewniona wtedy z rosyjską, wywodziła się w prostej linii od zachodniosłowiańskich dynastów obotryckich. Pod niemieckim pokostem trwały w niej ślady słowiańskie. I jedna i druga kandydatura wprawiała też w ruch koła dworskie. Obie wprawiały także dyplomację europejską.

Na owym przedwiośniu 1862 roku nieustające demonstracje w Warszawie podnosiły bowiem coraz wyżej sprawę polską. Polska na nowo wchodziła na pierwsze kolumny dzienników, występowała w debatach parlamentarnych, w wiecowych rezolucjach. Ci co nadsłuchiwali tych ech z Warszawy mogli się cieszyć ze swego dzieła. Niebawem jednak zawiedli się w jego skutkach. Stało się to przede wszystkim w Anglii. Nawet przyjazny Polsce Lord Carnarvon składając petycję 12 miast brytyjskich o interwencje rządu królewskiego w sprawie polskiej skarżył się na „pierwiastek uczuciowy" jaki w tę sprawę wnoszą niepotrzebnie Polacy. Jeszcze więcej wody na głowy lał potem Palmerston, a może najwięcej dokuczył sam leader gabinetu lord Russel. Lord Russel prowadził ostrożną i umiarkowaną politykę. Nie pochwalał wcale metod stosowanych przez Rosję nad Wisłą: ale wiedział że żądania polskie można wymusić na Rosji tylko przez wojnę: i lord Russel nie zamierzał wcale obiecywać Polakom tej wojny. Było to niewątpliwie stanowisko uczciwe odmienne od tego jakie zajmowali ministrowie Napoleona III. Postawiony między cesarskim bezprawiem, a polskimi żądaniami lord Russel, bardzo po angielsku, szukał kompromisu. Jedyną nadzieję jaką mógł rzucić i Polsce i jej przyjaciołom było bardzo angielskie oświadczenie. „Polak został wezwany do Petersburga i o tyle o ile ogólnym pogłoskom wierzyć można rada jego była mądra i właściwa, jako pochodząca od męża żywo pracującego nad losem ojczyzny swojej, ale który uważa za niepodobieństwo rozerwanie jej związku z Rosją" Tak więc ów wiatr dyplomacji europejskiej, zas lany warszawskimi zaburzeniami nie wiał w żagle tych co owe zaburzenia wzniecali, ale dął dalej w żagle ich przeciwnika. Polska wiedziała dobrze kim jest ów Polak wezwany do Petersburga i tak chwalony przez brytyjskiego premiera. Ów Polak tymczasem był już jakby zmęczony prowadzoną od tylu miesięcy grą. „Z bliską rocznicą wstąpienia mego do rządu, pisał do żony, wyglądam z upragnieniem powrotu do Chrobrza, gdzie niedługo słonki nad brzeziną ciągnąć będą". Niebawem okazało się, że w warszawskiej Radzie Stanu przypadają akurat jakieś ważne obrady (wciąż nad tymi samymi projektami reform), i Wielopolski na parę tygodni pomiędzy marcem a kwietniem pociągnął nad Wisłę. Trochę może dla reform, trochę pewno i dla tych słonek. Ludzie, proszę państwa, są ludźmi.

W Warszawie jego pobyt zaznaczył się przykrymi aluzjami czynionymi i namiestnikowi Lüdersowi i jego czynowniczym asystentom na pełnym posiedzeniu Rady Stanu: groźny sałdafon i ci co po Wielopolskim objęli jego teki mogli mieć teraz przedsmak niedalekiej przyszłości. Kiedy bowiem Wielopolski odjechał raz jeszcze do Petersburga, już rozwkitającego najwcześniejszą północną wiosną, wypadki dojrzały do rozstrzygnięć. Jeszcze w maju car podpisał ukaz wprowadzający w życie reorganiczację szkolnictwa w Królestwie Polskim, a w pierwszych dniach czerwca podpisywał kolejno inne ukazy, o równouprawnieniu żydów i o oczynszowaniu chłopów. Koronacją tego wszystkiego były jednocześnie dwie nominacje: jedną z nich wielki ksiażę Konstanty, cesarski brat, ów liberał i sławianofil, zostawał namiestnikiem w Warszawie, drugą Aleksander Wielopolski obejmował stanowisko naczelnika rządu cywilnego. Wielki książę pozostał jeszcze nad Newą. Musiał przygotowywać sobie wjazd, dwór, świtę. Był to człowiek ambitny, który kiedyś podobno roił sny o tronie w Kon-

stantynopolu, a potem jeszcze o koronie czeskiej. Nad Newą u boku brata cesarza było mu za ciasno, tak samo jak bratu cesarzowi ten młodszy brat deptał nieco po piętach. Wicekrólestwo w Warszawie leżało na pół drogi do Pragi. W razie wojny europejskiej mogło być do niej etapem...

* * *

Wielopolski przed nim, dnia 13 czerwca, przybył do Warszawy i podobno nigdy potem nie mógł Warszawie zapomnieć jej chłodnego powitania. To co przywoził to było przecież bardzo bardzo wiele a znaczyło może zapowiedź zmian dużo większych. Był to świt nadziei po trzydziestu latach bezgwiezdnej nocy ucisku. Ale Warszawa pozostała obojętna i to nie tylko owego dnia, choć Wielopolski rozpoczął niewdzięczne zadanie zjednywania sobie rodaków. Na prezentacji, kiedy w jego nowej siedzibie, Pałacu Bruhlowskim na Wierzbowej, zjawili się notable Warszawy, pierwszym jego krokiem było skierowanie się do młodego arcybiskupa Felińskiego z prośbą o błogosławieństwo. W stosunku do duchowieństwa które go zwalczało był to nielada gest. Obchodząc sale ujrzał w jednej z nich stojącego na uboczu Pana Andrzeja i zwrócił się ku niemu z wyciągniętą ręką. Ale ze strony Pana Andrzeja wiał chłód i wszystko co mu miłego powiedział jeszcze margrabia nie potrafiło tego chłodu usunąć. Gdzie leżały źródła tej niechęci? W dużej mierze w teorii szeroko rozpowszechnianej przez przeciwników Wielopolskiego. Kiedy im mówiono że uzyskał on nad Newą wiele, wydymali tylko niechętnie usta i dawali do poznania że sytuacja była tak „łatwa", że „każdy" na jego miejscu uzyskałby wiele więcej. To co uzyskał było zaś „sprzedaniem za miskę soczewicy reform całego dziedzictwa Polski Jagiellońskiej". Posłuchajmy co pisze historyk owych czasów: „W głowach majaczyło fałszywe przeczucie wielkich komplikacyj w Europie i w Rosji wśród których Polska niepospolitą miała odegrać rolę, a stąd teoria mglista aby przyszłości nie zaprzedawać, z Rosją się nie wiązać".

Warszawa pozostała zaś obojętna nie tylko dla tych wszystkich przyczyn ale jeszcze i z tej racji że przez ów prawie rok życie polskie podzieliły między sobą dwie wielkie konspiracje. „Białych" i „czerwonych". Historycy mówią nam o nich zawsze bardzo wiele, ale zawsze jako o czymś co już jest i powstało, a nie pokazują nam jak powstawało i z czego. Organizacja „białych" wyrosła z dawnych kadr rozwiązanego Towarzystwa Rolniczego. Miało ono w kraju ponad 3.000 członków, poważnych ziemian : teraz wchłonęło zamożniejsze żywioły miejskie. Gdyby Polska żyła życiem normalnym byliby to pewno torysi czy konserwatyści ówczesnej Polski. Ale Polska nie żyła normalnym życiem wolnego narodu. Innym produktem jej nienormalnego życia była konspiracja „czerwonych". Jakżeż ona powstała? Pierwszymi jej zaczątkami —poza zalążkiem słabiutkich dawniejszych spisków — była organizacja owej straży obywatelskiej którą Gorczakow pozwolił utworzyć po dniu Pięciu Poległych aby zastąpiła na ulicach Kozaków i Czerkiesów. Margrabia ją potem rozwiązał, ale znowu kadry przetrwały. Manifestacje narodowe w jakich wyspecjalizowała się Warszawa wymagały również coraz więcej organizacji i w nich też wydoskonaliły się odpowiednie kadry, — zwykle te same ze straży obywatelskiej. Kierował nimi powstały niebawem organizacyjny ośrodek — „Komitet Miejski". Z czasem, kiedy ruch przerzucił się na prowincję, komitet miejski stał się Komitetem „Centralnym". Rzemieślnicy warszawscy, radykalna młodzież, dawni Sybiracy, czasem emisariusze z emigracji, — oto był ich główny element. W każdym innym kraju z takich elementów powstawały stronnictwa republikańskie czy liberalne czy jeszcze lewicowe. Była to rzeczywiście lewica.

„Delegacja"—tak nazywano kierowniczy ośrodek białych—uznała wcześnie za swego wodza, choć nie należącego do niej, Pana Andrzeja. Czerwoni nie ustalili u siebie takiego kierownictwa, ale znaczna ich część po-

zostawała pod wpływem Pana Ludwika. Mierosławski, bohater procesu berlińskiego i 1848 roku, polski Garibaldi in spe i co tam jeszcze był jednak daleko poza granicami kraju i szkolił sobie we Włoszech, w Genui i Cuneo, takim Coetquidanie owych czasów, przyszły narybek oficerski powstańczej armii. Pan Andrzej tak samo stał poza ruchem białych. Przeto w obu ruchach w nieobecnosci generałów wybili sie podkomendni. U białych byli nimi Kurtz, Węgleński, Kronenberg, u czerwonych przede wszystkim Ignacy Chmieleński. Był to niewątpliwie najradykalniejszy z czerwonych i zarazem najmłodszy. Liczył niewiele ponad lat dwadzieścia. Przybył z Kijowa, gdzie studiów nie skończył, miał odegrać dość nieciekawą rolę w powstaniu i zniknąć później bez wieści. Chmieleński parł do rychłego zbrojnego powstania, a od paru miesięcy miał już w tym sojusznika. Był nim przybyły z Petersburga właśnie wtedy kiedy przebywał tam margrabia, Jarosław Dąbrowski. Dąbrowski należał do paru oficerów Polaków spiskujących w Petersburgu i połączonych niciami konspiracji z podobnymi spiskami w armii rosyjskiej, a nawet z tajną, potężną, legendarną i te rosystyczną późniejszej „Ziemli i woli". Od stycznia będąc w Warszawie nawiązał kantakt z oficerami tutejszych załóg rosyjskich. Wespół z nimi opracowano plan opanowania Modlina, cytadeli warszawskiej i arsenałów, i wyznaczono nawet termin: 26 czerwca. Po tej dacie miała bowiem nastąpić translokacja pułków rosyjskich i wszystko byłoby stracone. Spisek zatem dojrzał właśnie wtedy kiedy Wielopolski odnosił swe zwycięstwo. Wybuchnąć jednak nie zdołał. Z jednej strony udaremniła go rosyjska policja która wyaresztowała oficerskich konspiratorów i oddała ich sądowi wojennemu. Z drugiej, wpływy białych przerażonych widmem powstania, wygryzły z Komitetu Centralnego Chmieleńskiego i najczerwieńszych. Konspiracyjna organizacja czerwonych uległa rozbiciu: straciła swoje masy. Miało to niezwłoczny rezultat, widoczny na ulicach Warszawy, a także dostrzegalny z zagranicy. Demonstracje bowiem albo ustały, albo osłabły.

Pomimo aresztowań, pomimo rozłamu, nie przestał jednak istnieć sam rdzeń rewolucyjnej konspiracji. Dąbrowski był aresztowany, ale Chmieleński działał. Jak jednak mógł działać kiedy odeszły od niego masy? Jakże mógł działać kiedy pozostała przy nim dynamiczna ale niewielka grupa? W tych warunkach przejście od demonstracyj do aktów terroru nasuwało się samo. Znienawidzonych ofiar także nie brakło. Przede wszystkim bowiem odbył się sąd nad aresztowanymi oficerami Rosjanami. Zostali oni skazani na śmierć i wyrok ten, zatwierdzony przez Lüdersa, został wykonany w końcu czerwca. Nazajutrz, strzał rewolwerowy w ogrodzie saskim, zranił ciężko Lüdersa. Pozbawił tym Wielopolskiego jego starego wroga, a przyspieszył przyjazd do Warszawy jego przyszłego partnera: wielkiego księcia.

Istotnie, witany przez polskich urzędników, rosyjskich generałów i warszawską ulicę zjawił się po kilku dniach „Konstanty numer dwa". Aby jeszcze bardziej podkreślić nawrót do tradycyj sprzed tamtego powstania wyznaczono mu na mieszkanie pusty przez wiele lat Belweder. Wielkiego księcia nie powitały owacje: parę okrzyków „niech żyje . . . król" nie zostało podjętych przez ciżbę w Alejach: ale wieczorem w teatrze miało być gorzej. Strzelił tu i zranił Konstantego młody warszawski zecer Jaroszyński i wielki książę powrócił do Belwederu z ręką na temblaku. Polacy nie lubią zamachów. Toteż nazajutrz salony Belwederu zapełniły się przedstawicielami całej Polski, — a przynajmniej tej Polski która zazwyczaj bywała wtedy w salonach. Postawny wielki książę był bohaterem dnia. Współczuła mu Warszawa, pisały o nim paryskie gazety, w dalekim ukochanym Pitrze popy piały molebnie w cerkwiach, a damy piszczały w salonach. Wicekról postanowił wykorzystać sytuację do zagrania roli politycznej. Wezwał Polaków do współpracy z nim „dla

dobra kraju", złączył w jednym uścisku dłonie Pana Andrzeja i Wielopolskiego. Był to jego miodowy polski okres, a kiedy narodził mu się, już w Warszawie, syn dano driecku obce Romanowym imię Wacław, co było podobno ukłonem w stronę Czechów, ale zostało zrozumiane przez Polaków jako gest w stronę Polski. Katedra świętego Jana zapełniła się tłumami wiernych w czasie nabożenstwa dziękczynnego za ocalenie wielkiego księcia. Tym razem nie śpiewano owych hymnów narodowych których Rosjanie tak się bali. Szala zdawała się przechylać.

Ale krew wielkiego księcia, jego słowa i gesty, nie wszędzie miały wywołać tak łagodzący efekt. U konspiratorów lewicowych nie odegrały żadnego. Rzemieślnicy warszawscy, sybiracy i mierosławszczycy nie mieli tak miękkich serc. Terroryści Chmieleńskiego szukali sobie tylko dalszych i nowych ofiar. Margrabia nastręczał się sam. Przemawiając po zamachu na Konstantego w Radzie Stanu powiedział przecież iż „nowe strzały, jeśliby jeszcze paść miały, w moje niech uderzą piersi" i życzenie to postanowiono spełnić. Nie czekano nawet z tym długo, bo zaledwie do sierpnia. Najpierw, rzemieślnik litograf Ryll strzelił do niego z rewolweru, kiedy margrabia wchodził do gmachu Komisji Skarbowej na placu Bankowym: w kilka dni później, na przejeżdzającego w Alejach rzucił się ze sztyletem zatrutym inny zamachowiec, Rzonca. W obu wypadkach starszy, ociężały pan okazał swą zwykłą zimną krew i impet. W jednym nawet sam rzucił się z laską na spiskowca i pomógł policji w ujęciu go. Polska miała dosyć tych nowych zamachów. Teraz nawet wokoło margrabiego nastała odwilż sympatyj. Z Petersburga posłowie angielski i francuski depeszowali z zapytaniami o zdrowie; konsulowie francuski i angielski z tym samym pospieszyli do Bruhlowskiego Pałacu; a ton prasy zagranicznej wskazywał, że Zachód doradza Polsce drogę Wielopolskiego, a nie drogę zamachowców. Wtedy także, do margrabiego, przyszli jako nieformalna delegacja „białych" Kurtz, Węgleński i Kronenberg, ofiarując niebardzo sprecyzowaną współpracę. Ale Wielopolski miał im odpowiedzieć, że współpracy tej nie potrzebuje. Epoka lubowała się w złotych myślach. Upamiętniła też ówczesne — jakoby — zdanie Wielopolskiego: „Dla Polaków można czasem coś zrobić, z Polakami — nigdy".

Przeciwnicy Wielopolskiego widzą źródła jego ówczesniej klęski właśnie w dwóch aktach. Jednym z nich jest to, że nie postarał się o ułaskawienie zamachowców, czy też, jak gołosłownie zresztą twierdziła to prasa podziemna, właśnie uczynił wszystko by zawiśli na szubienicy. Widok tych szubienic rozwiał też niebawem owe mgły sympatyj jakie po zamachach urastały nawet wokoło margrabiego. Po dziś dzień jednak historia nie dała nam dowodów na to że Wielopolski istotnie interweniował o nieułaskawianie skazanych, a w Rosji nawet za samo przygotowywanie zamachu zapadała kara śmierci. Nie zapominajmy i o tym że wszyscy wrogowie Polski w Rosji i tak pomawiali Wielopolskiego o . . . wallenrodyzm i skryte sprzyjanie ruchowi podziemnemu : jak piękny mieliby argument gdyby terraz prosił o życie zamachowców. Nie. Właśnie jako mąż stanu Wielopolski nie mógł prosić o łaskę ani dla Jaroszyńskiego, ani dla Rylla, ani dla Rzoncy.

Drugim współczesnym prawie potknięciem się była owa odpowiedź udzielona przewódcom białych gdy przychodzili ze współpracą. „Dla Polaków można czasem coś zrobić, z Polakami nigdy". Ale przeciwnicy Wielopolskiego zapominają o tym, że o kilka tygodni wcześniej tych samych ludzi przyjął ten sam Wielopolski inaczej, choć pochodzili z „dyrekcji" białych, choć byli ongi filarami Towarzystwa Rolniczego jak Węgleński, choć należeli do najbliższych ludzi Pana Andrzeja. Więcej: Wielopolski wtedy wystarał się dla nich o nominacje do Rady Stanu, do której weszli właśnie z jego poręki. Wprowadzenie do Rady Stanu nie było na pewno „odmówieniem współpracy". Dlaczego zatem, po tych

kilku tygodniach, Wielopolski odmienił tonu? Odpowiedź jest tylko jedna. Bo tymczasem, już w Radzie Stanu, owi trzej działacze rozpoczęli dyskretną, nieciekawą, a za to bezgranicznie naiwną intrygę.

Było to w okresie kiedy większość reform Wielopolskiego wchodziła już w życie, i kiedy z wyjątkiem włościańskiej wywoływały one ogólne zadowolenie rozsądniejszych kół społeczeństwa. Czy to samorząd, czy równouprawnienie, czy dalsze, energicznie prowadzone polszczenie urzędów, czy wreszcie najlepsza, szkolna, jednak chwytały. Opustoszały od tylu lat Belweder ożył. Wielki książę z młodą małżonką prowadzili tam istotnie „dwór", a jak wiemy, Polaków czasem okropnie zrażają zupełnie drobne, nieistotne rzeczy, tak samo jak pociągają jeszcze mniej istotne od tamtych gesty. Groza wybuchu zbrojnego i zamachów które dojrzały w tyglu zeszłorocznych demonstracyj także robiła swoje. Przeto znaczna część „białych", a zwłaszcza rozsądniejsi z nich, zaczęli patrzeć na sytuację nieco inaczej jak przed rokiem. Czy ich własny, namiętny opór przeciw „paktowaniu z Rosją" był istotnie tak bardzo mądry? Czy polityka Wielopolskiego była istotnie tak bardzo zbrodnicza? Czy, system inercji, tak entuzjastycznie przyjęty przez nich, był objawem politycznej mądrości? Jeśli Kurtz, Węgleński i Kronenberg, działacz ekonomiczny, ziemiański i wielki bankier, Rotszyld Królestwa, przyszli w czerwcu do współpracy i weszli do Rady Stanu, to był to widoczny objaw tego, iż „biali" zmieniali zdanie. Ale jeśli myślimy, że przekonawszy się do polityki Wielopolskiego poczęli Wielopolskiego popierać, to mylimy się bardzo. Zaczęli myśleć o tym jakby robić politykę Wielopolskiego bez Wielopolskiego. To jest prowadzić samym politykę porozumienia z Rosją którą półtora roku przedtem tak namiętnie zwalczali.

Intryga tych trzech ludzi docierała i do salonów Belwederu, ale przygotowywała grunt w całej Warszawie. Plotka, główny oręż polityczny w Polsce, nastawiła się na nią zupełnie. Pełno było teraz ludzi głoszących że nigdy nie byli przeciwnikami porozumienia z Rosją, ale przeciwnie, to oni byli tego największymi, istotnymi, zwolennikami. Oni tylko uważali że Wielopolski nie dość dobrze tę partię rozegrał: oni — albo „inni ludzie"— rozegraliby to lepiej. Rosyjskie audycje tej intrygi miały inne nagranie. Dowodziły, że porozumieniu polsko-rosyjskiemu szkodzi najbardziej właśnie . . . inicjator tego porozumienia. Wielopolski jest niepopularny, nielubiany; gdyby na jego miejsce przyszedł ktoś inny. . . . Czasem plotka rzucała już nawet nazwisko: Węgleński, wysunięte w dużej mierze dlatego że Pan Andrzej, jak polski hrabia Chambord, nie tylko nie chciał rządu dla innych, ale nie chciał go i dla siebie. W końcu lata, propaganda zrobiła swoje, nie tylko wśród Polaków, ale także i w białym Belwederze. Czemu miałoby to nas dziwić? Jest to przeciwnie zupełnie zrozumiałe? Wielki książę Konstanty bał się, że zasłaniać go będzie przed światem zbyt potężna indywidualność jego polskiego „premiera": bał się, że niepopularność Wielopolskiego istotnie obciąża polsko-rosyjskie porozumienie; a rosyjscy doradcy wielkiego księcia także woleliby słabszą indywidualność na stanowisku naczelnika rządu cywilnego. Nie było co się dziwić Rosjanom, że miłym im był pan Węgleński. Rzecz jasna, gdyby wielki książę był indywidualnoscią toby wiedział o jednym: wielkie dzieła polityczne wymagają dla dokonania ich nie popularnych miernot ale niepopularnych ludzi. Ale Konstanty był wielkim tylko jako książę, nie jako mózg. A pan Węgleński? Pan Węgleński był niestety wielkim tylko tym czym nieraz polscy polityczni gracze umieją być wielkimi. Bezmierną ambicją. Tuzinkowy działacz ziemiański zgubił nią sam siebie. Bez tej ambicji poparłby Wielopolskiego, poddał się jego batucie, wszedł do jego sztabu i u boku większego od siebie człowieka odegrałby trwałą, płodną, acz drugorzędną rolę. W ten sposób nie miał odegrać żadnej.

Jeśli znamy dzieje intrygi Węgleńskiego to rozumiemy dlaczego Wielopolski który już raz spróbował z nim współpracy, teraz ją mógł odrzucić. Intryganci niech sobie samym przypisują swoje późniejsze klęski. A intryga Węgleńskiego była dopiero w zarodku. Niebawem, w początkach września rozpoczął się w Warszawie zjazd przedstawicieli „białych" z całego Królestwa, a nawet z Kresów. Zjazd miał przygotować grunt Węgleńskiemu i towarzyszom w ich skręcie na porozumienie z Rosją. Ale zjazd był ryzykownym krokiem białych a skręt za ostry aby mógł się udać. Albowiem jeśli Węgleńscy czy inni zmodyfikowali nieco swe poglądy, to nie oznaczało to jeszcze by ów proces nie obejmował dołów. Reformy się podobały, owszem wolano wielkiego księcia od Lüdersa, owszem szkoły, owszem Rada Stanu. Ale opinia maluczkich ziemian, głos prowincji, uważały dalej paktowanie z Rosją za zdradę. Zbyt długo ją tego uczyli właśnie wodzowie białych. Na wiadomość o zjeździe odezwali się osłabieni, ale rzutcy „czerwoni" i zaatakowali zjazd jako „Nowa Targowicę". Dlaczego nie mieli tego robić? Przecież niespełna rok temu to co robił Wielopolski, to jest porozumienie z Rosją, „biali" rązem z nimi nazwali zgodnie zdradą? Czy to nie oni mówili wtedy o misce soczewicy reform za jaką margrabia sprzedaje Rosji Kresy? Cóż się zmieniło w ciągu tych kilkunastu miesięcy? Czy tylko to, że Rosja okazała się silniejsza niż przypuszczano, że poradziła sobie jakoś z ludowym wrzeniem, a Zachód wcale nie kwapił się do wojny o Polskę? Czerwoni byli logiczni. Dla nich było obojętnym czy porozumienie z Rosją zawiera margrabia Wielopolski, czy też pan Węgleński, i pan Węgleński nie mógł nikogo przekonać — poza najbliższymi przyjaciółmi — że to właśnie jest najważniejsze. Gdyby pan Węgleński stał na czele małej, zwartej mafii, pewno by wymanewrował i ten zwrot polityczny: ale tak nie było. Do Warszawy zjechało się paruset niezależnych ludzi, może naiwnych i parafiańskich, ale prosto patrzących. Trudno im b ło po tylu krzykach przyjąć politykę Wielopolskiego pod zmienionym szyldem.

Bieg wypadków został tymczasem przyspieszony innym wydarzeniem. Oto na przededniach już mającego odbyć się zjazdu wielki książę zaprosił do siebie Pana Andrzeja na zasadniczą, jakbyśmy dziś rzekli, rozmowę. Akcja Węgleńskiego odniosła skutek: wielki książę doszedł widać do wniosku, że margrabia jest naprawdę tak znienawidzony że jest dla Rosji tylko politycznym ciężarem: nie dostrzegł, że jeśli jest znienawidzony, to właśnie za Rosję. Wiedział, że najpopularniejszym człowiekiem w Polsce jest Andrzej Zamoyski, a słyszał teraz że możliwa byłaby z nim ugoda. I zamiast rozmawiać z Węgleńskim, wolał popróbować z samym Zamoyskim.

W białych pokoikach Belwederu, bardzo empire'owych i bardzo polskich, rozegrała się owego dnia 2 września dosyć historyczna scena. Wielki książę zapytał czego Polacy chcą: Pan Andrzej odpowiadał. Odpowiadał długo, zawile i rozwlekle, przypominał przeszłość i zatrącał o przyszłość, a z tej rozmowy pozostało nam kilka, dosyć pokrywających się wersyj. Wedle najpopularniejszej, puszczonej potem w obieg, wielki książę miał zapytać się przedstawiciela Polski: „czego od nas chcecie?" a przedstawiciel Polski odpowiedział wtedy przedstawicielowi zaborczej dynastii: „żebyście się wynieśli". Byłaby to bodaj ostatnia złota myśl Pana Andrzeja. Wedle bardziej autentycznej wersji Pan Andrzej, jako konkretne zalecenie, wykrztusił tylko żądania „połączenia wszystkich ziem dawnej Polski pod twoim, mości książę, kierownictwem". Czy Pan Andrzej wyszedł uspokojony, że wywarł dobre wrażenie? Czy wyszedł przekonany, że powiedział to co myśli kraj? Być może. Pewno wyszedł także w przeświadczeniu że nie wziął na siebie żadnego ciężaru decyzji i nie zaważył kamieniem na losach Polski. Za to wielki książę skończył rozmowę wściekły. Wiedział że Rosja silna, potężna i wielka nigdy nie odda

Polsce granic 1772 roku, sięgających poza Berezynę i po Dniepr. Niezwłocznie pisał też do cara o Zamoyskim: „c'est un fou, c'est un fou furieux. Przyszedłem do przekonania, że nic się zrobić nie da". Owego wieczoru pokonanym był Węgleński, zwycięzcą za to był margrabia. Teraz bowiem wielki książę zrozumiał, że w tym kraju jest tylko jeden człowiek który idzie na kompromis z Rosją. Jeżeli nie z nim, to z nikim.

Tymczasem zaś rozpoczął się ów zjazd ziemiański, przerażony tym właśnie, że powitano go na wstępie nazwą „nowej Targowicy". Toteż głównym zadaniem zjazdu stało się by ta nazwa nie przylgnęła do nich na dobre. Szukali do tego okazji. Z drugiej strony Pan Andrzej miał wątpliwości. Czy aby dość jasno wypowiedział w Belwederze swoje zdanie? Czy wielki książę wie dosyć, że nie jest to tylko jego, Pana Andrzeja, pogląd? Z tych wątpliwości wyznanych przyjaciołom zrodził się „mandat" uchwalony przez „współziomków" a uznający za rzecznika polskiej opinii Pana Andrzeja. Był to jeszcze jeden elaborat owej polskiej kuchni politycznej która nie chce urazić nikogo, toteż wreszcie uraża wszystkich. „Mandat" we frazeologię bardzo czerwoną (która musiała podrażnić Belweder) obwijał treść bardzo białą politycznie (która musiała rozjuszyć czerwonych), ale przy tym raz jeszcze jeden podnosił, jak Zamoyski, sprawę Kresów. Poprzez dyskretne słowa przezierała ta sama treść. Polska w granicach 1772 roku.

Zjazd i „mandat" rozkrzyczane za granicą wywołały wściekłość Petersburga. Teraz Zamoyski z kolei został wezwany „przed oblicze cesarskie" ale po to tylko, aby otrzymać rozkaz wyjazdu za granicę i nie pojawiania się w kraju. Pan Andrzej znikł z widowni. Zapewne znikł nawet z lekkim sumieniem. Nie, nie zrzekł się moralnego prawa Polski do Berdyczowa i Witebska, i kiedyś, po latach, kiedy szczęśliwsze wiatry powieją, kiedy niepodległa Polska powstanie i granice wytyczać się będą, prawo polskie do tych ziem dalekich pozostanie nienaruszone jak przed wiekiem. Nie, nikt nie powie w kraju, że „arystokracja zdradza". Blady Pan Andrzej był bowiem arystokratą. Należał do pokolenia wielkiej szlachty polskiej które rumieniło się za tych kilka pokoleń które roztrwoniły Polskę. W uszach brzmiał mu podziemny śpiew nienawiści „o cześć wam panowie magnaci" i pieśn ta mówiła o zdradzie jakiej dopuścili się ludzie wielkich nazwisk na własnym narodzie. Nade wszystko bał się tego słowa. Natomiast nie przewidywał że nikt nie będzie mógł powiedzieć o nim i jemu bliskich jak o współczesnej im szlachcie węgierskiej czy finlandzkiej że spełnili w tej epoce pewną historycznie potrzebną rolę. Właśnie w Petersburgu pracowali bowiem przedstawiciele Finlandii nad uzyskaniem dla swego kraju, złączonego z Rosją, to samo co uzyskał Wielopolski. Niebawem, wielki Węgier, hr. Schechenyi, miał uzyskać dla Węgier jeszcze więcej od osłabionych Habsburgów. I fińscy i węgierscy działacze wzięli na siebie odium niepopularnosci, wzięli ciężar decyzji, przeprowadzili politykę niepopularną, trudną ale płodną. Ich nazwiskami po dziś dzień nazywane są ulice Pesztu i Helsinek, ich pomniki stoją na placach publicznych, a czas opłukał ten spiż z lepkiego błota nienawiści współczesnych. Szukając porozumienia żaden z tych narodów nie stracił też godności, — ani żaden narodowego istnienia.

Nastawała jesień. Jesień jest w Polsce porą zasiewów ozimych które wschodzą późno, i które trzeba siać wcześnie, aby ich nie zmroziły późniejsze przymrozki. Jesień jest w Polsce porą kiedy niebo się chmurzy i chmury są cieżkie i czarne a zniżają się nisko nad ziemię. Z zasiewów plon będzie dopiero za rok, a z chmur może być deszcz jeszcze tego samego ranka. Chmury nadciągały. Wielopolski siał.

Wielopolski istotnie siał. Szkoły były otwarte, zorganizowane, uniwersytet w postaci szkoły głównej otwierano poszczególnymi wydziałami. W miejsce dwóch najgorszych gubernatorów rosyjskich przyszli dwaj

Polacy, w centralnych urzędach Warszawy urzędników Rosjan pozostało jedynie siedmiu. Najgorzej szła najsłabsza z reform Wielopolskiego, mianowicie chłopska. Ziemianie byli niezadowoleni dlatego, że zniesienie pańszczyzny odejmowało im bezpłatną siłę roboczą: chłopi czekali na to, że otrzymają na własność ziemię na której siedzą. Jakiż był los chłopów w Królestwie? Za Napoleona otrzymali wolność osobistą: Wielopolski przyniósł zniesienie pańszczyzny: ale ziemia dalej pozostawała w ręku dziedzica. A ziemia była najważniejsza. Po wsiach krążyli agitatorzy podziemni mówiąc o powstaniu i rządzie narodowym który da chłopom ziemię; od Rosjan szły słuchy, że ziemię da car przeciwko któremu panowie się buntują. Chłop nie wiedział, ale się burzył. Niepokoje, które ustały w stolicy, nurtowały w umysłach prowincji. Podniecała je prasa. Legalna, nie omijała żadnej okazji aby zwalczać Wielopolskiego, a najwięcej celowało w tym pismo Kronenberga, a więc tego co z Węgleńskim już się gotował na jego miejsce. Nielegalna była oczywiście jeszcze ostrzejsza. „Ten człowiek na którego sumieniu i ciele plamy krwi bratniej są wyrażone" grzmiała „Strażnica". I wzywała jednocześnie do boju który musiał tej krwi bratniej przelać daremnie i beznadziejnie nieskończenie więcej.

Kiedy po latach brnie się przez to lepkie błoto jakie jednak utrwaliła historia ma się wrażenie błahych, śmiesznych i czczych zarzuciąt, na jakie umiano się zdobyć. Zarzut, że Wielopolski nie chciał współpracy z Polakami, jest niedorzecznością jeśli zważymy że i w sprawach szkolnych i w rolnych i w żydowskich i w samorządowych ściągał najwybitniejszych fachowców aż z innych dzielnic Polski. (Tych o których nie zapominał; Poznańskiego, Pomorza, Galicji.) Zarzut, że zamachowiec Ryll był jego nieślubnym, sponiewieranym synem, był zwykłym oszczerstwem, jednym z tych na które i dzisiaj natrafimy łatwo. Uparta plotka szła krok w krok. Aby umeblować Pałac Bruhlowski wyjęto ze zbiorów państwowych odlewy gipsowe posągów greckich: Warszawa krzyczy; „co za nadużycie"! Oddzielono parkanem część ogrodu saskiego aby stary, tyjący chorobliwie naczelnik rządu cywilnego mógł zażywać przechadzki: co za samowola! Ochrona Czerkiesów wokoło jego rezydencji, — (po dwóch zamachach) — co za policzek wymierzony narodowi! I z poza tych wszystkich malizn, tak małych jak ludzie co je puszczali w obieg, tak małych jak opinia która je przyjmowała, nikło dzieło reformy szkolnej, samorządowej. administracyjnej, włościańskiej. Więc niepotrzebne są reformy? pytali stronnicy margrabiego. Owszem, odpowiadano, ale niech je przeprowadzą . . . sami Moskale. Polak niech z nimi nie wiąże swego nazwiska. Mędrcy co tak rozumowali mieli się za niespełna rok przekonać jak to jest kiedy Polskę reformują sami Moskale.

W tej walce, a dokładnie z tak dziwną tezą, występowało coraz częściej pismo które zdawałoby się powinno popierać w pełni program Wielopolskiego. Był nim założony w okresie wiosny ludów krakowski „Czas". „Czas" narodził się, jak rzeka z potoków górskich z owej kilkunastoletniej przyjaźni politycznej nawiązanej pomiędzy realistą Wielopolskim, ultrakatolikiem Popielem i naukowcem Helclem, gdzieś zaraz po roku 1830. W swym pięknym artykule wstępnym pierwszego numeru pisanym w dniu w którym skonał na rękach Felińskiego przeżarty gruźlicą i poezją Juliusz Słowacki „Czas" kończył zdaniem że wszystkie jego wysiłki troski i starania będą zmierzały ku jednej tylko rzeczy: odzyskania wolnej i niepodległej ojczyzny. Ale tak jak cały obóz prawicowy i umiarkowany, a inaczej niż rewolucyjny i młodzieńczy, „Czas" nie wierzył, by Polska mogła powstać w wyniku jakiegoś wybuchu. Upatrywał jej wskrzeszenia w drodze powolnej ewolucji od czarnej nocy niewoli do białawych i zimnych brzasków świtu. W odróżnieniu od tysięcy Panów Andrzejów „Czas" nie czekał aż to się jakoś samo dokona. W pokoikach redakcyjnych „Czasu"

krążyła już wcześnie myśl szukania w Austrii oparcia przeciw Rosji, podważenia od tej strony drzwi więziennych Polski. Tradycjonalizm Austrii, jej zachodniość, jej katolicyzm, jej szlacheckość, to wszystko skłaniało ludzi „Czasu" do zwracania oczu w tym kierunku. Dlaczego jednak oni właśnie wystąpili szczególnie namiętnie przeciwko dawnemu przyjacielowi — Wielopolskiemu? Wszak i on był zwolennikiem prób współpracy z którymś z zaborców, jak oni nimi byli: wszak był katolikiem, konserwatystą, zachodniowcem, jak tamci. I jak tamci wiedział że pomoc Zachodu może Polsce sytuację ułatwić, ale sama jedna jej nie rozwiąże. Na to wszystko jest wiele wyjaśnień. Pierwszym że Wielopolski był konsekwentniejszy. Wielopolski musiał widzieć, że Austria jest słaba, że „oparcie się" na niej nie da Polakom mocy do przeprowadzenia reszty ich programu. Wielopolski nie mógł widzieć w Austrii potęgi która by poszła przeciw Rosji i Prusom: tymczasem w Rosji widział siłę która już jest nastawiona ofensywnie przeciwko Austrii, a zbliżając się powoli do Francji nastawia się ofensywnie i przeciw Prusom. Wielopolskiego szlachcica, katolika, tradycjonalistę znacznie bardziej ciągnęła habsburska Austria, ciągnęły własne tradycje rodzinne Wielopolskich i Myszkowskich ktorzy byli w Polsce poplecznikami Wiednia, niż daleka i obca mu Rosja. Ale przechodził nad tymi względami serca czy sympatii. Nie dziwimy się dzisiaj „Czasowi", że za Wielopolskim nie poszedł: natomiast intryguje nas to że on właśnie tak namiętnie go zwalczał. Czyżby grały tu racje dotąd przez historyków niewyśledzone? Czy nie działała tu sprytna intryga wiedeńska? Pamiętajmy, że w Petersburgu najzajadlejszym wrogiem Wielopolskiego był austriacki ambasador Thun: że Austria pamiętała margrabiemu list do Metternicha: że omal nie zwróciła się do Rosji z vetem przeciw jego nominacji. Twierdzić niczego nie można, ale snuć domysły trzeba. Tak samo jak uderza nas to że właśnie wtedy i właśnie w Poznańskim wychodzi cała literatura pamfletów przeciwko Wielopolskiemu, choć sympatyzują z nim na przykład Pomorzanie i budzący się ruch kaszubski. Oto zadania które może zajmą przyszłego historyka polskiego, ale odpowiedzi na nie nie znajdziemy w pamiętnikach Popiela czy papierach „Czasu". Trzeba by zajrzeć do sekretnych zaborczych archiwów.

* * *

Tymczasem wraz z zimą i końcem roku nadchodził akt ostatni.

Owym aktem ostatnim, była, jak historia nam mówi, tak zwana branka. Czymżeż była owa „branka"? Od wojny krymskiej to jest już od dobrych sześciu lat w Królestwie Polskim nie dokonano poboru rekruta. Rekrut był wybierany w drodze losowania—zamożni mogli się wykupić—a służył jako zawodowy żołnierz przez całe dziesiątki lat. W naszym wypadku chodziło o piętnaście. Nieraz przy pomocy różnych sposobów zarówno władze jak dziedzice starali się o to aby do wojska brano możliwie niesforne elementy wiejskie i historia Deczyńskiego z „Kordiana i chama" jest klasycznym przykładem takiej branki za dobrych wolnych czasów pomiędzy rokiem 1815 a 1830. Spomiędzy 72.000 poborowych mianoby teraz wylosować 12.000 i tych dwanaście tysięcy poszłoby na służbę do dalekich garnizonów Rosji. Otóż dla szerszej publiczności niemal niespodzianie ogłoszony został pobór rekruta w pismach urzędowych z 6 października 1862 roku, a objaśnienia do zarządzenia mogły wywołać wiele komentarzy. Mówiły one bowiem o wprowadzeniu list imiennych przez komisje wyłonione z rad samorządowych— już polskich, i tak dalej. Od poboru wyłączano wszystkie elementy osiadłe trwale, a więc na przykład i chłopów gospodarzy, natomiast obejmowano nimi całe kategorie socjalnie i gospodarczo luźne, zarówno w mieście, jak na wsi. Niebawem znano i treść tajnego okólnika — władze polskie, jak widzimy, już wtedy nie bardzo umiały utrzymać tajności swego urzędowania —a w jego świetle wszystko było przejrzyste. Jeśli czerwcowe rozbicie „czerwonych" odjęło

im masy tak potrzebne dla demonstracyj ulicznych, to teraz branka miała dokończyć dzieła. Z kolei miały ulec przetrzebieniu kadry terrorystów. Uległyby one w dwojaki sposób. Po pierwsze były wszystkie powody do przypuszczenia, że najbardziej zagrożeni konspiratorzy zbiegną zawczasu za granicę. Wszak tak zrobił między innymi jeszcze latem sam Chmieleński po uprzednim wysłaniu na zamach (i smierć) Jaroszyńskiego, Rylla i Rzoncę. Po drugie, rzesza konspiracyjnych szaraków, takich właśnie jak ci trzej nieszczęśni którzy zawiśli niedawno na szubienicach, byłaby przerzedzona samym poborem. Dwanaście tysięcy młodych ludzi odeszłoby do armii. Krok był oczywiście policyjnym cięciem. Ale policyjne cięcie nie przybierało ani zbyt katastrofalnych, ani zbyt dotkliwych rozmiarów. Dziś jedna „łapanka" na ulicach Warszawy czy Lublina jest dla kraju znacznie dotkliwsza. Wówczas owych dwanaście tysięcy nie stanowiło więcej niż około trzech na tysiąc mieszkańców. Studenci od nauk, chłopi do gospodarstw, rzemieślnicy zatrudnieni w sposób stały i tym podobne kategorie nie były tym dotknięte.

Jest rzeczą niezwykle znamienną, że niechętnymi brance były wojskowe czynniki rosyjskie. Szczegóły te były nieraz wytykane Wielopolskiemu jako dowód, że był on bardziej rosyjskim niż sami Rosjanie i że jemu, Polakowi, bardziej zależało na braniu innych Polaków do rosyjskiego wojska, niż Gerstenzweigom, Bergom czy Milutinym. Trzeba być jednak mniej podejrzliwym w stosunku do pana z Chrobrza, no i mniej łatwowiernym jeśli chodzi o jegomościów co się później obłowili krociowo przy usmirianiu polskawo miatieża. Rzecz była jasna, dlaczego Wielopolski chciał opróżnić kraj z najczerwieńszych, najradykalniejszych żywiołów bojowych. Oto bał się wybuchu. Rzecz jest również jasna, dlaczego rosyjskie generały tak dziwnie nie po generalsku nie chciały polskiego rekruta. Oni wybuchu chcieli. W ślad za przybyciem wielkiego księcia, w ślad za zamachami rewolwerowymi na Lüdersa, Konstantego, Wielopolskiego, Warszawa zapełniała się nowymi pułkami rosyjskimi, ściąganymi stopniowo z głębi matuszki Rassii. Terrorystyczna polityka Chmieleńskiego, rozpaczliwe zamachy Jaroszyńskich, Rzonców czy Ryllów, nie tylko że nie usuwały Czerkiesów, Kałmyków i Kozaków, ale jeszcze pomnożały ich liczbę. Dzięki nim właśnie było uzasadnienie, dlaczego załogi rosyjskie muszą ulec wzmocnieniu. Generalicja rosyjska wiedziała dobrze, że obecność setek Rzonców i Ryllów jest jej na rękę, że uzasadnia nad Wisłą rolę armii rosyjskiej, że im więcej ich będzie tym szybciej dojdzie do takiego czy innejgo wybuchu, a wtedy już będzie łatwo.... Trzeba być bardzo naiwnym, aby myśleć że przez Wielopolskiego przemawiała ugodowa gorliwość, znacznie większa niż gorliwość „rodowitych" Rosjan o niemieckich nazwiskach. Obie strony—i Wielopolski i generałowie rosyjscy wiedzieli dobrze o co im chodzi i o co chodzi przeciwnikowi. Pomiędzy jednymi i drugimi wywiązał się bój. Ale zrazu po stronie Wielopolskiego stała jeszcze władza rosyjska. Dla niej było obojętne i nieważne czy się kilkunastu generałów i kilkuset oficerów nagrabi w Płockim, Siedleckim czy Łomżyńskim. Dla rosyjskiej racji stanu było ważnym, aby polski wybuch nie doszedł w ogóle do skutku, nie zadrażnił sytuacji zagranicznej Rosji, nie był jej kulą u nogi. Interesy rosyjskiej racji stanu nie dały się, jeszcze utożsamić, z interesami kliki czy kasty. Projekt branki więc przeszedł. Nadeszła o nią inna walka.

Ta dalsza walka rozegrała się w samym społeczeństwie. Społeczeństwo to byli ci ludzie co zasiadali już w samorządach, jakie przyniósł Wielopolski co mieli teraz wybrać komisje poborowe, przeprowadzać spisy poborowych. Przecież Królestwo miało już polską administrację: ona powinna działać. W tym wypadku współdziałać. Ale czy będzie? Okazało się że nie. Niektóre samorządy powiatowe czy miejskie wręcz odmówiły współudziału: inne, a w tym większość, rozpoczęły sabotaż spisów we wszelki możliwy

sposób. Przemycany z Krakowa do Królestwa „Czas” piętnował „nową zbrodnię rosyjską” w taki sposób jakby w Austrii na przykład nie obowiązywał pobór rekruta i jakby Galicja nie dostarczała Habsburgom podobnego kontyngentu żołnierza jakie Królestwo — nie po raz pierwszy przecież, — dostarczało Petersburgowi. Wściekłość koncentrowała się oczywiście na Wielopolskim. On był przecież autorem branki.

Same doły czerwonych ogarnął za to niepokój. Oto od kilkunastu co najmniej miesięcy każdy z nich był wciągnięty w nader tajemnicze sprzysiężenie, składał przysięgi, schodził się na nocne zebrania, znał zaledwie swego bezpośredniego kierownika trójki, piątki czy dziesiątki, — ale zapowiadane od tak dawna powstanie narodowe jakoś odwlekało się z miesiąca na miesiąc. Ludzie ci nie chcieli czekać. Teraz zaś już i długo czekać nie mogli. Jeśliby czekali dłużej, to margrabiowska branka wyłuska ich z Warszawy, Radomia, Lublina i rzuci w rosyjskim mundurze gdzieś do Petersburga, Moskwy czy na Kaukaz. Poczęło róść zniechęcenie. Gdzież to powstanie? Co robi otoczony nimbem konspiracji Komitet Centralny? Teraz poczęli działać owi czerwieńsi jeszcze, których w czerwcu wyman wrowano z Komitetu, a którzy poddali się coraz bardziej dalekim wpływom Mierosławskiego. Z ich inicjatywy ukazała się ulotka-odezwa która samozwańczo powoływała się na Komitet Centralny. Ten nie odciął się od niej, raz aby nie odkrywać wobec obcych faktu istnienia tarć i rozłamów w Kom t cie Ce tralnym, po wtó e a y nie powiększać wrażenia że obecny Komitet Centralny cofa się czy ociąga. Toteż masy przyjęły za dobrą monetę zapowiedź ulotki że „Komitet Centralny ochroni sprzysiężonych przed branką”, i że „dzień ogłoszenia branki będzie dniem wybuchu powstania”. Pierwsze obwieszczenie było czysto demagogiczne. Komitet Centralny czy ktokolwiek inny nie mógł obiecywać, że dopuści i czy nie dopuści do branki, bo leżało to — niestety — całkowicie poza jego możliwościami. W bardziej zrównoważonym społeczeństwie wziętoby takie słowa za demagogię, ale w polskim ówczesnym tłumaczono sobie że „widocznie” Komitet ma pewne dane aby tak właśnie twierdzić. Drugie zdanie było może jeszcze niebezpieczniejsze. Czy zamierzano nastraszyć nim Wielopolskiego? Czy zapowiedź, że „dzień ogłoszenia branki będzie dniem wybuchu powstania” miała oznaczać „nie rób pan branki, bo jeśli ją zrobisz, to wtedy powstanie wybuchnie”? Trudno dziś oświadczyć na pewno. To pewna, że i wtedy i potem z różnych kół szły nalegania aby brankę odroczyć czy odwołać. To także pewne że tysiące młodych ludzi zrozumiało że datę nowego, nieodwołalnego już wybuchu, wyznaczy data branki.

Tymczasem z początkiem grudnia odbyły się prawie współcześnie dwa konspiracyjne zjazdy w Warszawie. Jeden był czerwonych. Po raz pierwszy ten ich zjazd nabrał wojskowego charakteru. Brali w nim bowiem udział ludzie jak pułk. Zygmunt Miłkowski, słynny później T. T. Jeż, niemal stuletni konspirator, który walczył w 1848 roku na Węgrzech, i Różycki, syn powstańczego generała z 1831, i Langiewicz, oficer pruski, i Sierakowski, rosyjski, i Padlewski — wszystko wodzowie których nazwiska za niespełna rok miały stać się głośne orężnie. Był to zjazd starszyzny powstańczej. I otóż starszyzna powstańcza uznała wprawdzie powstanie za konieczne, ale żądała odroczenia wybuchu do wiosny. Jednocześnie zjazd białych był pełen narodowego optymizmu: powstania — wiedzieli, że może stać się ono tylko klęską — nie będzie. I tylko dwaj uczestnicy zjazdów: Padlewski u czerwonych, Stefan Bobrowski u białych ,dowodzili inaczej. Jakżeż ma wybuchnąć powstanie wiosną, rozumował Padlewski, jeśli na przedwiośniu kraj będzie ogołoconym z najgorętszych żywiołów? Padlewski był w owej chwili naczelnikim wojskowym miasta z ramienia konspiracji. Bobrowski, „biały”, był młody. Obaj doskonale czuli że

masy, tak długo rozgrzewane, rozgrzały się na płynną lawę rewolucji, której zatrzymać już nie będzie można, która się potoczy.

Wodzowie powstańczy mieli najzupełniej rację jeśli chcieli wstrzymać powstanie. Wiedzieli już bowiem dobrze, o czym nie wiedziały masy że nie wszystko jest tak piękne jak to co z dawna obiecywali. Właśnie we Francji policja nakryła agentury zakupu broni, założone świeżo przez czerwonych. Nie tylko poaresztowała ludzi, nie tylko powstanie znalazło się bez arsenału, ale nastąpiła rzecz gorsza. Oto władze francuskie wydały znalezione papiery w ręce ambasady rosyjskiej. Władze francuskie to były władze Napoleona III. Memento było groźne. A więc tak wygląda w praktyce owa tak zapowiadana, tak plotkami podsycana w kraju, wiara w pomoc Francji? Cóż innego zrobiłaby policja Ludwika Filipa? Czy nie mają racji ci co twierdzą, że nie można liczyć na słówka sympatii i łezki współczucia, że Francja na wojnę o Polskę nie pójdzie, choć mogła pójść na wojnę o Włochy niepodległe? W tym samym niemal czasie policja warszawska wpadła na trop drukarni podziemnego organu czerwonych, „Ruchu", dokonała aresztowań i zniszczyła pismo. Była to poważna strata. „Ruch" kierował opinią skrajną, urabiał ją, miał jej zaufanie. Gdyby istniał dłużej mógł być może narzędziem nowych poglądów które poczęły nurtować nie tylko w Komitecie Centralnym.

Albowiem i schyłek 1862 roku i pierwsze dni następnego przyniosły próby niespodziewanego zwrotu. To nie tylko Aleksander Herzen ostrzegał spiskowców rosyjskich przed wiązaniem się z polskim powstaniem które będzie w tych warunkach tylko aktem szaleństwa. To nie tylko „Czas", dotąd grzmiący na brankę, zaczynał nagle pisać inaczej. Radził poborowym kryć się za granicę, a nawet, po raz pierwszy dopuszczać począł możliwość dania się brać w sołdaty, „gdzie także, jak wszędzie można dla Ojczyzny pracować a sławę imienia polskiego roznosić". Nie tylko „Czas" wpadł na tak niespodziane odkrycie. Czerwoni pisali przecież kubek w kubek to samo. „Jeżeli Moskwa, wywodzili teraz, zdoła wziąć kilkaset lub parę tysięcy dzielnej młodzi, to wprowadzi w szeregi armii tyluż apostołów wolności". W ten sposób nalawszy najpierw sporo oliwy na ogień, gdy zaczęły buchać płomienie chwycono za kubły z wodą. Atmosfera była zanadto rozogniona aby ktoś się kwapił do roli apostoła wolności w szynelu sołdackim.

Tymczasem przybył jeszcze jeden, niespodziany sukurs przeciw brance, a wyszedł on z kół które w Rosji popierały Wielopolskiego. Obok pewnych czynników dworskich, obok ludzi jak Bludow, którzy mieli na oku wyższy interes państwa rosyjskiego, byli nimi, jakośmy już wspomnieli, liczni dyplomaci rosyjscy. Rosyjskie ministerstwo spraw zagranicznych, przynajmniej w swej części, było zwolennikiem porozumienia z Polską. Ambasadorzy i posłowie rosyjscy w stolicach Zachodu cierpieli nad tym że rządy nahajem nad Wisłą wyrządzały tyle złej krwi Rosji. Specjalnie zaś dyplomaci rosyjscy pracujący nad zbliżeniem rosyjsko-francuskim obawiali się tego jak ognia. Jednym z nich był poseł w Brukseli hrabia Orłow. Wnuk kochanka Katarzyny, pamiętał dzieckiem jak w pałacu jego ojca przebywał przez pewien czas swego więzienia Tadeusz Kościuszko. Jako stary arystokrata miał raczej współczucie dla grabionej po każdym powstaniu polskiej szlachty, jako kulturalny Rosjanin miał wstręt do kacapskich metod generalskiej dziczy, a jako Rosjanin w ogóle nie nosił zbytnio w sercu tych wszystkich Gerstenzweigów, Bergów, Lüdersów, Immermanów. Teraz hrabia Orłow był jednym z najczynniejszych twórców zbliżenia rosyjsko-francuskiego. Wygładzał starannie stare zadrażnienia z wojny krymskiej, niwelował wzajemne uprzedzenia, starał się o to aby ponad głowami dwóch niemieckich stolic podały sobie ręce Rosja i Francja. Hrabia Orłow się bał, że branka doprowadzi istotnie

do wybuchu, a wybuch podetnie próby porozumienia francusko-rosyjskiego. W tej myśli z Brukseli przybył naraz do Warszawy.

Zebranie grudniowe z Wielopolskim i Orłowem u wielkiego księcia było niewątpliwie tym momentem kiedy ważyły się losy branki. W każdym razie jeśli kiedy to wtedy, były one najbardziej zagrożone. Wielopolski wiedział że Orłow, w odróżnieniu od tylu, tylu innych, jest poważnym partnerem. Orłow wiedział to samo o Wielopolskim. I on nie miał głupich podejrzeń że Wielopolski jest „polskim Wallenrodem" ktory pcha Rosję w klęskę przy pomocy podstępu. Wielopolski wiedział, że Orłow miał rację w tym przynajmniej, że jeśli branka doprowadzi do wybuchu, to wybuch pęknie jak petarda u stóp porozumienia Paryża z Petersburgiem. Wielopolski niemniej jak Orłow chciał tego porozumienia. Czy przewidywał, że doprowadzi ono do wojny z państwami centralnymi? Czy przewidywał, że z tych wojen wyjdzie Austria rozbitą, a Prusy okrojone o ich polskie dzielnice? Jest to bardzo logiczna hipoteza. Inne, szczęśliwsze, przymierze rosyjsko-francuskie doprowadziło do tego w kilkadziesiąt lat później: czy obecne nie mogło doprowadzić do tego wcześniej? Ale Wielopolski wiedział i to także, że czerwoni zbyt długo pracowali nad wybuchem powstania aby je mogli wiecznie odraczać. Wiedział może, że planowany jest wybuch na wiosnę. Wiedział także, że ruch czerwonych w kraju paraliżuje dalsze wprowadzenie reform. Przypuszczał, że branka będzie najlepszą bronią aby „wrzód rewolucyjny przeciąć".

Termin branki był spodziewany od pierwszych dni stycznia, toteż koło lutego okolice Warszawy zapełniły się młodymi ludźmi którzy wyszli z miasta aby uniknąć poboru. Puszcza Kampinoska zaroiła się nimi na szereg dni przed ową nocą z 12 na 13 stycznia kiedy policja i wojsko dokonały, jak zwyczajnie, poboru. Nazajutrz wokoło cytadeli zebrały się tłumy, które żywo komentowały wypadki, złorzecząc głośno i wyzywając, ale tym razem nie margrabiemu, nie Rosjanom, ale Komitetowi Centralnemu. Czy można się temu dziwić? Raczej można by się dziwić gdyby było inaczej. Od przeszło roku Komitet Centralny, tajemnicza władza, nawoływał ich do powstania i wieścił ów dzień. Od przeszło roku zorganizował ich, kazał czekać, używał do demonstracyj, przygotowywał do zamachów. Od przeszło roku obiecywał poparcie całego świata, spisków które wewnątrz Rosji rozsadzą carat, interwencyj które z zewnątrz Rosji przyniosą pomoc Zachodu. Tak ponurymi barwami malował pobór do wojska; tak zapewniał, że nie dopuści by sprzysiężeni brance ulegli. A teraz branka była przeprowadzona. W dodatku wielu ludzi wiedziało, że od szeregu tygodni wszyscy wybitniejsi przewódcy poznikali z Komitetu, z Warszawy, z Polski. Byli gdzieś za granicą. Margrabia się nie omylił w swych rachubach i w zapowiedziach swej prasy. Ci co mogli schronili się za kordon: ci co nie mogli zostali zdani na łaskę losu.

Branka przeprowadzona została bez trudności, a niebawem artykuł w organie Wielopolskiego, w którym poznawano pióro margrabiego, pisał o niej że odbyła się w pełnym spokoju, a wśród poborowych dało się zauważyć „nawet wesołe usposobienie". Ponieważ w Polsce nic tak nie drażni jak słowo pisane, więc ów zwrot służył przez długie lata dla potępiania margrabiego. Wszak było to kłamstwo! Wszak była to nieprawda! Powoływano się na opinię księdza który wszedł do lokalu gdzie zebrani byli poborowi i zastał wielu z nich . . . grających w karty. Gra w karty, chyba tylko w oczach bardzo wielkiego laika, jest objawem szczególnej desperacji. Niedługo potem rekruci z Królestwa mieli powitać cara gromkimi „ura", niczem rekruci znad Kamy czy Oki. Jakże więc było naprawdę? Prawdopodobnie było mniej dramatycznie niż sobie kto wyobrażał. Najbardziej zaciekli zbiegli przecież w lasy i branka ich nie objęła. Na dwa tysiące poborowych Warszawy podobno tylko coś ponad pięciuset miało kontakt z czerwonymi. Zamiarem Wielopolskiego

było przedstawić sprawy w naświetleniu tak samo minorowym, jak ci co pchali do powstania przedstawiali je w wyolbrzymionym. Jeśli zamiar Wielopolskiego chybił, to z innych względów.

Wspomnieliśmy, że niemal cała starszyzna powstańcza nie była podówczas w Warszawie, nie była nawet w kraju, odeszła za granicę. Czy nie chciała być w Warszawie w tych trudnych chwilach kiedy branka przyjdzie a oni nie ośmielą się rzucić hasła? Czy myśleli że bez nich nie dojdzie wybuch do skutku? Czy nie mieli dosyć odwagi aby powstanie do którego rozpalili wyobraźnie, podniecili umysły, ale nie przygotowali — bo nie mogli — warunków, zatrzymać osobistym wystąpieniem? Brać za to zatrzymanie odium niepopularności. Dosyć, że wodzów nie było i tłum warszawski złorzeczył nieobecnym wodzom, jak nieraz w Polsce złorzeczył tym wodzom co swoje wojska opuścili. Ale w miejsce pierwszoplanowych figur w Komitecie Centralnym były drugoplanowe, a raczej trzecio i czwarto planowe. Był, jak czasem w Polsce bywa, zupełny brak ludzi. Sierżanci zamiast generałów. I ci, wobec tego, że młodzież już poszła do lasu, że tłum złorzeczy czerwonym, że branka się powiodła, że kadry na które liczono będą nią przetrzebione, poszła na powstanie. Postanowione zostało na noc z dnia 22 na 23 stycznia. Młoda poetka Maria Ilnicka, w braku lepszych, napisała odezwę do narodów „Polski, Litwy i Rusi". Na prowincji polecono zaatakować załogi rosyjskie w kraju. Komitet Centralny po raz trzeci w swych dziejach zmienił miano. Nie był już „Miejskim", nie był więcej „Centralnym" ale przybrał nazwę która miała przejść do historii. Wystąpił jako „Tymczasowy Rząd Narodowy". W tej tymczasowości leżało piętno dorywczości i pośpiechu z jakim nastąpił ów akt.

„W nocy z dnia 22 na 23 bm stronnictwo bezrządu usiłowało w różnych miejscowościach uderzyć na wojsko w Królestwie konsystujące" oto jak oficjalny komunikat powiadamiał prasę warszawską o dokonanym wybuchu. Nie był on zbyt imponujący. Na 144 garnizony rosyjskie — od czasu zamachowej działalności czerwonych siły rosyjskie wzmocniły się niemal pięciokrotnie — tylko kilkanaście uległo napadowi, wszystkie nieszkodliwemu. Następne dni miały dowieść, że lud nie dał się poruszyć, pomimo obietnic nadań ziemi, zwolnienia nie tylko od pańszczyzny, ale i czynszów. Było nawet przeciwnie. W parę dni po wybuchu powstania chłopi w Krasnostawskim dostarczyli policji dwudziestu „podżegaczy", a w tym jednego księdza. W Białaczewie chłopi rozgromili powstańczą partię, w Końskim bandy chłopskie rozpoczęły tropienie po lasach, w Sannikach w Kutnowskim, zabili nawet księdza reformata który nawoływał do powstania. O faktach tych nie lubi wspominać legenda, ale niemniej są one faktami. Gdyby policja była w ręku rosyjskim, a nie polskim, i gdyby chciała pójść za wzorem austriackim sprzed kilkunastu lat, mielibyśmy niewątpliwie nie jednego, ale bardzo wielu Jakubów Szelów, a rzeź galicyjska miałaby w Królestwie Polskim rozszerzoną powtórkę. Ale, na szczęście, a wbrew woli roztropnego społeczeństwa, na czele rządu i reform stał jescze nie „człowiek obcy", ale rodak, który właśnie oczyścił był administrację Królestwa z Breindlów w rosyjskim wydaniu. Jedno pozostało pewnym ruch chłopski z powstaniem nie poszedł. Stanął przeciwko niemu.

Natomiast nasuwało się zadanie wstrzymania ruchu i w tym celu narzuciła się konieczność innej, ostatniej gry, w której Wielopolskiego zawiodła ostrożność. Ci co uszli do lasów byli dezerterami z wojska i wojsko powinno się było o nich upomnieć. Wojsko było to wojsko rosyjskie. Wielopolski wiedział że ma w nim wroga, że tak samo jak biurokracja rosyjska tak samo carska generalicja widzi w Królestwie tylko teren do łatwej i sutej obłówki, niezależnie od tego czy to wyjdzie na dobre racji stanu rosyjskiego państwa. Czy Wielopolski sądził jednak że spełnią oni posłusznie każdy rozkaz swej władzy, zwłaszcza gdy jest nią brat cesarski?

Zapewne tak. Musiały go zmylić wschodnie pozory służbistości, dyscypliny i uniżenia. Zawierzył. W konferencji z generałami rosyjskimi u wielkiego księcia narzucił im nawet jeszcze cały swój plan działania. Oto wojsko rosyjskie otoczy okolice leśne na północ od Warszawy, i obławą, jak nagonka, zagarnie tych co się tam zeszli. Generałom rosyjskim było to w smak, ale dalszy wymóg Wielopolskiego im nie odpowiadał. Wojsko rosyjskie wejdzie w te lasy bez amunicji, z samymi bagnetami tylko. „Ależ oni maja rewolwery" próbował oponować któryś z generałów. „Ja przed ich rewolwerami obroniłem się laską" przypominał jeden z zamachów sierpniowych margrabia. I wojsko poszło na tę pierwszą obławę z karabinami nienabitymi, aby żaden strzał nie mógł paść.

Zamiarem Wielopolskiego było niewątpliwie powstrzymać tym rozlew krwi, ale zarządzenie dało odwrotny skutek. Pod Ciołkowem padł niebawem pułkownik rosyjski Kozlaninow a z nim kilkudziesięciu żołnierzy rosyjskich zabitych pałkami i kosami właśnie dlatego że nie strzelali do osaczonych brankarzy. Było to pierwsze właściwie zwycięstwo nad Rosjanami. Teraz z jednej strony konspiracja wyniosła pod niebiosy owo zwycięstwo, z drugiej strony generałowie rosyjscy uderzyli na larum. Czy był to tylko sprytny manewr, czy chwila paniki? Dosyć że garnizony rosyjskie otrzymały rozkazy koncentracji, poopuszczały szereg miejscowości, pozostawiając magazyny wojskowe, zapasy, nieraz nawet zapasy broni. Opuszczone miejscowości zajmowały teraz bez żadnego trudu, ale za to z wielkim rozgłosem, partie powstańcze, nabierając sił, pomocy i otuchy. Luty przynosił echa dalekich strzałów. Pod Suchedniowem Czachowski. Pod Świętym Krzyżem Langiewicz. Wedle jednej plotki generał Mierosławski z tysiącem wiernych już zdobył Kujawy, wedle innej Sadyk Pasza Czykowski już z Turcji kroczy przez Podole. Obok wieści nadziei, szły wieści grozy. Rosjanie spalili Suchedniów, Wąchock, Węgrów, napadli na zebranie towarzyskie na wsi u hrabiego Poletyłły i zabili tam kilka osób, a poranili resztę. Poletyłło był członkiem Rady Stanu, owego polskiego senatu z reform Wielopolskiego. Jakże wygląda szanowanie polskich instytucyj przez carskie żołdactwo?

Wyglądało ono fatalnie. Generalicja carska nareszcie odegrywała się na Wielopolskim za wszystkie poniżenia. Pamiętała, że niedawno jeszcze, w dzień nowego roku 1863, kiedy „cała Warszawa" zebrała się na salach Zamku aby składać życzenia wielkoksiążęcej parze, Wielopolski zagrodził drogę tejże generalicji, kiedy jako pierwsza spieszyła w stronę tronu. „Najpierw Rada Stanu" zadeklarował — i polscy cywile przeszli przed rosyjskimi wojskowymi. W kilka tygodni potem kozacy rąbali bezkarnie szablami dom jednego z owych cywili. Ale mogli rąbać. Teraz bowiem mieli wiatr za sobą. W prasie rosyjskiej podniosła się fala nacjonalizmu, wzywająca pomsty za „pomordowanych kijami żołnierzy Kozlaninowa", za wymyślone lub prawdziwe potyczki, za rzekomy „srom" zadany rosyjskiemu honorowi wojskowemu. Zarazem padały oskarżenia przeciwko Wielopolskiemu. Oto do czego doprowadziły jego „reformy". Oto rezultaty cackania się i ustępstw. Czy w ogóle można mu było wierzyć? Rosyjska podejrzliwość święciła swe tryumfy. Naraz, w oczach społeczeństwa rosyjskiego, jedyną ostoją Rosji nad Wisłą stawała się z powrotem armia. Jej zadaniem szczytnym, wielkim i patriotycznym było przeprowadzenie prawdziwej pacyfikacji.

Nie ma ani jednego historyka tych czasów który by nie przyświadczył, że powstanie było nader łatwe do zażegnania w pierwszym okresie wybuchu. Jedynym punktem spornym jest to dlaczego w takim razie tak się nie stało. Niektórzy historycy są zdania, że spowodowała to niesłychana niezdarność wojskowych rosyjskich, inni — w tym szereg historyków sowieckich — przychyla się do tezy, że po prostu — nie chcieli. W każdym razie jedno możemy stwierdzić. Oto długotrwałość powstania wyszła niezmiernie na

korzyść tych co je tak powoli tłumili. Gdyby wybuch spalił na panewce, represje i nagrody nigdy nie mogłyby przybrać tak olbrzymiego charakteru jak przyjęły w rok i w dwa lata później. Wybuch nie rozszerzyłby się na element który niebawem miał być główną jego podstawą. Na masy białych. Ale też, gdyby wybuch i tłumienie jego nie przybrało tych rozmiarów, nigdy by pomiędzy dwoma narodami nie wyrosła taka przepaść nienawiści i nieufności. To pewna, że każdy dzień teraz pogłębiał tę przepaść, tak samo jak na skutek interwencji dyplomatycznej francuskiej, potem angielskiej, pogłębił się rozbrat pomiędzy Rosją a Francją, ułatwiło porozumienie Rosji i Prus, a wreszcie prąd podmył zarówno reformy jak i osobę Wielopolskiego.

Interwencja francuska nastąpiła w marcu. Było jasnym że w razie wybuchu rząd francuski będzie musiał uczynić jakiś gest, ponieważ zbyt pochopnie Polaków podtrzymywał i zbyt wiele ukazywał im widoków. Ale było także jasnym, że ograniczy się ona do dyplomatycznych not, widzeń, i ochłodzeń stosunków, że poza te ramy nie wyjdzie. Gdyby wyszła, Prusy również poszłyby dalej niż pomoc w wyłapywaniu powstańców jak to już zrobiły. Natomiast interwencja francuska spowodowała nowy atak wściekłosci rosyjskiej opinii publicznej, nowe poparcie polityce „silnej ręki" nad Wisłą, to znaczy tylko dalsze pogorszenie stosunków. Nie tylko polsko-rosyjskich, ale polsko-francuskich, i Hrabia Orłow nie miał już doczekać się za swoich dni dojścia do skutku tego płodnego porozumienia nad którym tak aktywnie pracował. Za to Bismarck zacierał ręce. To co zrobili czerwoni było mu tak samo na rękę jak było mu nie na rękę to co robił przedtem Wielopolski.

We wspomnieniach jakie w najbliższej okolicy Chrobrza przetrwały do naszych czasów przechowało się wspomnienie o starym margrabim jako o zapalonym myśliwym. Lasy Chrobrza do naszych czasów obfitowały w grubego zwierza, z niedalekiej „puszczy jodłowej" przy Świętym Krzyżu przemykały tam jelenie i dziki-odyńce. Otóż teraz to z kolei Wielopolski był takim odyńcem-samotnikiem, dopadniętym w kniei przez sforę, szarpanym ze stron wielu, może czującym już, że nie ujdzie. Ale odbijał ciosy. W rozgwarze strzałów powstańczych przeprowadził jeszcze usunięcie języka rosyjskiego z protokółów Rady Stanu, naznaczenie kilku biskupów do nieobsadzonych stolic, powierzenie teki spraw wewnętrznych Polakowi w miejsce Rosjanina Kellera. Odnosił jeszcze i zwycięstwa. Tak na przykład młodzież akademicka Szkoły Głównej nie poszła do powstania. Jej przewódcy i ogół oparli się nawoływaniu, pomimo że już wtedy „biali" przystąpili do powstania, „skoro już ono jest", i opanowywali jego kierownictwo, wyrugowując czerwonych. Przewódcą tej młodzieży przeciwnej powstaniu był postępowy student, potem głośny uczony, późniejszy teść polskiego premiera i ministra oświaty, sam kontrkandydat Narutowicza przy wyborach pierwszego Prezydenta R.P. Nazywał się Baudoin de Courtenay: przeciwnicy powstania nie byli więc koniecznie ludźmi prawicy. Byli nimi ludzie u których rozum brał górę nad uczuciem.

Odyniec umie czasem rozpłatać co dokuczliwszego ogara. I tak Wielopolskiemu udało się w marcu wylanie generała Ramsaya, dotychczasowego głównodowodzącego wojsk rosyjskich w Królestwie. Ale zwykle w miejsce jednego ogara rzuca się inny, — i następcą Ramsaya został generał który już się wprawił w grabieniu Polski po roku 1830, zasłynął z okrucieństw w krajach bałtyckich, i miał zapisać się niezwykle ponuro w dziejach polsko-rosyjskich. Był to jeszcze jeden Niemiec: Berg. Berg uzyskał szybko wpływ na wielkiego księcia Konstantego i niemniej szybko starł sie z Wielopolskim. Ale odyniec był już strudzony walką, kiedy nowy ogar ze smyczy carskiej był wypoczęty. I nie był samotny.

W połowie kwietnia przyszedł ostatni owoc współpracy Wielopolskiego i dyplomacji zachodniej. Car ogłosił amnestię. W ciągu miesiąca pow-

stańcy mieli złożyć broń: prócz byłych wojskowych rosyjskich nie uległiby karze: reformy byłyby utrzymane: car zapowiadał nawet ich rozszerzenie. Ale amnestia przeszła w Kraju bez echa. Opinia polska zaatakowała przede wszystkim szereg jej niefortunnych stylistycznych zwrotów w których uznała obrazę narodu. Dalej, któż miał właściwie odprowadzić powstanie do domu ? Luźni, pojedyńczy przewódcy pojedyńczych oddziałków? Centralne kierownictwo było raczej symbolem. A wreszcie, i z Francji i z Austrii szły głosy podniety. Napoleon III-ci nawiązał mętny kontakt z Hotelem Lambert : z Krakowa szły dyrektywy by powstanie rozszerzyć jak najbardziej, bo „krew przelana oznaczy granice Polski". „Jeszcze nieco wysiłków a byt Polski, przynajmniej piętnastomilionowej pewny" szeptał inny agent, widocznie zapominając, że Polska piętnastomilionowa — to jednak już nie są „granice z 1772 roku". Paweł Popiel, który teraz po społu z czerwonymi szedł na powstanie, przywoził nawet z Paryża wiadomość o „dostępie do morza". Ale najsilniejszym echem miało zapaść w lasy i w serca polskie jedno krótkie słówko rzucone do powstanców rzekomo przez Napoleona III-ciego. „Durez". „Trwajcie". Po wielu, wielu latach, kiedy historycy zainteresowali się tym słówkiem, okazało się że nie bardzo wiadomo komu powiedział je właściwie cesarz. Podobno...ambasadorowi austriackiemu. Ów poseł austriacki istotnie zasługiwał na zaufanie Polaków. Nazywał się Metternich.

W opustoszałym Pałacu Bruhlowskim trwał dalej opuszczony Wielopolski. Kiedy dochodziły do niego pogłoski o rychłej i wspaniałej interwencji zachodniej, rąbał tylko jednym pytaniem: „A czy flota anglofrancuska już przybyła pod Częstochowę?" Ale, wbrew zapowiedziom z austriackiego zaboru jakoś jej brakło. To prawda, zbierano składki i pisano w gazetach, przemawiano w parlamentach. Walczyli francuscy żuawi pułkownika Rochebruna, miał paść dzielny Włoch, Nullo. Tak jak zginął szlachetny Rosjanim Potiebnia. Ale to o co Zachód gotów był interweniować — orężem łagodnej perswazji — były granice 1815 roku. Z grubsza linia Bugu. Powstanie w niczym nie zmieniło tu stanowiska Zachodu. Grupa skrajnych rewolucjonistów zachodnich, od dawna odnosząca się z niechęcią do samodzierżawnej Rosji, a pozyskana przez polskich demokratów à la Lelewel nawet dla granic 1772 roku, miała zawiązać w Londynie komitet pomocy powstaniu, którego duszą był niejaki Karol Marks, a z którego narodziła się później babunia Kominternu — Pierwsza Międzynarodówka. Ale i to nie pomogło powstaniu, a, jak się zdaje, nie leżało zbytnio w projektach białych. Ci zaś teraz brali w walce górę. Ich kadry były liczniejsze, mieli silniejsze bazy w Galicji i Poznańskim, dyplomację emigrancką z Hotelu Lambert, a wreszcie masy księży na zapadłej wsi. Z ich szeregów miał wyjść symbol powstańczego ofiarnictwa — Romuald Traugutt.

Z ostatnimi ciosami jakie jeszcze zadawał w walce Wielopolski łączyły się już ciosy jakie otrzymywał. I tak owego kwietniowego dnia kiedy Polak obejmował w Królestwie sprawy wewnętrzne, car podpisywał dla Litwy inną nominację — Murawjewa. Członkowie Rady Stanu podawali się do dymisji podważając tę polską instytucję. W Rosji doszła do szczytu fala świętego gniewu. Ogarniała nawet lewicę, nawet liberałów. Odosobnionym przyjacielem Polski pozostał tylko wygnaniec, wielki Herzen. Aleksander II-gi otrzymywał teraz płomienne adresy rosyjskie wzywające go do nieustępliwego stanowiska. Szlachta kostromska pisała o „naszym rosyjskim prawie do Polski": „nie ustąpisz, monarcho, własności państwa rosyjskiego" zaklinała rada miejska Moskwy. Temu car nie mógł się oprzeć. Tak ongiś prosząc groził Karamzin Aleksandrowi 1-emu gdy nurtowały pogłoski że idzie na ustępstwa Polsce. Prasa biła konkretniej niż szlachta i rady miejskie. „Nie ulega wątpliwości, stwierdzały „Moskie-

wskije Wiedomosti" nie są ani bandy powstańcze, ani rząd narodowy, ale cywilna administracja Królestwa". I atak koncentrował się na Margrabim.

W czerwcu drzewo podcięte miało otrzymać ostatni cios. Nie był on większy od wielu innych, ale przeważył szalę. Oto 9 czerwca 1863 roku z Kasy Głównej Komisji Skarbu znikły 3.602.461 rubli: z kasy głównej ministerstwa skarbu! W biały dzień! Niebawem okazało się, że po prostu zaufani kasjerzy przekazali tę kwotę kasom... Rządu Narodowego który pokwitował z odbioru i pochwalił czyn. Mniejsze wydarzenia w tym wypadku już się działy, ale obecnego nie sposób było zataić lub zbagatelizować. Dowodził on jednego: że polska administracja Królestwa stworzona przez Wielopolskiego nie zasługuje na zaufanie. Już przedtem prasa rosyjska i biurokracja Petersburga powoływała się na sabotaż spisu poborowych, na ucieczki urzędników do powstania, na „przekazywanie" pomniejszych kas, i tym podobne wypadki. Już od lutego sugerowała zastąpienie pewnej części „niepewnych" urzędników Polaków „pewnymi" urzędnikami rosyjskimi... Wielopolski odrzucił to stanowczo — i wziął odpowiedzialność za stworzony przez siebie aparat. Teraz było oczywistym, że nie mógł jej brać więcej. Chyba uzasadniałby podszepty rosyjskie, że jest on istotnie „polskim Wallenrodem" skrycie sprzyjającym powstaniu. Wyciągnął konsekwencje. Podał się do dymisji.

Podawał się już do niej w końcu kwietnia, ale jeśli jej i wtedy i zaraz nie uzyskał, to zapewne dlatego, że car wiedział, iż w oczach Zachodu Wielopolski sygnalizuje to że reformy trwają, a jeśli on odejdzie, Zachód zrozumie, że nad Wisłą wraca już w pełni generalski nahaj, brzęk ostróg i potęga szpicli. Ale teraz carat miał lepszą sytuację. Wiedział już, że Zachód nie jest skłonny do bardziej aktywnej interwencji o Polskę. Wiedział, że jego praca także odwraca powoli swą uwagę od lasów Małogoszczy, Miechowa czy Siemiatycz, ku rozgorzałej właśnie wojnie secesyjnej w Stanach Zjednoczonych. Była to wojna niezwykle atrakcyjna dla wszystkich. Chodziło w niej o wyzwolenie Murzynów, spopularyzowanych w świecie „Chatą wuja Toma", gdy inni żałowali ziemiańskiego uroku starych Georgii, Wirginii, Karolin dobrze nam dziś znanego z „Przeminęło z wiatrem" a inni wierzyli w demokrację yankeskiej Północy. A jeśli komuś nie wystarczał Charleston i Potomac, to właśnie wybuchały inne walki w kolorowym Meksyku... - Sprawy polskie, ze swą beznadziejną martyrologią schodziły z łamów prasy do krucht kościelnych w Bretanii, do klubów konspiracyjnych na przedmieściach Paryża. Nie prędko miały z nich wyjrzeć. Rosja mogła już usunąć margrafa.

7 lipca przyszła z Petersburga „najwyższa zgoda" na urlop dwumiesięczny „celem poratowania zdrowia" i pozwolenie, jakie Rosja zawsze udzielała skąpo: na wyjazd za granicę. Zdrowie Wielopolskiego było istotnie przeżarte do cna i kilkanaście lat jego dalszego życia, na dobrowolnej emigracji w Dreźnie, były już istotnie tylko powolnym konaniem. Niemal w tym samym czasie car „najmiłościwiej" wzywał do siebie na „czasowy wyjazd" wielkiego księcia Konstantego, — i także co domyślejsi wiedzieli, że wielki książę więcej tu nie wróci. Po co? Aby członek dynastii, liberał i słowianofil prezydiował kaźni? Do tego car ma dosyć generałów. Obie postaci polsko-rosyjskiego porozumienia schodziły tak ze sceny dziejowej, i Austria oraz Niemcy mogły odepchnąć, że po checzach kaszubskich, po słowackich wsiach i starych czeskich miastach, a nawet gdzieś w dalekiej, ale słowiańskiej Chorwacji, przestaną się budzić ciągoty na wieść niejasną o wykluwaniu się tam nad Wisłą, z porozumienia dwóch głównych słowiańskich narodów, jakiegoś wyzwolenia ziem nad Wełtawą, Odrą i sinym Wagiem. Któż zatem pozostawał na polu bitwy? Pozostawał głównodowodzący wojsk rosyjskich któremu już parę miesięcy przedtem powierzono zastępcze pełnienie obowiązków namiestnika w wypadkach „czasowej nieobecności" cesarskiego brata. Tak, nad ciemnym

niebem Królestwa, wzeszła złowróżebna przeklęta dla Rosji i dla Polski gwiazda Berga.

W pałacu bruhlowskim, u jego boku, „tam gdzie margraf pisał swe przebiegłe raporty" ulokował się Milutin z całym swoim programem wyniszczenia polskości w urzędach, w prawie, na wsi, w szkole, w pacierzu nawet. Był to „lewicowiec biurokratyczny" — i przez szereg lat swych rządów był pełen miłości dla polskiego chłopa. On to wyzwalał go spod niewoli szlacheckiej. Wyzwalał tak pięknie, że kiedy w kilkadziesiąt lat potem armie rosyjskie opuszczały Królestwo, był to kraj liczący więcej analfabetów niż cała reszta Europy, posiadający najgorsze w Europie drogi, najsilniejsze wrzenie socjalne, i utajoną, trzaskającą jednak strzałami rewolwerów i bombami zamachów, nienawiść do Rosji. Wiedeń i Berlin mogły się cieszyć. Jeśli Rosja w umysłach polskich nie miała się łączyć z Tołstojem i Turgeniewem, ale z nahajem i kibitką, jeśli pojęcie słowiaństwa miało napęcznieć gorżką ironią, jeśli mowę Puszkina którą kochał Mickiewicz miał nienawidzieć tak lewicowy pisarz jak Żeromski, to wszystko było tylko produktem tego co Królestwu przyniosły rządy obcej generalicji i obcej biurokracji otworzone tu nazwiskami Milutina i Berga.

Wielopolski opuścił Polskę 14 lipca i wyjazd jego, wobec tego że próby zamachów nie ustawały, odbył się w ścisłej tejemnicy. Podróżni na stacji w Aleksandrowie nie mogli podobno pojąć, dlaczego naraz dworzec obstawiono kordonem piechoty i żandarmów, dlaczego przy salonce pociągu idącego ku Otłoczynowi i granicy pruskiej stanęli zbrojni pruscy policjanci, czym uzasadnić zdenerwowanie oficerów, niepokój żołnierzy? Przy trzecim dzwonku — ostatnim sygnale odejścia pociągu — wszystko stało się jasnym. W otoczeniu rodziny, w towarzystwie zaufanego człowieka rządu narodowego — także dla bezpieczeństwa — ukazała się dobrze znana, ciężka, rozlana tuszą w ostatnich chorych miesiącach, postać Wielopolskiego. Poznano szerokie ramiona, silny kark i wielką głowę buldoga. Tłumem poszedł szept: „Margrabia"... I wtedy stało się coś czego nie mogli zrozumieć ani żandarmi rosyjscy, ani policjanci pruscy, ani delegat pow tańczy, ani rodzina Wielopolskiego, ani późniejsi historycy polscy. Oto na widok znienawidzonego człowieka publiczność polska naraz poodkrywała głowy. Na małym dworcu w lipcowy ranek nastało przeraźliwe milczenie, słychać było tylko sapanie lokomotywy, brzęk ostróg żandarmskich i kroki, ostatnie kroki jakie robił ten człowiek na ziemi polskiej. „Smutek, jakiś ciężki przygnębiający smutek, ogarnął obecnych, pisze lewicowy historyk. Na widok człowieka wyzywanego od zdrajców, szkalowanego bezkarnie, ogłoszonego z rodziną za ‚wyjętego spod prawa', uważanego za ‚narzędzie moskiewskie' stano teraz nieruchomo na tym przygodnym peronie i z kapeluszami w ręku, ku zdumieniu żandarmów i żołnierzy rosyjskich, spoglądano w stronę oddalającego się pociągu, wśród odznak szacunku jaki się jedynie monarchom ukazywać zwykło"

Być może, było to nagłe przeczucie jak straszliwa klęska narodowa nastaje właśnie z upadkiem i odejściem tego człowieka. Pod jej brzemieniem istotnie marniały potem trzy pokolenia polskie, a nasze życie obecne nosi wciąż jeszcze, nie wiedząc o t m, jego ślady. Być może był to hołd oddany jedynej postaci owych czasów w których później z Piłsudskim mieliśmy się w pierwszym rzędzie doszukiwać wielkości. Czy Wielopolski dostrzegł ową zmianę i czy też się zdziwił? Tego historyk nie zapisał. Ale ci co znają Wielopolskiego wiedzą, że jemu jednemu nie było to dziwne i jemu jednemu było to teraz bezgranicznie, ogromnie obojętne. Wielopolski wiedział, że Polska daje władzę, uznanie, szacunek, miłość, za życia tylko mydłkom, bufonom, warchołom, zajazdowiczom i silnogębskim, tym co kadzą, cmokają i broń Boże nie tykają narodowych ran, i że wielkość doczekuje się u nas wspaniałego uznania — po śmierci. I Wielopolski

wiedział że okruch tego uznania, tego szacunku, tego zaufania jakim zaczęto go darzyć już niebawem, ale po niewczasie, z jakim jego nazwisko utrwalił Aleksander Świętochowski, Józef Piłsudski, Feliński, Spasowicz, Prus, Sempołowska, Grabski, Dmowski byłby jeszcze temu parę miesięcy może odwrócił bieg cały narodowych spraw. A teraz te głowy odkryte na przygodnym dworcu w Królestwie, te słowa uznania co przyjść miały od najświatlejszych i najdalszych, były już tylko tym czym jest bujne, majowe kwiecie, naraz całą duszącą masą rzucane na trumnę człowieka którego udziałem jedynym były dotąd błoto, kamienie i ciernie.

STEFAN THEMERSON

RECEPTA A.D. 1944

I Weź móżdżku dziecka 3 łyżki,
weź katechizmu ziarnko
i wrzuć do glinianej dzieżki. . . .

II Weź z żyda ucho, z moskala nos, z niemca pazur,
utrzyj razem i wpuść
w tęczówki oka lazur. . . .

III Ziemi weź garść z Europy,
dodaj z żołnierza krwi,
zamieszaj, zjedz, popij. . . .

IV W glinianej dzieżce wymyj twarz,
w lazurze oka — stopy,
i śpiewaj, śpiewaj: Ojcze Nasz. . . .

V A potem weź mosiężny dzban
i wszystko coś połknął — oddaj,
3 razy wkoło puść się w tan. . . .

VI Z dwóch głodnych suk macice weź,
nadziej je tem co masz w dzbanie,
i znów 3 razy zapiej pieśń. . . .

VII I kiedy dzwonu głuchy głos
w noc nowiu wbije dwunastą,
w ruinach miasta zapal stos. . . .

VIII Zaś na tym stosie zagrzej płód,
puchnący w suczem łonie,
a w ręce weź kolczasty drut. . . .

IX I każdy drutu tego cierń
unurzaj w wisielca sercu,
aż czerwień stanie się jak czerń. . . .

X Czerni tej zeskrob szczypty 3
i foetus suczy nią posyp.
Nim kur zapieje — sypną skry. . . .

XI Nim kur zapieje — sypną skry,
nim kur zapieje — buchną mgły,
opary wzniosą się do góry
i pęknie wrzód, i cud rodzenia
w kurczach się krwawych rozczerwieni
i wyda dziecko: u nóg — szpony,
u rąk — pazury,
w pysku — kły!
DZIECKO EUROPY — twór szalony,
olbrzymi szczur — zadowolony,
samiec wąsaty,
zwierz tragiczny,
fanatyk
ideologiczny. . . .

XII Wtedy weź szpilkę z kapelusza,
niepoświęcaną szpilkę świecką,
odgarnij szarą sierść z podbrzusza
i, zanim zacznie się poruszać,
przekłuj nią straszne, groźne dziecko. . .

TEODOR PARNICKI

SPOWIEDŹ OTTONA TRZECIEGO

Kiedyś w Rheims Aron wszedł na wieżę obok kościoła świętego Krzyża. Z zaciekawieniem i podziwem przyglądał się dzwonowi wielkiemu którym nie bez słuszności chlubili się arcybiskupi w Rheims przed całą Frankonią Zachodnią, a nawet przed całym chrześcijaństwem — w Anglii takich dzwonów Aron nie widział. Z obawą pociągnął za sznur—daremnie, dzwon żadnego nie wydał głosu. Opór ów podniecił Arona: tak długo ciągnął za sznur, wszystkie swe wytężając siły i całą zręczność, aż rozległo się wreszcie uderzenie, potem drugie, trzecie, czwarte, i oto doniosłe dzwonienie popłynęło nad miastem, budząc powszechne zdziwienie i niepokój, iż oto w kościele dzwonią o nieprzepisanej porze... Zawstydzony, zalękniony Aron usiłował przywrócić ciszę: daremnie, na nic siły i zręczność, rozkołysany dzwon był mocniejszy od niego, wyrwał mu się nawet gwałtownie sznur z dłoni martwiejącej.

Rozkołysana dusza Ottona wyrwała mu się jak ów dzwon w Rheims. Natarła nań doniośle szumiącą falą wyznań, których szczerość nieprzeczuwana przeraziła Arona. Była chwila, że chciał nawet zatkać uszy: wydało mu się, iż popełnia świętokradztwo, słuchając takich rzeczy o majestacie Ottonowym. To zaś, że słyszy je z ust Ottona samego, potęgowało tylko grozę, tym bardziej, że cesarz raz po raz przerywał sobie namiętnym gorączkowym łkaniem. Wołał, że nie, nie chce, nigdy nie zechce, by mu jakakolwiek, najdostojniejsza choćby małżonka, zrodziła dziedzica: nieszczęsne bowiem byłoby to dziecię, o tyleż słabsze i biedniejsze od swego ojca, o ile on, Otto, słabszy i nieszczęśliwszy jest od Ottona Czerwonego, a jeszcze bardziej od swego potężnego dziada, Ottona Pierwszego... Majestat zaś wspaniały i groźny Imperium światowładnego złączyć się powinien z mocą pełną szczęścia, nie ze słabością nieudolną... Myśl wspaniała Ottona Trzeciego potrafiła ogarnąć dziedzictwo Romy przedziwnej, Romy potężnej i pojąć wszystkie tego dziedzictwa nakazy — zdołała wysnuć z siebie zamierzenia dumne, odrodzić Imperium Rzymskie mające, — ale dokonanie owych zamierzeń za wielkie to brzemię dla

biednej duszy Ottonowej... Aron drgnął, przypomniawszy sobie słowa papieża: „Niebawem zrozumiesz, jak biedna jest ta dusza, z którą będziesz rozmawiać, o ile zdołasz sprawić, by ci rozmawiać z sobą pozwoliła.” Owszem, zdołał sprawić. Otto rozmawia z nim, ba, mówi mu takie rzeczy, których nie chce słuchać, boi się słuchać — przerażają go, przyprawiają o dreszcz, o zamęt straszliwy... Mówi mu o tym, że majestat Boży, zlitowawszy się nad słabością Ottona a sprzyjając jego zamierzeniom szlachetnym, świętym, pełnym dumy—wskazał mu drogę — drogę daleką, trudną, dotąd imieniowi Rzymskiemu obcą, ale jedynie prawidłową drogę — taką, która go zaprowadziła w objęcia braterskie męża najpotężniejszego z potężnych — jedynego, który godzien jest imienia Cezara Imperatora Augusta — jedynego, czyje barki nie zachwieją się, nie drgną nawet pod ciężarem dziedzictwa Romy... Mężem tym Patrycjusz Imperium, Bolesław, książę polski... Teraz srebrne przed nim noszą orły, — ale poniosą złote... Poniosą... Otto tego pragnie, Otto tego dokona...a gdy dokona, ze spokojnym sercem uda się do pustelni, by błagać majestat Boży o zmiłowanie nad jego biedną duszą, taką słabą, taką grzeszną... Nie, nawet nie będzie czekać tak długo: moc szczęśliwa Bolesława, przez mądrość wspaniałą papieża Sylwestra Drugiego wsparta, sama wywalczy dla siebie złote orły i diadem i purpurę i władzę nad całym okręgiem ziemskim... Niedaleki już dzień, gdy świat ujrzy nagle odejście Ottona do pustelni... Pójdzie na moczary podraweńskie do Romualda, pokutnika najsurowszego z surowych, albo jeszcze dalej...daleko, daleko...wzniesie sobie szałas pustelniczy na ziemi słowiańskiej, gdzieś najbliżej grobu, w którym spoczywa przyjaciel Ottonowy, święty męczennik Wojciech Adalbert... — Odpuść, odpuść, Panie, sługę twego w pokoju, bo utrudzon bardzo...

Aron znowu czuł silne tętnienie w skroniach, silny szum w uszach. Barbarzyńca słowiański nosicielem majestatu Romy? syn nowochrzczeńca władcą chrześcijańskim? Przecież dobrze pamiętał, jak Dedi oburzał się i wygrażał, gdy ów Bolesław Patrycjuszem mianowany został... Patrycjuszem tylko, nie Cezarem Augustem! Krzyczał, że shańbione są srebrne orły, gdy taką pierś zdobią. Srebrne nawet, nie złote! A cóż ojciec najświętszy myśli o tym? Nigdy nawet nie zająknął się o takiej możliwości! Przecież Bolesława nikt nigdy nie widział w Rzymie: przecież jutro w pochodzie uroczystym na Kapitol poniosą srebrne orły przed koniem bez jeźdźca na siodle! Ogarniała Arona rozpacz bez granic na myśl, że nie będzie mógł z papieżem mówić o zamierzeniach Ottona, Bolesława dotyczących, — bo na spowiedzi się o tych zamierzeniach dowiedział! Przerywanym głosem zapytał cesarza, czy nie uważa, że zrobi krzywdę rodowi i plemieniu swemu, odbierając im purpurę i diadem, a obcemu je przekazując.

— Przed obliczem majestatu Romy, światem całym rządzić powołanej — odrzekł Otto — niemasz różnicy między plemionami... A zresztą, ojcze, czyż Pan Niebieski nie odebrał dziedzictwa Izraelowi, by przekazać je poganom? Tak samo Roma odebrać władna dziedzictwo swe Niemcom i Słowianom je przekazać...

Westchnął ciężko. — Moje plemię, powiadasz — syknął boleśnie — jakież jest moje plemię, ojcze?... Powiedz: jakie, jakie?

Znowu łkał prawie. Znów musiał go upomnieć Aron, by ściszył głos. Gorączkowo, namiętnie wołał, krzyczał nieomal: Niemcy go mają za Greka, Grecy za Niemca... Jest Rzymianinem, a Rzymianie widzą w nim barbarzyńcę... — Jakie plemię jest moje? Jakie? Jakie? A mój ród? Tak, tam w niebiosach na prawicy Bożej zżymają się może i boleją potężni Otto Pierwszy i Otto Czerwony, że diadem i purpura z ich rodu do obcego przejdzie... Ale czemuż to oni — owi dwaj wspaniali Ottonowie — nie wybłagali u majestatu Bożego, by silniejszego im dał wnuka i syna? A zresztą, co jest ważniejsze: ród czy potęga Imperium? W starym Rzymie cesarze, mądrością i potęgą najznakomitsi, nie w synach krwi

swojej bynajmniej dziedziców upatrywali, ale odwrotnie, tych, kogo za godnych dziedzictwa uważali, synami swymi czynili... I on, Otto, także Bolesława polskiego synem swym uczyni, choć wedle lat i mądrości i potęgi ojca ma w nim raczej... Oczywiście, mógł Otto postarać się, by od rodu jego nie odeszły purpura i diadem...mógłby, gdyby go wcześniej oświeciło natchnienie Ducha Świętego... Mógłby Matyldę, siostrę swoją, zamiast Herrenfrydowi, Bolesławowi dać za żonę... Ale wówczas ciemny jeszcze był, pycha go zaślepiała plemienna: po społu z innymi głupcami wierzył, że nie godzi się oddawać córki cesarskiej nowochrzczeńcowi i Słowianinowi... Ukarał go Bóg za ciemnotę i pychę... Przyjechawszy do Gniezna, pojął, że nikt nie jest tak godzien siostry jego, jak Bolesław, — ale za późno było... Mógłby Adelhejdę lub Zofię skłonić, by klasztor opuściły — gniewałby się o to ten i ów opat czy biskup, ale nie zważałby na to, zmusiłby którąś z sióstr, by wyszła z klasztoru — na nic jednak i to, bo Bolesław już wziął sobie tymczasem nową żonę, jakąś zupełnie niegodną jego wspaniałości i potęgi księżniczkę słowiańską... A możeby skłonić go, by oddalił tamtę żonę, by wziął Zofię tak jak ojciec jego Odę z klasztoru sobie wziął?!

— Całybyś Kościół święty przeciw sobie i przeciw Bolesławowi, synu, podniósł — surowo rzekł Aron:— Podwójnie byście ciężki popełnili grzech...

— Może słusznie mówisz. Kościół święty musimy mieć z sobą — nie przeciw sobie — my obaj: ja i Bolesław... Ale przecież coś niecoś z majestatu cesarskiego dla krwi swojej uratuję — najstarszą córkę Matyldy i Herrenfryda weźmie syn Bolesława — niemowlę Rycheza będzie kiedyś Augustą — będzie — tak mi dopomóż Bóg!

Aron nie nazbyt uważnie słuchał ostatnich jego słów. Cały był w mocy nowej myśli, która przepełniła go radosną nadzieją na wykonanie najważniejszego ze zleceń papieskich. — Synu, — rzekł, z trudem tłumiąc w swym głosie radość — skoro gotujesz się do wstąpienia na drogę ciasną a uciążliwą, dokąd wzywa cię głos Syna Bożego słowami pisma „Rozdaj wszystko, co masz, i pójdź za mną", — winieneś już teraz pierwszy zrobić krok. Chcesz odsunąć od siebie purpurę i diadem — czyż nie pierwej winieneś odsunąć od siebie kobietę, z którą obcujesz nie wedle prawa Bożego?

Otto wzniósł ku niemu pełne zdumienia i wyrzutu oczy.

— Czyżby Ojciec Niebieski, który ci ustami Pana Papieża nie odmówił przyjęcia do grona sług swoich, — miał ci odmówić daru pamięci, ojcze? Przecieżem niedawno ci rzekł, odsłaniając, jakeś żądał, najskrytsze tajniki swej duszy, — że nie mogę być bez Teodory Stefanii.

Aron znowu poczuł się bezradnym, bezsilnym, łowcą niedoświadczonym, co zabłądził w gęstwinie mrocznej, tropiąc wraz z wyżłem zaszytego gdzieś głęboko zwierza.

— Nie rozumiem ciebie, synu — rzekł głosem, pełnym najwyższego znużenia, ale wciąż jeszcze zaciekawionym i natarczywym: — Zaczynam się obawiać, że i ty sam nie rozumiesz po jak ciemnych, jakimi niebezpieczeństwami najeżonych drogach błąka się twoja dusza.

— Może masz słuszność, ojcze — cicho, pokornie odpowiedział Otto: —ale czyż nie po to tu jesteś, by mi dopomóc w wydostaniu się na światło z owych ciemnych dróg? Dopomóc w zgłębieniu tego, co sam w sobie nie nadto dobrze rozumiem?

Jeżeli Aron, pouczony przez Sylwestra Drugiego, przyrównywał siebie przez cały czas spowiedzi do łowcy zbrojnego, myśl Ottona do wyżła, a jego duszę do gęstwiny mrocznej, w której zaszyła się tropiona zwierzyna, — musiał teraz ze smutkiem, prawie z rozpaczą powiedzieć sobie, że łowy zamieniły się w beznadziejne błądzenie po ostępach bez wyjścia, przy czym zwierzyna ucieka coraz dalej, coraz głębiej w gąszcz leśny, — wyżeł, zrazu oporny i leniwy, ściga ją węchem coraz to lepiej wyostrzonym i zaciekłością niezmordowaną, — łowca natomiast chwieje się na nogach

z wyczerpania, zgubiwszy gdzieś w krzewach całą swą broń myśliwską. On miałby oświecać Ottona, wskazywać mu drogę, pouczać? Cóż mógł powiedzieć cesarzowi, gdy ów gorączkowym szeptem zaczął przed nim ujawniać najgłębsze tajemnice stosunku swego ciała i swojej duszy do Teodory Stefanii? Sam się uczył, słuchając z zasłoniętą obu dłońmi twarzą przedziwnego — bluźnierczego, jak mu się wydawało — wyznania, że cesarz dopiero wówczas porzuci świat, gdy poczuje, że jest już mężem dojrzałym, nie dzieckiem. Stanie się zaś to wówczas, gdy będzie miał za sobą pełnię dumy, jaką daje poczucie osiągnięcia najwyższej rozkoszy, rodzącej się z obcowania z umiłowaną kobietą. Wobec tych wynurzeń Aron stawał bardziej bezradny i bezsilny, niż wobec czegokolwiek innego: o sprawach ciała i miłości wiedział przecież zawsze tylko tyle, co mu powiedziały książki, własne sny i wyznania Tymoteusza, — ale te ostatnie jak najmniej były teraz przydatne. Tymoteusz kiedyś wierzył, że moc przedziwna, którą w sobie czuje, płynie z Teodory Stefanii; ostatnio zaś wszystko przemawiało za tym, iż źródło owej mocy dostrzega w stronieniu od miłości kobiecej: wszak zbliżenie się do siostry ciotecznej Krescencjusza potraktował, jako utratę swojej mocy. Otto także mówił o jakiejś mocy przedziwnej, którą czuje utajoną w sobie. Ale z urywanych, nieporadnych, często mętnych i ciemnych wyznań jego wynikało, że właśnie w obcowaniu miłosnym z kobietą ta jego moc kształtuje się, rozkwita, potężnieje, — jednak Teodora Stefania bynajmniej nie jest źródłem owej mocy, tylko narzędziem, pomocnym do wydobywania jej i potęgowania: narzędziem, bez którego Otto, jak powiada, nie może żyć, jak wojownik żyć nie może bez miecza. Dopiero zdobywszy królestwo, odrzucić może wojownik miecz; dopiero zdobywszy poczucie pełni mocy, odsunie od siebie Teodorę Stefanię: poświęci się wówczas w pełni Bogu, a ona niech zajmie się swymi dziećmi albo niech też idzie do klasztoru! Otto oszałamiał Arona wyznaniami, że oto grzeszna samotność długich lat młodzieńczych — samotność, która skończyła się dopiero wówczas, gdy otworzyła mu swe ramiona Teodora Stefania — tak silnie zahamowała rozkwit owej jego mocy przedziwnej, że chyba długie jeszcze upłyną lata, nim osiągnie pełnię rozkoszy miłosnej a wraz z nią pełnię swej mocy. I rzecz najdziwniejsza: gdy Tymoteusza poczucie rozrostu mocy napawało coraz dumniejszymi marzeniami o potędze, coraz silniejszą wiarą, że zdobędzie wszystko, co zechce, dzięki owej mocy — Otto, przeciwnie, żadnego jak gdyby nie pragnął mieć ze swej mocy użytku. Wbrew temu wszystkiemu, co Aron dotąd o nim wiedział, — gorąco zapewniał swego spowiednika, że naprawdę nie tylko nie snuje nowych marzeń o potędze, ale stanowczo zamierza wyrzec się wszystkiego, co dotychczas miał — wyrzec się, natychmiast potem, jak uczuje, iż wraz z pełnią rozkoszy miłosnej osiągnął pełnię mocy. W pewnej chwili Aron pomyślał, że może cesarz pragnie zużyć osiągniętą moc na walkę z własną duszą w trudnej drodze pokutnej ku świętości najdoskonalszej, nic jednak w słowach Ottona nie potwierdzało takiego mniemania, a przy tym Aron aż przeraził się tej swojej przelotnej myśli, jako bluźnierstwa: czyż bowiem godzi się duszy chrześcijańskiej czerpać pomoc na drodze ku świętości z sił, zdobytych w grzesznym obcowaniu miłosnym z ciałem kobiecym?! Otto zdawał się już nie czuć, że mu ścierpły kolana: z ust jego lał się niewyczerpany strumień urywanych, powikłanych, coraz to bardziej mętnych zdań: istotnie wiele z tego, co czuł, nie rozumiał, a jeszcze więcej chyba nie umiał przełożyć na jasne słowa. Aron postanowił wstrzymać ów potok, wznosząc bezlitosnymi miażdżącymi słowami twardą i potężną, jak mniemał, tamę — czuł bowiem, że dłużej nie wytrzyma.

— Wszystko, co mówisz, synu, dowodzi tylko, jak bardzo skłonny jesteś do grzechu pożądliwości ciała. A nie tylko grzeszysz, siejesz nadto zgorszenie. Mężowie rozumni, dostojni, choć i niegodni tego, by wolno im

było zuchwałym wścibstwem wtrącać się między tajniki duszy cesarskiej — zdołali spostrzec niezwyczajny nadmiar pożądliwości nawet w spojrzeniach twoich, choćby oto naprzykład w owym spojrzeniu, jakim wpiłeś się w bose stopy Teodory Stefanii, gdy pierwszy raz stanęła przed obliczem Twojej Cesarskiej Wieczności.

Umyślnie powiedział „Twojej Cesarskiej Wieczności", nie zaś „synu". Wzywał Ottona, by opamiętał się, by powstrzymał swe wynurzenia, by zawstydził się przed obliczem swego majestatu. Ale wymienienie tytułu więcej zdawało się oddziaływać na Arona samego, niż na cesarza. Oto, wymówiwszy te trzy słowa, zmieszał się, struchlał, uczuł, że traci całą przewagę, jaką z takim trudem uzyskał nad Ottonem: poczuł się nędznym, nic nie znaczącym mnichem przybłędą, bluźnierczo ośmielającym się przemawiać zuchwale do świętego majestatu.

Ze strachu aż oczy zmrużył na myśl, że Otto zaraz władczym, groźnym, nie dopuszczającym sprzeciwu głosem zażąda, by Aron wymienił zuchwalców, którzy odważyli się bezwstydnie omawiać spojrzenie, jakim święty cesarski majestat raczył ongiś obrzucić bose stopy Teodory Stefanii. Ale omylił się: w odpowiedzi cesarza nie było groźby, ni władczości, tylko smutek i gorycz: gorzko skarżył się na nieociosane przez Ducha Świętego dusze ludzkie, dopatrujące się złośliwie i prostaczo pożądliwości wszędzie tam, gdzie niczego innego na skutek swej ciemnoty i prostactwa dopatrzeć się nie potrafią. Nie oskarża ich, bo sam, choć wiele rozumie, nie potrafi należycie tego, co rozumie, na słowa przełożyć, — ale pragnąłby, by ojciec czcigodny nie podzielał mniemania ciemnych prostaków. Więc choć trudno mu będzie, spróbuje wyjaśnić spowiednikowi, czemu istotnie w taki żar nadzwyczajny rzucił go widok bosych nóg prz prowadzonej przed jego oblicze wspaniałej, urodziwej kobiety. Nie przesadził w skromności: istotnie, z trudem wielkim i niezbyt szczęśliwie udało mu się wyjaśnić Aronowi sprawę owego rzekomo pożądliwego spojrzenia. Jako dziecko rósł w przeświadczeniu, że nic tak nie poniża dostojności wszelkiej, jak ukazanie się oczom ludzkim bez obuwia. Aron stwierdził, że pod tym względem Otto nie różnił się niczym od owej młodzieży, co się bawiła wesoło nad stawem opodal drogi Appijskiej. Zupełnie tak samo, jak owe chłopaki i dziewczęta, uważał, że stopy swe obnażyć mu wolno, nie narażając się na poniżenie jedynie wśród równych sobie—wśród swoich. Ale któż jest równy Cezarowi Augustowi? Odkąd wyszedł z najwcześniejszego niemowlęctwa, nawet w obecności sióstr nie pozwolił nigdy sobie na zdjęcie obuwia. Dobrze pamięta, że gdy w Pawii dotknięto jego skroń żelazną koroną i w wózku uroczyście zawieziono do pałacu, gdzie w otoczeniu dworzan czekała nań matka, — zaczął ża ić się na ból w pięcie: wówczas cesarzowa Teofania poleciła nawet hrabiem Hoikowi, który króla na ręku zwykle nosił, — by zechciał opuścić komnatę. Nikomu bowiem, twierdziła, nie wolno patrzeć, jak czteroletniemu królowi Niemców i Włochów, dziedzicowi rzymskiej korony cesarskiej, zdejmie z nóg obuwie: nikomu prócz matki i oczywiście pokojowców, którzy przecież się nie liczą, bo właściwie tym samym są, co psy i koty. Toteż postanowienie, powzięte przez Ottona—przy wjeździe do miasta słowiańskiego, Gniezna, — iż boso przejdzie siedem mil aż do kościoła samego, gdzie spoczęły zwłoki świętego męczennika, Wojciecha Adalberta, — zaiste najcenniejszym było dowodem czci najwyższej dla pamięci umiłowanego przyjaciela i łaski szczególnej dla owej ziemi, którą świętość Wojciecha Adalberta pod swoją możną zechciała wziąć opiekę. Gdybyż ojciec czcigodny zdołał pojąć, jak ogromna to ze strony cesarza była ofiara z własnej dumy: ile poniżenia doznał w myśli swojej, krocząc boso po czerwonych tkaninach, jakimi usłał drogę do Gniezna Bolesław, wówczas lennik najwierniejszy, dziś przyjaciel i dziedzic umiłowany. Gdy więc Otto przed sobą zobaczył bosą Teodorę Stefanię, dwie nim naraz gwałtownie

targnęły myśli: przede wszystkim przypomniała mu się matka, która też tylko przed nim, przed synem i cesarzem, nie wstydziła się obnażać swoich nóg — wydało mu się nagle, że żadna kobieta, nawet żadna z sióstr, nie jest mu tak bliska, jak ta oto wspaniałości i uroku pełna nieznajoma. Jeżeli Aron, choć z trudem, podążał dotąd za biegiem myśli Ottona, następne wyznanie cesarza wywołało w jego duszy już tylko zamęt bezgraniczny: — Nie boję się mieczów ni ognia ni spisków zdradliwych — szeptał gorączkowo Otto: — ale zawsze bałem się kobiet: bałem się dziwności ich piersi, bioder, włosów, oczu, uśmiechów, samego głosu kobiecego nawet... Zanim poznałem Teodorę Stefanię, dwukrotniem tylko zbliżył się do ciała kobiecego — zbliżałem się ze strachem — odchodziłem ze strachem jeszcze większym...

Zamąciła się nagle krótko trwająca jasność słów cesarskich: jąkał się i plątał, usiłując wytłumaczyć, że od obu kobiet odchodził nie tylko ze strachem, ale z okropnie męczącym poczuciem, że mimo całej wspaniałości i potęgi jego majestatu, obie one wywyższały się nad niego, drwiły z niego — gardziły nim i to gdy odchodził, bardziej niż gdy się do nich zbliżał... Może dlatego unikał później zbliżania się do ciał kobiecych, choć istotnie stale do nich wracał myślą pożądliwą...może dlatego tak lubował się w grzesznej samotności... I to że najprzedziwniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek znał, stanęła przed nim boso — to ją poniżało w jego myśli, a poniżając, pozwalało wierzyć, że skoro tak jest poniżona, nie może czuć do niego pogardy...nie może drwiąco wywyższać się ponad niego, jak wywyższały się tamte dwie, do których zbliżył się ciałem, i wszystkie inne, do których myśli się zbliżał. Oto co go rzuciło w żar, oto co kazało prostakom ciemnym w spojrzeniu jego pożądliwości się dopatrywać: a naprawdę w spojrzeniu tym zdumienie tylko radosne było — oto kobieta, która mu jest tak bliska jak żadna nie była, prócz matki zmarłej, i której nie potrzebuje się bać, bo nie czuje wobec niej poniżenia... A jemu tak potrzebna była bliska, bardzo bliska kobieta! Przecież naprawdę nikt go szczerze nie miłuje, nikomu nie ufa, w nikim nie czuje bliskości prawdziwej, nawet w Panu Papieżu, mistrzu ulubionym... Grek dla Niemców, Niemiec dla Greków, barbarzyńca dla Rzymian, słabe dziecię przemądrzałe dla wojowników o duszach nieociosanych, prostak dla mędrców—tak bardzo jest samotny...tak straszliwie samotny... Wszyscy niby służą mu, czczą go, a naprawdę a bo nienawidzą, albo gardzą, o tym jedynie myśląc, by ze słabych ramion za ciężką zedrzeć purpurę... I tylko ona szczerze mu jest oddana, ona — jedynie wierna, żarliwie go miłująca... Z jaką on trwogą błąka się zawsze po mrocznych pustych komnatach swego pałacu, plącząc się w szatach wspaniałych, potykając się raz po raz i lękliwie obmacując każdy ciemny kąt, każdą ścianę, czy nie czai się gdzie zdrada lub stokroć straszliwsza od zdrady — drwina... Krzepi go tylko światło, jakie pada przez szparę w drzwiach, wiodących do sypialni, gdzie wiernie nań czeka Teodora Stefania: oto zaraz otworzy drzwi, oto zobaczy blask przedziwny jej oczu i włosów i stokroć przedziwniejszy blask jej ciała, na jego przyjęcie miłośnie obnażonego... Dopóki nie poczuje w sobie siły męża prawdziwie dojrzałego — siły, co sama sobie wystarczy, co nie potzebuje pomocy objęć kobiecych — nie oddali Teodory Stefanii, nie schroni się do pustelni... Musi wpierw nauczyć się nie bać samotności — gdybyś wiedział, ojcze czcigodny, jak straszna to rzecz jest być samotnym!

Aron z trudem się powstrzymał, by nie krzyknąć: — Wiem...dobrze wiem, cesarska Wieczności... Niemasz to, jak być w gromadzie, być wśród swoich tak, jak nad stawem opodal drogi Appijskiej...

Znowu żywił do Ottona już tylko przyjaźń współczującą. Gdy udawał się do kaplicy, żywo wyobrażał sobie, aż wypieków na twarzy dostając, — ową chwilę, kiedy wzniesie nad kornie pochylonym cesarzem rękę, zbrojną w potężną moc rozgrzeszania; przysiągłby, że rozpierać go będzie

duma bezgraniczna, iż oto majestat kapłański wyniósł go tak wysoko ponad tego, co nad całym przecież wznosi się okręgiem ziemskim. Nic się nie sprawdziło. Gdy podniósłszy rękę, wzywać począł miłosierdzia Bożego, by przebaczenia, rozgrzeszenia, odpuszczenia udzieliło skruszonej duszy Ottonowej — gdy przypomniał majestatowi Bożemu obietnicę, daną kapłanom wszystkim, a więc i jemu Aronowi, że „czyje grzechy odpuścicie, będą odpuszczone”, — doznawał jedynie uczucia radości, iż oto oddaje przysługę przyjacielską komuś, bardzo tej usługi potrzebującemu. I naprawdę szczera radość zabrzmiała w jego głosie, gdy uczyniwszy znak krzyża nad posypaną popiołem jasną głową, donośnie zawołał: — Odejdź w pokoju.

Na to jego wołanie dawno już z niecierpliwością czekał przepełniający bazylikę tłum. Gdy opuszczał kaplicę, dostrzegł że na wszystkich twarzach maluje się znużenie, a na niektórych znudzenie i gniew. Z dziesięć chyba razy odśpiewano siedem psalmów pokutnych, większość świec bliska była wypalenia się, niektóre już zgasły. Na twarzy jednak Sylwestra Drugiego, który ani na chwilę nie podnosił się z klęczek, nie znać było znużenia: przyjrzał się wychodzącemu z kaplicy Ottonowi, wzrokiem, pełnym najżywszego zaciekawienia, na Arona zaś rzucił spojrzenie życzliwe, przyjazne, dziękujące.

* * *

— Nie dziw się, — rzekl Sylwester Drugi po dwu godzinach do Arona: — nie dziw się, że mówię z tobą o tym; coś na spowiedzi posłyszał. Pan Cesarz powtórzył mi wszystko to, co tobie wyznał. Okazało się, żeśmy wspólnie go wyspowiadali. Tylko dokończyć spowiedzi musiałem ja sam.

W głosie papieża brzmiało coś więcej, niż ojcowska prawdziwa serdeczność. Brzmiało szczere wzruszenie.

— Nie sprawiłeś mi zawodu, synu. Przeciwnie, zadziwiłeś mnie. Zdołałeś dać z siebie więcej, niżem od ciebie oczekiwał.

Usiadł w miękkim krześle. Aron umieścił się u jego nóg. Ręka papieża ruchem, pełnym tkliwości najwyższej, głaskała rudą głowę młodego presbitra.

— A ja myślałem, ojcze najświętszy, — szepnął Aron, — żem okazał się być niegodnym twego zaufania. Wydałem się sobie łowcą nieudolnym, co zabłąkał się w gęstwinie i zgubił broń.

— Nie, Aronie, znakomicieś tropił upatrzoną zwierzynę. Ale powiem ci szczerze: nie nadążałeś za wyżłem, któregoś na ślad puścił. Z tego, co mi wyznał Pan Cesarz, zrozumiałem, żeś właściwie przeskoczył pośpiesznie nad sprawą, która całej spowiedzi dalszy nadała bieg.

Aron wzniósł ku papieżowi zdziwione, nawet wylęknione oczy. Cóżby to mogła być za sprawa, ponad którą pośpiesznie przeskoczył?

Była to sprawa poranienia setnika frankońskiego. Gdyby Arona nie nęciła wówczas tak bardzo tajemnica stracenia Krescencjusza, na własneby uszy usłyszał o wszystkim, co wytropił Otto w tajnikach swej duszy, zagłębiając się w sprawę owego poranienia. Zrozumiałby od razu, co przeobraziło tak straszliwie twarz Ottonową, śmiertelną ją okrywając żółtością.

Łkając gwałtownie, z głową, wtuloną w kolana papieża, Otto kajał się, że wprowadził, choć nieświadomie, spowiednika w błąd. Nie, wcale nie chwalebne, miłe Bogu pobudki kierowały cesarzem, gdy rzucił się z mieczem na setnika, wiodącego swój oddział do kąpieli w jeziorze Albeńskim. Nie dlatego nienawidzi Otto pospólnego obnażania się ciał męskich, ponieważ rodzi zgorszenie, obraża czystość chrześcijańską. Strach, nie pobożność jest źródłem owej nienawiści. Strach przed powtórzeniem się owego okropnego poniżenia, jakiego doznał w Arneburgu jeszcze wiele lat temu.

W upalny letni dzień wielmoże sascy zaprosili cesarza do wspólnej kąpieli. Powieźli go nad Łabę w miejsce, gdzie lubił się z nimi kąpać Otto Czerwony. Cesarz zrazu opierał się. Wszak tylokrotnie pouczała go matka, że nie godzi się świętemu majestatowi obnażać się prostacko przed oczyma poddanych. Ale słońce tak bardzo prażyło, tak bardzo nęcił chłód wody. Przy tym Dedi, któremu się zwierzył z pobudek swego oporu, rzekł surowo i prawie wzgardliwie: — Gdy między nami przebywasz, panie Ottonie, nie jesteś Cesarzem Augustem wśród nędznych poddanych, ale wodzem drużyny wśród szlachetnie urodzonych towarzyszy. Siedemnastoletni Otto zmieszał się. — Jeśli ojciec kąpał się z nimi, to chyba i mnie także wolno, — pomyślał z westchnieniem. Rozebrał się, wszedł do wody.

Istotnie, rozkoszna to była kąpiel. Ale nagle wychodzący na chwilę z wody cesarz spostrzegł, że hrabia Zygfryd jakoś dziwnie przygląda się jego nagiemu ciału. I margrabia Lotar. I biskup Hildeward. I opat Erkambald. I Ekkehard nawet. Otto, zmieszany, odwrócił od ich twarzy wzrok. Wnet usłyszał za sobą szmer wieloustny. Szyderczy to był szmer. Znów spojrzał kolejno na nich wszystkich, potem na siebie. Zroznumiał. Boleśnie ścisnęło mu się serce. Gardzili nim, wyśmiewali go. Wyśmiewali ciemność oliwkową jego ciała — spojrzeniami i szmerem wypierali się go. — Tyś nie nasz, tyś Grek, ojciec rodzony wstydziłby się twego ciała. Dobrze że zmarł, że nie widzi ciebie, nie rumieni się przed nami za ciebie.

Nigdy chyba w życiu, ani przedtem, ani potem nie czuł się Otto tak nieszczęśliwy, tak straszliwie samotny, jak wówczas, gdy wracał znad Łaby do Arneburskiej twierdzy. Nie śmiał oczu podnieść na swych towarzyszy, starał się nie słyszeć ich głosów. Pewien był, że wciąż go wyśmiewają ich szepty.

Boleśnie łkał, opowiadając papieżowi o tym straszliwym swym poniżeniu. Daremnie przedkładał mu Sylwester Drugi, że nie powinien był wcale odczuwać poniżenia, że żadnego poniżenia nie było, przecież Otto zawsze chlubił się swym pochodzeniem od Bazyleusów greckich, przecież wcale nie poczytywał sobie nigdy za zaszczyt być tylko wodzem drużyny saskiej: ileż razy w rozmowach swych i listach pod reślał z dumą, że Rzymianinem jest, nie Niemcem. A przy tym papież jest pewien, że Ottonowi wówczas to wszystko przywidziało się tylko: i wzgarda w spojrzeniach, i w ogóle dziwność tych spojrzeń, a tym bardziej ów szmer szyderczy. Jakżeby mogły odważyć się jakieś tam książątka saskie na wyśmiewanie Wieczności Cesarskiej? Bo jeśliby nawet gminnych, nieokrzesanych ich dusz nie napełniała święta cześć dla ucieleśnionego w Ottonie majestatu Romy, — przecież i wówczas jeszcze pozostawałaby w ich sercach miłość dla krwi królewskiej Ludolfingów. Nie, stanowczo nie. Nie mogli drwić, nie gardzili, nie wypierali się. Przywidziało się Ottonowi. Ale gdzie tkwi źródło tych przywidzeń?

Niedługo szukali papież i cesarz źródeł. Rozkołysana, jak dzwon, myśl Ottonowa szybko wpadła na właściwy ślad. Wyżeł wytropił zwierzynę w najgłębszej jej kryjówce. Dwoma poraził ją ciosami. Choć śmiertelny był dopiero drugi, w pierwszym więcej było siły. Najpierw bowiem wyznał Otto papieżowi, że gdy mając lat piętnaście — pierwszy raz zbliżył się do ciała kobiecego, nie czuł zrazu wcale strachu, o którym mówił Aronowi, — tylko ciekawość. Strachem go napełnił dopiero szept dziewczyny: — Zlituj się nade mną, panie królu... boję się ciebie. Takie ciemne masz ciało, jak sam demon Tor chyba... Spójrz tylko, jakem ja różowa, a jaki ty jesteś... Nie oddalił się od niej, przeciwnie, przytulił się mocno, ale nie zdołał

wykrzesać z siebie miłości do niej. Wciąż mu huczały w głowie jej słowa: takiś ciemny. Przez cały czas, gdy był przy niej, czuł do siebie pogardę. Gdy zaś odchodził od niej, spostrzegł, że dziewczyna z trudem hamuje śmiech... A więc i ona nim gardzi, nie tylko się go boi. A raczej tylko gardzi, wcale się nie boi. Zbliżając się po trzech latach do drugiej kobiety, nie spojrzał jej w oczy, nie mógł spojrzeć: nie chciał widzieć, jak się śmieje. Na pewno śmiała się, jest pewien, że się śmiała. Dopiero Teodora Stefania nie śmiała się, choć biała jest, bielsza, niż obie tamte dziewczyny. Nie tylko nie śmiała się, ale nieraz mu mówiła, że oliwkowe ciało jest piękne, piękniejsze, niż różowe. Gdy tak mówiła, przypominała mu się matka. Ona też zawsze mu twierdziła to, że oliwkowe ciało piękniejsze jest od niemieckich różowych ciał.

Wyznanie to wyjaśniło papieżowi dużo,dużo więcej może,niż to wszystko, co Aron usłyszał od Ottona, ale jedno przecież pozostało zrazu niejasne: gdy cesarz pierwszy raz zbliżył się do kobiety, miał piętnaście lat; gdy umarła Teofania — jedenaście. Czemuż więc znacznie później posłyszane słowa dziewczyny, przypadkowo spotkanej, głębiej wżarły się w duszę Ottona i w myśl jego o ciele własnym, niż to, co wielokrotnie mu twierdziła matka umiłowana? Dlaczego, kąpiąc się z wielmożami saskimi, nie pomyślał raczej, że to on powinien nimi gardzić, bo różowe mają ciała?

Ale i na to pytanie znalazł w sobie Otto odpowiedź. Z najgłębiej zaszytych tajników pamięci wynurzył się obraz innej wspólnej kąpieli. Miał wówczas dziewięć lat. Kąpał się wśród gromady rówieśników. Różowi chłopcy otwarcie wyśmiewali jego oliwkową skórę. Z wzgardliwymi wyzwiskami ciskali w niego nie tylko bryzgami wody, ale i nadbrzeżnymi kamykami. Otto gorzko płakał, skarżył się stojącemu na brzegu biskupowi Bernwardowi, że go krzywdzą. Ale biskup śmiał się tylko: — Nie daj im się, panie królu, nie daj się... Wal w nich tak samo — wodą, kamykami... Lecz Otto się nie bronił, płakał.

Papież pomyślał, że wówczas musiało być istotnie tak, jak Otto opowiada. Dzieci to nie wielmoże sascy, świadomi dostojeństwa krwi królewskiej : naprawdę wyśmiewały się z oliwkowości jego ciała, która tak bardzo odbijała od całej kąpiącej się gromady. I za tę inność dzieci obrzucały Ottona nie tylko śmiechem, ale wyzwiskami i kamykami. Obrzucały go gromadną wzgardą, wypierały się wszelkiej z nim łączności, odepchnęły go od siebie, skrzywdziły, osamotniły, poniżyły. To jest jasne. Łowy dobiegły końca.

— Za ciebie je skończyłem, Aronie, i to zupełnie inaczej, niżbyś przypuścił. Ale tym, który wpadł na trop i puścił nim wyżła, byłeś ty. Dzięki ci. Dopomogłeś cesarzowi dotrzeć do źródła najtajniejszego wszystkich myśli jego i postępków. Stał się on, dzięki tobie, godnym pochwały tych wszystkich, którzy rozumieją, że najwyższa mądrość, ludziom dostępna, kryje się w słowach: poznaj samego siebie. Poznał nie tylko dlaczego cudzołoży czynem, ale dlaczego pożąda czyli — jak rzekł Zbawiciel — cudzołoży w sercu swoim. Zrozumiał także i inne jeszcze tajemnice duszy.

Ale w tym, co Panu Cesarzowi, a może także tobie, synu, wydało się źródłem poniżenia i słabości, — ja widzę źródło wzlotów i mocy. Długom mu o tym mówił. Mówiłem słowami i muzyką. Niemcy gardzą nim, że jest Grekiem? Przestaną gardzić, gdy zobaczą i odczują, iż ów Grek potężniejszy jest od wszystkich Niemców. Toż samo, co z Niemcami stać się winno z Grekami, którzy Niemca w nim widzą. I jeszczem mu rzekł, bardziej może muzyką, niż słowami, że będąc Niemcem i Grekiem, a zarazem ani Niemcem ani Grekiem, winien być czymś więcej, niż Grekiem i Niemcem: Rzymianinem. Winien być i będzie.

JERZY KUNCEWICZ

NA DROGACH ŁADU GOSPODARCZEGO

Walka wszystkich ze wszystkimi prowadziła przed obecną wojną światową do tego rodzaju paradoksów, że żyto polskie wysyłano za darmo do Ameryki po to, aby żyto amerykańskie za darmo wysyłane było do Europy. System premiowania wywozu dla uzyskania walut i złota stwarzał warunki do powalenia każdej gospodarki. Najzdrowsze i najmocniejsze kraje trzeszczały w posadach. Eksport Francji w przeciągu pierwszych dwóch miesięcy 1932 r.* obniża się o 43%, co stanowi równowartość około 500 milionów dolarów pełnowartościowych. Import, który wynosił w 1929 r. 58.221 milionów franków spada w 1935 r. do 20.397 milionów fr. Eksport z tychże dat układa się w sposób podobny: z 50.139 milionów fr. redukuje się do 15.149 milionów fr. Sytuacja ta nie jest wyjątkiem. Skokom tego typu podlega nie tylko rynek francuski. W Wielkiej Brytanii w 1929 r. import wynosił 1.111,1 milionów funtów, zaś w 1933 r. stanowi tylko 625,2 milionów funtów. Za te same lata eksport przedstawia sie w cyfrach następujących: 729,3 miliony funtów oraz 367,9 milionów funtów. Dla pełności obrazu dorzućmy jeszcze cyfry z innego kontynentu, ze Stanów Zjednoczonych. Import tego kraju w 1929 r. stanowił 4.338, 6 milionów dolarów, zaś w 1932 r. 1.325,1 milionów dolarów. Eksport w latach odpowiednich 5.157 milionów dolarów oraz 1.576,2 miliony dolarów. Wybrane przykłady obejmują różne lata. W każdym kraju załamanie następowało w różnym czasie, co pogłębiało chaos. Krachy bankowe, paniki giełdowe, rozbudzone nadzieje i gorzkie zawody, to kalejdoskop nie lat, nie miesięcy, a tygodni i godzin.

Zamykają się granice, wznoszą mury celne, najmniejsze nawet państwa marzą o samowystarczalności gospodarczej. Pogłębia się bezrobocie, wzrasta nędza, która wyniszcza przede wszystkim kraje słabsze. Brak organizacji zbytu artykułów rolnych, niemożność utrzymania ich cen w jakimkolwiek roztropnym stosunku do artykułów przemysłowych zwęża konsumpcję we wszystkich dziedzinach. Każdy naród ufny w swe siły, a nie wierzący nikomu, próbuje rozstrzygać trudności samodzielnie. Beznadziejność układów i konferencyj międzynarodowych wzmacnia obozy izolacjonistów i nacjonalistów. Próby ratowania sytuacji gospodarczej przedsiębrane w tej atmosferze idą w kierunkach: planowania autarkicznego, wzmacniania eksportu przez obniżanie waluty i premiowanie wywozu, powstrzymywanie przywozu przy pomocy reglamentacji, jako też podnoszenia opłat celnych. Planowanie w krajach słabo rozwiniętych społecznie, o niewyrobionej tradycji demokratycznej, prowadziło do dyktatury. Biurokracja, zespalająca w swych rękach ośrodki władzy politycznej i gospodarczej, wytworzyła w systemie monopartyjnym szerokie oparcie dla siebie. W krajach rozwiniętych opory społeczne, oraz ustrój polityczno-gospodarczy, pozwalały na planowanie połowiczne, którego konsekwencją był wyzysk bezbronnych przez grupy zorganizowanych. Polityka murów celnych i eksportu dumpingowego, chaotyzując obroty międzynarodowe utrudniała realizowanie planu konstruktywnego nawet na terenach autarkicznych pozbawionych potrzebnych surowców, narzędzi, maszyn czy specjalistów. Warunki techniczne, możliwości kulturalne, dojrzałość społeczna wskazywały na nadchodzenie ery pełnej demokracji politycznej, gospodarczej i społecznej. Nieumiejętność wykorzystania tych warunków, oraz żądza władzy spychały narody do wojen imperialistycznych, nędzy i zniszczenia.

---

* Wszystkie cyfry przytoczone w tym opracowaniu są oparte na wydawnictwach statystycznych Ligi Narodów z wyjątkiem cyfr, przy których podane są inne źródła.

Hasło planowania gospodarczego dla zaspakajania potrzeb materialnych i tworzenia warunków do pełnej swobody myśli i wierzeń, ustępuje przed namiętnością władczą. Możność zrealizowania hasła planowania dla zaspokojenia potrzeb zależy od uspołecznienia państwa z jego organami, powrócenia społeczeństwu przekształconych w zawodowców polityków i partyj politycznych, rewizji obowiązującego systemu norm prawnych oraz przyznania jednostce poczesnego miejsca w życiu zbiorowości. Ciężary klęsk i walor doświadczeń ostatnich dziesięcioleci są kapitałem, który nie powinien pozostać zapomnianym. Jeśli zwycięży zasada planowania dla zaspakajania potrzeb, jeśli nie zdegeneruje jej przerost biurokracji, jeśli obejmie ona duże bloki terytorialne współdziałające z sobą w formach zorganizowanych, to powstaną warunki dla uzdrowienia oraz unormowania współżycia gospodarczego pomiędzy narodami świata. Planowanie wymaga znajomości zasadniczych elementów produkcji. Surowiec, siły mechaniczne, materiał ludzki, to jedna strona rachunku otwarcia. Przewidywane potrzeby inwestycyjne i konsumpcyjne — to druga strona. Zagadnienie obiegu pieniężnego i sprawy finansowe, to sprawy nie mające samodzielnego znaczenia w życiu gospodarczym. Z natury czynnika finansowego wynika możność dostosowania go do potrzeb gospodarczych. Wpływ techniki finansowej, oddziaływanie na naszą psychikę pieniądza unaoczniają potrzebę podporządkowania polityki pieniężnej potrzebom wytwórczości. Zrozumienie podrzędności spraw finansowych w stosunku do zagadnień produkcji, zadecyduje o trwałości planowania gospodarczego, oraz o uporządkowaniu stosunków w wymianie międzynarodowej.

Dlatego, aby plan gospodarczy był realny, musi on obejmować określony teren, posiadający geograficzne i społeczne warunki, zapewniające możność jego wykonania. Tego rodzaju założeniom nie odpowiadałby projekt planowania światowego lub kontynentalnego. Dzisiejsza sytuacja techniczna, komunikacyjna i ludnościowa pozwala na planowanie w skali wielkich państw oraz dużych związków federacyjnych. Sharmonizowane współdziałanie tego rodzaju organizmów stwarza grunt pod planowanie światowe. Dla osiągnięcia tego celu koniecznym będzie odstąpienie od przyjętych dotychczas zasad w sprawach wymiany międzynarodowej uwidocznionych w traktatach handlowych. Klauzula największego uprzywilejowania we wszelkich jej odmianach i postaciach odpowiadająca zasadom wolnego handlu i nieograniczonej konkurencji, jest szkodliwą przy planowaniu. Zastąpienie tego zabytku przez umowy ustalające ilości, rodzaje i warunki, wymiany artykułów pomiędzy poszczególnymi kontrahentami będzie logicznym uzupełnieniem planowości. Tego rodzaju forma współpracy międzynarodowej zapewni wymianie gospodarczej świata pełną obliczalność. Wzmocnione poczucie stabilizacji stworzy podstawy dla zdrowych operacyj finansowo-kredytowych pomiędzy państwami przodującymi a zapóźnionymi w rozwoju gospodarczym. Zamiast gwarancyj państwowych i innych temu podobnych, mających zawsze charakter raczej polityczny warunki pozwolą na znalezienie zabezpieczeń rzeczowo-gospodarczych. Inwestycje i pożyczki udzielane przez kraje uprzemysłowione słabszym partnerom będą mogły być oceniane w pełni co do celowości, mieszcząc się w ramach planu gospodarczego.

Dla nowego porządku świata pożądanym jest, aby tereny rozdrobnione gospodarczo skupiały się w większe całości. Szczególnie doniosłym ten problem jest dla ziem, których geograficzne położenie, poziom i wyrobienie mas, nasilenie liczbowe ludności oraz tradycje historyczne przypisują im doniosłą rolę w organizacji gospodarczej i politycznej świata. Takimi terenami są ziemie leżące pomiędzy Bałtykiem a morzami Czarnym, Adriatyckim i Egejskim oraz pomiędzy Z.S.S.R. a Niemcami i Włochami. Ziemie te, choć stanowią geograficznie, gospodarczo oraz społecznie całość naturalną, są podzielone licznymi granicami państwowymi. Na

tym terenie znajdujemy aż jedenaście różnorodnych organizmów. Dla przypomnienia wyliczmy je w porządku alfabetycznym: Albania, Bułgaria, Czecho łowacja, Estonia, Grecja, Jugosławia, Litwa, Łotwa, Polska, Rumunia i Węgry. Pomij my świadomie dwunaste państwo — Austrię, która zdradzała i zdradza skłonność do związku z Niemcami. Wymienione jedenaście państw zajmuje łącznie przestrzeń miliona pięciuset czterech tysięcy kilometrów kwadratowych. Dla uświadomienia sobie tej przestrzeni wzmiankujemy, że Wielka Brytania ma 244 tysiące kilometrów kwadratowych. Na terenie wymienionych jedenastu państw mieszkało w 1938 r. 114.960 tysięcy osób. Z cyfr przytoczonych wynika, że zarówno przestrzeń jak i ludność tego obszaru stanowią poważny obiekt gospodarczy. Obiekt ten poprzecinany dotąd dziesiątkami granic, poddany różnym władzom i prawom, złączony w jedną całość stać się może cennym współpartnerem organizacji świata. Teren ten posiada specyficzną strukturę społeczną i gospodarczą. Struktura ta wyodrębnia go zarówno od Z.S.S.R. jak i krajów Europy zachodniej. Różnice te są głębokie i nie pozwalają myśleć o podzieleniu tej przestrzeni między wschodem i zachodem lub o związaniu jej bezpośrednim z gospodarką typu sowieckiego albo z Niemcami. Pewne światło na istniejące różnice strukturalne może rzucić szereg przykładowo przytoczonych danych. W Wielkiej Brytanii na kilometr kwadratowy przypada 194,2 mieszkańców. W Niemczech 153,8. Na terenie 11 państw wyszczególnionych — 71,1 mieszkańca, a w Z.S.S.R—7,5. Nie tylko gęstość zaludnienia ale i przyrost ludności oraz liczebność rodzin podkreśla istnienie trzech odrębnych sfer w Europie. Ilość dzieci i młodzieży w wieku do lat 19 włącznie wynosi: W Wielkiej Brytanii 29,9% całej ludności. W Niemczech 30%. W Europie środkowo-południowo-wschodniej 38,8%. W Z.S.S.R. zaś 48,7%. Teren Europy środkowo-południowo-wschodniej odcina się nie tylko ludnościowo od ziem sąsiednich. Na terenie tym układ społeczny cechuje się wielką jednolitością; żywioł rolniczy o charakterze specyficznym zajmuje tu dominujące miejsce. Gospodarstwa rolne tego terenu to drobne i średnie gospodarstwa chłopskie. Ten typ ludności pod względem psychicznym i kulturalnym posiada swą odrębną fizjonomię. Ludności tej nie można przyrównać do przemysłowego Zachodu, ani też do Wschodu z jego bezkresnymi pustynnymi przestrzeniami zamieszkałymi przez robotników i urzędników w całości zależnych od państwa. Pozostałości stanu chłopskiego na terenie Ukrainy Sowieckiej straciły znaczenie gospodarcze przekształcane w robotników rolnych. Ludość rdzennej Rosji nigdy nie posiadała gospodarstw samodzielnych typu chłopskiego. Zarysowana linia demarkacyjna oznaczonego obszaru jasno odcina się od Zachodu i Wschodu. Drobne odchylenia tej linii zaznaczają się na obszarach pogranicznych z Niemcami i z Włochami oraz na Ukrainie naddnieprzańskiej. W tej przestrzeni geograficznej zamykają się Prusy Wschodnie zamieszkałe przez ludność społecznie, kulturalnie i gospodarczo pokrewną ludności oznaczonego obszaru.

Istnienie trzech odrębnych sfer w życiu Europy uzewnętrznia się zarówno w układzie społecznym jak i w charakterze produkcji. Produkcja rolnicza zbóż chlebowych, okopowizn, mięsa, nabiału, warzyw i owoców wykazuje na przeważającej części terenów zachodniej Europy znaczny niedobór. W rejonach Europy środkowo-południowo-wschodniej produkcja tych artykułów przekracza granice samowystarczalności z znacznymi nadwyżkami w niektórych jej kategoriach. Natomiast Europa Wschodnia posiada nadwyżki produkcji zbożowej oraz drzewa przy małej wytwórczości w innych działach rolniczych. W wytwórczości przemysłowej układ będzie odmienny. Zachód Europy to ojczyzna produkcji zmechanizowanej, to podstawa przemysłowej ekspansji starego lądu. Tereny jedenastu państw omawianych, to tereny znacznego niedoboru artykułów

przemysłowych, to jednocześnie społeczeństwa umiejące się posiłkować wytworami przemysłowymi i odczuwające ich potrzebę. Wschód Europy charakteryzuje się produkcją mało zróżniczkowaną, obejmującą przede wszystkim przemysł ciężki z ludnością nieprzygotowaną do absorbowania zróżniczkowanych wytworów przemysłu zachodniego. Posuwając się od zachodu ku wschodowi obserwujemy stałe obniżanie standartu życiowego. Chłonność konsumpcyjna ludności akcentuje ten sam podział Europy na trzy rejony, jaki obserwujemy i w innych dziedzinach.

Z położenia geograficznego, warunków gleby, klimatu, gęstości zaludnienia i charakteru ludności narodził się system gospodarczy ziem środkowo-południowo-wschodnich. System ten nacechowany jest przewagą produkcji rolniczej specjalnego typu. Istnienie ogromnej ilości samodzielnych gospodarstw chłopskich drobnych i średnich stwarza dla produkcji rolnej dogodne warunki do jej intensyfikacji. Zanik gospodarki obszarniczej o typie produkcji zbożowej postępujący od długich dziesięcioleci wykazuje przewagę gospodarczą chłopa nad dziedzicem. Liczebność elementu chłopskiego wraz z demokratyzowanymi formami życia politycznego, dającymi masom wpływ na państwo i na kształtowanie stosunków przyspieszyła przebudowę ustroju rolnego. Reformy rolne w Rumunii, Jugosławii, Litwie, Łotwie, Estonii, Czechosłowacji, Polsce zmniejszyły lub usunęły całkowicie gospodarstwa obszarnicze. Ziemia na całym terenie z wyjątkiem Węgier przeszła w ogromnym procencie do rąk chłopskich. Chłop, będąc właścicielem pełnoprawnym, rozporządzającym samodzielnie swym warsztatem produkcji, nadaje ton układowi sił społecznych i wywiera decydujący wpływ na ukształtowanie stosunków politycznych.

Mały obszar gospodarstw przy znacznej liczebności rodzin oraz doskonałej znajomości warunków, pozwala na intensywną uprawę oraz hodowlę, jako też przetwórczość artykułów własnych i sąsiadów. Produkty otrzymane wobec położenia tego terenu, przy wzrastających możliwościach komunikacyjnych, zabezpieczają najlepiej krajom przemysłowym zaspokojenie ich zróżniczkowanych potrzeb spożywczo-konsumpcyjnych. Artykuły spożywcze oraz surowce roślinne mogą zaspakajać nie tylko ludność krajów przemysłowych Europy, ale i w pewnych kategoriach Stanów Zjednoczonych Am. Pł. Produkty roślinne czy hodowlane wielkich obszarów ziem dziewiczych, wobec małej ilości rąk rolniczych i wobec dystansów, nie mogą być wytwarzane w tych odmianach, w jakich produkują je gospodarstwa drobne. Dlatego też ziemie Europy środkowo-południowo-wschodniej stanowią w gospodarce światowej cenny element o specjalnych, im właściwych, zadaniach gospodarczych.

Dzisiejszy stan rzeczy na terenie omawianych jedenastu państw jest jeszcze odległy od tych możliwości, jakie natura daje temu terenowi. Przyjęcie założeń planowej gospodarki pozwala na świadome kształtowanie produkcji, co ułatwia osiągnięcie przeobrażeń, za które dotychczas płaciło się ceną indywidualnych rozczarowań i klęsk. Dziś jeszcze trudno jest rolnikowi przejść z typu gospodarki zbożowej do hodowli, sądownictwa, warzywnictwa i przetworów. Przeszłość ciąży silnie na teraźniejszości. Poza zagadnieniami techniki upraw i płodozmianów obciąża ona rolnika w zakresie form jego organizacji gospodarczych. Nadmierny indywidualizm szuka argumentów przeciw planowaniu, które wyznacza produkcji każdego gospodarstwa ramy określone. Wpływ obcych i wrogich rolnictwu sugestyj wzmacnia jego niechęć do zespalania się w formach organizacyjnych, które ustalają ilość, jakość i cenę produktu. Przemysł i handel w swej krótkowzroczności sądzą, że osiągną większe i łatwiejsze zyski, gdy będą miały do czynienia z rolnictwem jako z partnerem rozbitym. Miasto nie dostrzega faktu, że nędzarz jakim jest rolnik w świecie nie może być partnerem w rozwoju przemysłu. Zmiany w pojęciach rolnictwa i w stosunku ludności ośrodków przemysłowych do ludności

rolniczej powinny wyrównać poziom obu grup społecznych. Wyrównanie to będzie łatwiejsze przy przyjęciu zasady planowania zarówno w przemyśle jak i w rolnictwie. Plan rolniczy biorący pod uwagę: 1) położenie geograficzne, 2) gęstość zaludnienia, 3) warunki gleby i klimatu, 4) komunikacje, 5) pozycję rynku krajowego i zagranicznego, — może prawdopodobnie zabezpieczyć celowość wkładów i pracy. W dzisiejszym stanie rzeczy rolnictwo jedenastu krajów omawianych wytwarza w sposób nieskharmonizowany i przypadkowy ponosząc duże straty oraz opóźniając ewolucję. Dla uprzytomnienia sobie powyższego podamy pewną ilość przykładów. Kraje Europy środkowo-południowo-wschodniej w 1938 r. miały jeszcze pod uprawą pszenicy 12.928 tysięcy hektarów, pod uprawą żyta 9.902 tysiącc hektarów, w tym czasie, kiedy Kanada, kraj typowej produkcji zbożowej i wielkich, leżących odłogiem przestrzeni miała pod pszenicą 10.348 tysięcy hektarów, a pod żytem zaledwie 300 tysięcy hektarów. Argentyna ze swymi niewyczerpanymi możliwościami w tymże roku obsiała pszenicą 7.730 tysięcy hektarów, a żytem 453 tysiące hektarów. Z.S.S.R. ze swymi bezkresnymi przestrzeniami i z wybitną niedokonsumpcją, przy doskonałej glebie miały, łącznie z Syberią pod pszenicą 40.713 tysięcy hektarów, a pod żytem 23.411 tysięcy hektarów. Niska wydajność upraw zbożowych na terenie Z.S.S.R. zmniejszała ich znaczenie. Nadmierna ilość ziemi w Europie środkowo-południowo-wschodniej przeznaczona na produkcję zbóż chlebowych poza tradycjonalizmem ma swoją przyczynę w dążeniu do autarkii gospodarczej. Brak bezpieczeństwa politycznego i względy wojskowe oddziaływały na ten chorobliwy stan rzeczy. Zjawiska te powstrzymywały reformy rolne i opóźniały intensyfikację produkcji. To z kolei hamowało podniesienie poziomu życiowego ludności rolniczej. W dalszym rozwoju należy sądzić, że Europa środkowo-południowa i wschodnia będzie zaopatrywana w zboża chlebowe z terenów bardziej nadających się do tego celu lub też ewentualnie przejdzie do metod, przy których uprawa zbóż będzie traktowaną tak jak uprawa warzywa. Próby dokonywane w tym kierunku na terenie Polski dawały doświadczalnie ciekawe rezultaty. Import zbóż z terenów najbardziej zdatnych do ich uprawy dla wzmocnienia hodowli oraz celowego wykorzystania gleby w Europie środkowo-południowo-wschodniej wpłynie dodatnio na celowe powiązanie gospodarki uzupełniających się ekonomicznie a odrębnych politycznie terenów.

Produkcja kartofli i innych okopowizn stanowiąca poważną pozycję w bilansie rolniczym omawianych krajów ma odrębny i charakterystyczny aspekt. Zastosowanie mechanicznego sprzętu przy uprawie okopowizn nie daje tych rezultatów, co przy produkcji zbóż. Praca ludzka w tym dziale upraw jest cenna i celowa. Nakład pracy wpływa na rezultaty w sposób opłacalny.

Zasadnicze okopowizny stanowią podstawę dla przemysłu przetwórczego oraz chemicznego. Kartofle, jako źródło alkoholu, krochmalu, syropu, mączki i płatków są cennym surowcem. Wywary i pozostałości przetwarzanych kartofli mają wartość przy tuczeniu świń oraz opasów. Te same zalety co kartofel posiada i burak cukrowy. Obydwa te rodzaje stanowią o skutecznej intensyfikacji uprawy i hodowli. Produkcja kartofla, która w 1937 r. wynosiła 637.783 tysiące kwintali stawia jedenaście krajów omawianych w pierwszym szeregu producentów tego płodu ziemi. Dwaj dalsi najpoważniejsi producenci, walczący o pierwszeństwo z krajami Europy środkowo-południowo-wschodniej—to Niemcy i Z.S.S.R. Należne wykorzystanie kartofla stworzy warunki dla dużej gałęzi przemysłu chemicznego. Rola alkoholu, jako punktu wyjścia dla syntetycznego kauczuku oraz dla mieszanek spalinowych, pomijając już dalsze jego wszechstronne zastosowanie, zapewnia producentom kartofla na terenach gospodarczo zorganizowanych poważne korzyści. Rozwój upraw buraka wobec

małego spożycia cukru na tym terenie oraz wobec roli, jaką cukier odgrywa przy przetworach i konserwach owocowych podkreśla potrzebę szerokiego rozwinięcia tej uprawy. Obydwa omawiane płody, będąc podstawą uprzemysłowienia, dają dodatkową możność zatrudnienia w okresie najwygodniejszym dla rolnika, znacznej części rąk roboczych w warsztatach przemysłowych.

Rozszerzenie upraw chmielu, tytoniu, lnu i konopi wzmocni zapoczątkowany przemysł przetwórczy w tych dziedzinach, w których posiada on ciekawą tradycję. Specjalnie dotyczy to przemysłu tkackiego, opartego na lnie i konopiach. Próby podejmowane w tym kierunku na Litwie, w Polsce, Rumunii i innych krajach tego obszaru, dawały dodatnie rezultaty.

Zasadniczym kierunkiem rozwoju produkcji rolnej powinno być zwiększenie hodowli, wytwarzanie nabiału, uprawa warzyw i owoców oraz przetwarzanie tych artykułów do bezpośredniego spożycia. Niedobór konsumpcyjny zaobserwowany w krajach o najwyższym poziomie mówi że olbrzymie pole stoi otworem. Wielka Brytania, kraj wysokiego standartu życiowego, według prac wielu dietetyków, jest niedożywiana. Spożycie owoców, nabiału, jarzyn i warzyw jest niżej normy potrzebnej dla organizmów. Wszystkie te artykuły są artykułami eksportu z terenu kraju środkowo-południowo-wschodniej Europy. Zmniejszająca się w miarę wzrostu dobrobytu konsumpcja chleba i mąki, przy wzrastającym spożyciu mięsa, owoców, nabiału i warzyw, podkreśla jeszcze właściwy kierunek dla produkcji rolniczej omawianego obszaru. Rozwinięcie tych dziedzin przy zabezpieczeniu najwyższego standartu artykułom wytwarzanym stwarza zdrowe podstawy pod istnienie drobnych i średnich gospodarstw rolnych oraz pod współpracę gospodarczą pomiędzy państwami uprzemysłowionymi Zachodu a terenem omawianym.

Nikła konsumpcja i nikła produkcja przetworów przemysłu rolniczego widoczna w takich dziedzinach jak cukier, piwo, alkohol, papier, przetwory mięsne i owocowe okaże dopiero swój niedobór po podniesieniu ogólnego poziomu życia. Polityka słusznych cen na produkty rolnicze, tak przy wymianie międzynarodowej jak i na rynku wewnętrznym, da dopiero wtedy cenne rezultaty, gdy doprowadzi do wyrównania poziomu płac robotników przemysłowych z rolnymi. Przy tym wyrównaniu objawi się w pełni morze potrzeb i otworzą się wielkie zadania dla produkcji przemysłowej: krajowej i zagranicznej. W świetle tych przemian okaże się poniżej wszelkiego poziomu wytwórczość przemysłowa nie tylko na terenie rodzimym, ale i tymi potrzebami może być zaskoczona produkcja krajów przemysłowych. Eksport rolniczy w tych nowych warunkach stworzy atrakcyjny i cenny czynnik kompensaty za dostarczone artykuły przemysłowe.

Usunięcie zniszczeń wojennych, melioracje gruntów, budowa dróg, regulacja rzek, konieczność dostarczenia mieszkań, wymagać będą takich ilości materiałów o jakich zapotrzebowaniu nigdy nie było mowy. Stosunkowy brak drzewa, pogłębiony rabunkową gospodarką okupanta, skieruje zapotrzebowanie ku materiałom innego rodzaju. Cement i żelazo produkcji krajowej, będące dotąd w nadmiarze, przy prymitywizmie potrzeb, staną się bardzo poszukiwanymi nie tylko w fabrykach krajowych. Produkcja 5.040 tysięcy ton metrycznych cementu w 1937 r. przy panującej depresji gospodarczej służyła nie tylko do pokrycia potrzeb własnych, lecz pewien jej odsetek ulegał eksportowi. Jeszcze gorzej wyglądała produkcja i konsumpcja żelaza. W 1937 r. na terenie środkowo-południowo-wschodniej Europy wyprodukowano 2.720 tysięcy ton metrycznych żelaza, gdy Wielka Brytania w tymże roku wytworzy 8.629 tysięcy ton metrycznych a Stany Zjednoczone Am. Płn. 19.468 ton metrycznych. Niemcy zaś z Austrią 20.152 tysiące ton metrycznych. Ta wielka dyspro-

proporcja w produkcji żelaza jeszcze się akcentuje w jego konsumpcji. Część żelaza wytworzonego na terenie jedenastu państw omawianych wywieziono do krajów bardziej uprzemysłowionych. Stan ten decydował o produkcji w wielu innych dziedzinach. Przemysł mechaniczny poza Czechosłowacją i w drobnej mierze Polską leżał odłogiem. Przemysł ten nie mógł myśleć o pokryciu choćby małej części istniejących potrzeb. Zmienione warunki gospodarcze, podniesienie standartu życiowego ludności rolniczej otworzy dla krajów anglosaskich ogromne możliwości. Sprawa żelaza i stali jest przykładem sytuacji istniejącej w dziedzinie produkcji i obróbki innych metali. Wytwórczość miedzi wynosi około 1/20 wytwórczości Stanów Zjednoczonych. Dość dodatnio przedstawia się sytuacja ołowiu, którego tereny omawiane wydobywają cztery razy tyle, co Wielka Brytania a taką samą ilość jak w Z.S.S.R. oraz około 10% wytwórczości Stanów Zjednoczonych Am. Płn. W zakresie produkcji cynku Europa środkowo-południowo-wschodnia ma sytuację uprzywilejowaną. Trzecie miejsce w produkcji światowej tego metalu świadczy o tym dowodnie. Metal przyszłości — aluminium, odgrywający tak dużę rolę przy budowie samolotów prawie nie jest wytwarzany. Istniejące złoża boksytu na Węgrzech i w Jugosławii mogą stać się podstawą rozwoju tej gałęzi metalurgii. Jeszcze gorsza jest sytuacja chromu, kobaldu i niklu.

Zarówno produkcja metali jak i wytwórczość mechaniczna aparatów elektrycznych i radiowych w żadnym razie nie pokrywa zapotrzebowania państw Europy środkowo-południowo-wschodniej. Zniszczenia wojenne przemysłu kontynentalnego a przede wszystkim przemysłu Niemiec łącznie z antagonizmem, jaki dzieli i dzielić będzie długo ten kraj od jedenastu państw omawianych, uniemożliwia wymianę pomiędzy tymi terenami. Kraje anglosaskie staną się jedynym naturalnym źródłem zaopatrzenia we wszystkie brakujące artykuły. Przyszłe Stany Zjednoczone Europy środkowej stworzone z jedenastu państw omawianych, są naturalnym gospodarczym uzupełnieniem swych wielkich sojuszników świata zachodniego. Rozwój przyszły krajów środkowo-południowo-wschodnich Europy wychodząc z tych przesłanek powiniem szukać we wzajemnym uzupełnieniu z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi Am. Pn. możliwości zarówno do podniesienia swego standartu jak i dla przyspieszenia tempa rozwoju.

Rolnictwo na terenach przyszłych Stanów Zjednoczonych Europy środkowej posiada nie tylko naturalne podstawy w glebie i ludności, ale także i w szeregu bogactw mineralnych. Intensywna gospodarka rolna wymaga poza nawozami organicznymi także nawozów pochodzenia mineralnego i nawozów syntetycznych. Produkcja pirytów w roku przedwojennym wynosiła 452 tysiące ton, kiedy produkcja Stanów Zjednoczonych Am. Płn. z tegoż czasu wykazuje 594 tysiące ton, a Niemiec — 424 tysiące ton. Tego rodzaju pokaźne ilości pozwalają na wydatne zasilenie gleby w fosfaty. Rozmieszczenie złóż pirytu przede wszystkim w Grecji a w mniejszej mierze w Jugosławii oraz w Polsce daje szczególnie temu pierwszemu krajowi możność celowego wykorzystania na całym terenie przyszłej federacji przyrodzonych mu bogactw. Sole potasowe, stanowiące poważne zagadnienie rolnicze znajdują się na terenie Polski a produkcja ich wynosiła 100 tysięcy ton, przy produkcji Stanów Zjednoczonych Am. Płn. nie przekraczającej 250 tysięcy ton. Zagadnienie nawozów azotowych może być rozstrzygnięte zadawalniająco, a to wobec istnienia poważnej produkcji azotniaku.

Same warunki przyrodzone dla rozwoju specjalnego typu produkcji rolniczej nie wystarczą dla racjonalnego zorganizowania jej wytwórczości oraz zmontowania przetworów artykułów otrzymanych. Zmechanizowanie drobnych gospodarstw rolnych przede wszystkim przez zelektryfikowanie wsi umożliwi podniesienie jakości produktów. Mechanizacja

upraw w gospodarstwach drobnych i średnich przedstawia sobą zupełnie inne zagadnienia niżeli mechanizacja upraw zbożowych. Choć rola siły mechanicznej w tym typie gospodarki jest mniej dostrzegalna, to pomimo to, posiada ona znaczną doniosłość. Obok osiągnięć czysto produkcyjnych jakie zapewnia dostarczenie energii elektrycznej na wieś, nie mniejsze znaczenie będą miały osiągnięcia kulturalne i oświatowe. Intensyfikacja produkcji rolnej i nowe metody organizacji zbytu oraz przetwarzania wymagają znacznego wyrobienia intelektualnego i fachowego ludności wiejskiej. Rozwinięty system rzek z dwiema poważnymi arteriami Dunajem i Wisłą, jako też szeregiem mniejszych, spływających ku Bałtykowi, Morzu Czarnemu i Adriatykowi, stanowi naturalną podstawę dla produkcji prądu elektrycznego. Górzystość terenu i duże spadki są podstawą poważnych zasobów energii. Polski basen węglowy z ogromnymi jego rezerwami i znacznym wydobyciem wraz z czeskim węglem oraz możliwościami innych krajów tego zespołu stwarza cenne źródło energii. Produkcja węgla, która w 1937 r. wynosiła 54.938 tysięcy ton metrycznych, stanowi jednak zaledwie jedną piątą produkcji węgla Wielkiej Brytanii. Jeśli zwrócimy uwagą na mały rozwój przemysłu w tym terenie oraz istniejące możliwości potencjalne w postaci złóż węglowych, to sytuacja przyszłych Stanów Zjednoczonych Europy Środkowej będzie i w tym zakresie pomyślna. Biorąc pod uwagę inne źródło siły motorycznej — ropę naftową, szczególnie obfitą na terenie Rumunii, przy pominięciu potencjalnych możliwości wynikających z produkcji alkoholu i benzolu, przyjdziemy do przekonania, że koniunktura energetyczna Europy środkowo-południowo-wschodniej jest zadawalająca. W 1937 r. produkcja ropy naftowej na terenie przyszłych Stanów Zjednoczonych Europy Środkowej wynosiła 712,3 tysiące ton metrycznych. Dla porównania przytoczymy cyfrę produkcji Z.S.S.R. z tejże daty, która wynosiła 2.782,1 tysięcy ton metrycznych. Energia elektryczna, jak i energia cieplna, będzie pomocną w rozwoju nie tylko produckji, lecz i transportu. W świetle tych możliwości stosunkowo skromnie wypada produkcja prądu elektrycznego. W 1937 r. wytworzono 11.222 milionów klw., gdy w Niemczech w tymże samym czasie produkowano 51.648 milionów klw. a w Stanach Zjednoczonych Am. Płn. aż 121.050 milionów klw. Duże źródła energii, istnienie wielkich zasobów węgla, ropy oraz drzewa ułatwić może powstanie poważnego przemysłu chemicznego. Inwestycje kapitałowe potrzebne na ten cel są rentowniejsze, niżeli wymagane dla rozbudowy przemysłu metalowego oraz chutniczego. Przemysł chemiczny pozwala na decentralizację, co w warunkach intensywnej produkcji rolniczej umożliwia celowe wykorzystanie sił roboczych, częściowo tutaj zatrudnionych. Przemysł chemiczny powiązany z przemysłem przetwórczym rolniczym stanowić będzie podstawy zdrowej, wzajemnej kooperacji. Rozwój przemysłu metalowego i mechanicznego w krajach anglosaskich wywołany wypadkami wojennymi oraz wielkie inwestycje kapitałowe, jakich on wymaga, każą odrzucić myśl o poważnym rozwoju w niedługim czasie tych gałęzi na terenie Europy środkowo-południowo-wschodniej. Przemysł chemiczny, właściwy przede wszystkim przedwojennym Niemcom, po zniszczeniu obecnym, będzie wymagał odbudowy, która może być połączona z przeniesieniem go na inny teren. Stosunkowo małe zainteresowanie tymi dziedzinami krajów anglosaskich ułatwia częściowe przejęcie tego przemysłu przez przyszłe Stany Zjednoczone Europy Środkowej. Z przemysłem przetwórczym wiąże się przemysł tkacki, co prawda przemysł ten dość rozwinięty na terenie Polski i Czechosłowacji opierał się głównie na surowcach importowanych. Niewielkie ilości wełny oraz zupełny brak bawełny utrudnia racjonalne istnienie tych gałęzi. Argumentami za utrzymaniem tego typu produkcji jest duża ilość wyszkolonych robotników i techników. Argumentem za tym stanowiskiem może być także zasada dostarczania surowca do człowieka, nie odwrotnie. Natomiast produkcja lnu i konopi jak już

zaznaczyliśmy stwarza zdrowe warunki dla przerobu tych surowców. Wykorzystanie nie tylko przeróbki fabrycznej ale i warsztatowej, dać może ciekawe rezultaty wprowadzając lokalny koloryt do tej wytwórczości.

Prądy i charakter wymiany międzynarodowej w czasie przedwojennym wykazują mocne powiązanie krajów Europy środkowo-południowo-wschodniej z zachodem. Wymiana tych ziem ze wschodem najbliższym redukowała się do bardzo ograniczonej sumy i niewielkiego asortymentu artykułów. Najpoważniejszym odbiorcą i dostawcą dla tego obszaru były Niemcy. Uczestnictwo Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych w wymianie towarowej z krajami Europy środkowo-południowo-wschodniej ograniczało się do stosunkowo małych ilości płodów i przetworów rolniczych, drzewa, surowców mineralnych i organicznych oraz do niewielkiej ilości wytworów przemysłowych z rynku czechosłowackiego. Skromnemu eksportowi odpowiadał skromny import z krajów anglosaskich, składał się on z maszyn, narzędzi, aparatów oraz towarów kolonialnych. Przeobrażenia polityczne i gospodarcze jakie niesie zawierucha światowa przekształcają obraz przedwojenny. Na tle zachodzących zmian zarysowuje się tendencja do wzmożenia wymiany pomiędzy przyszłymi Stanami Zjednoczonymi Europy Środkowej a światem anglosaskim. To, co dotychczas obserwowaliśmy w stanie zaczątkowym przekształci się prawdopodobnie w wymianę o poważnym znaczeniu gospodarczym. Rynkom anglosaskim potrzeba artykułów wytwarzanych przez drobne i średnie gospodarstwa rolne. Potrzeba ta oraz konieczność utrzymania przemysłu w pełnym zatrudnieniu będą zacieśniały w sposób naturalny wzmocnione przeżyciami wojennymi więzy. Wzajemne uzupełnianie się dwóch typów gospodarczych odpowiadać będzie nie tylko warunkom ekonomicznym ale i wyrachowaniom politycznym. Współpraca krajów wymienionych, uzupełniona współdziałaniem z krajami wielkich zasobów mineralnych i obfitej produkcji zbożowej, stworzy warunki dla planowego ułożenia stosunków gospodarczych w skali światowej. Akceptowanie praw równorzędnych dla każdego typu gospodarczego w stosunkach międzynarodowych zabezpieczy spokój i stworzy podstawy dla podniesienia ogólnego standartu życiowego. Uporządkowana wymiana międzynarodowa będzie ułatwieniem dla porządkowania i zhumanizowania wytwórczości.

Aby powiązać Stany Zjednoczone Europy Środkowej ze światem, należy położyć duży nacisk na rozwój ich komunikacyj. Sytuacja geograficzna środkowo-południowo-wschodniej Europy wyznacza jej znaczną rolę w wymianie pomiędzy zachodem a Rosją Sowiecką. W tych warunkach zagadnienie komunikacyjne nabiera większej wagi, gdyż służy nie tylko potrzebom miejscowym ale i znacznemu tranzytowi. Zmieniające się warunki komunikacyjne, wpływ motoryzacji, wzrastająca rola awiacji, przy istnieniu licznych dróg morskich do terenów Z.S.S.R. oraz zmniejszeniu gospodarczego znaczenia Niemiec, pozwoli przypuszczać że nastąpi odciążenie tranzytu na liniach kolejowych. Kolosalny postęp techniczny w lotnictwie nie pozostanie bez wpływu na usprawnienie wymiany pomiędzy terenem jedenastu państw omawianych a kontrahentami. Specjalnie w pewnych kategoriach produktów spożywczych ten rodzaj transportu może wpłynąć na podniesienie i usprawnienie uprawy i hodowli. Zmienione warunki zbliżają nas w sposób nieznany do świata całego, a specjalnie do świata anglosaskiego.

Morze przez długi jeszcze okres czasu będzie dogodnym szlakiem transportowym. Obsadzenie na stałe Kanału Kilońskiego i przemienienie go w bazę aliantów zabezpieczy Bałtyk dla flot narodów sprzymierzonych. Szereg portów od Gdyni poprzez Gdańsk, Królewiec do Rygi i Tallina może zaspokoić potrzeby szerokiego zaplecza. Powstanie Stanów Zjednoczonych Europy Środkowej usunie trudności graniczne dostarczając portom tego rejonu wielkiej ilości towarów. Przewidywane spotęgowanie

ruchu towarowego na szlakach morskich wymagać będzie rozbudowy urządzeń portowych. Doświadczenia Niemiec, które posiadały mniejsze zaplecze i nie miały rozwiniętych dróg tranzytowych pomiędzy północą a południem, każą przypuszczać, że ruch w portach Stanów Zjednoczonych Europy Środkowej będzie im gwarantował nie tylko pełne zatrudnienie ale i rozwój. Porty morza Czarnego przy połączeniach wodnych za pośrednictwem Wisły i Dniestru oraz Odry i Dunaju jako też Wisły i Odry umożliwią duży tranzyt wodny. Porty tego morza tworzą połączenie z południem Z.S.S.R. i z Turcją oraz drogami, ku ziemiom i narodom Azji. Wyloty na Adriatyk i morze Egejskie uzupełniają wydatnie możliwości handlowe i komunikacyjne tego obszaru.

Tonaż floty handlowej Stanów Zjednoczonych Europy Środkowej znajdzie pełne zatrudnienie przy podołaniu zadaniom, jakie floty krajów sprzymierzonych będą musiały wykonać przy odbudowie powojennej. Tonaż ten w 1938 r. wynosił brutto 3.144 tysiące ton. Pomiędzy narodami obszaru omawianego mającymi flotę handlową najpoważniej przedstawia się pozycja Grecji, która skupia w swym ręku 60% całego wymienionego tonażu. Uczestnictwo Grecji w zespole federacyjnym gwarantuje jej pełne wykorzystanie posiadanej floty. Floty krajów środkowo-południowo-wschodniej Europy w porównaniu z flotą handlową Wielkiej Brytanii, liczącą w tymże czasie 17.675 tysięcy ton brutto, nie były potęgą. Flota ta jednak była trzykrotnie mocniejsza od niemieckiej, mającej 1.045 tysięcy ton brutto oraz dziesięć razy od Z.S.S.R. liczącej zaledwie 333 tysiące ton brutto. Tak stosunkowo poważny tonaż, przy wyrobieniu marynarzy oraz znacznej ilości portów zabezpiecza pomyślny rozwój życia gospodarczego.

Charakter zatrudnienia ludności w poszczególnych krajach jest cenną wskazówką w określeniu pozycji rozwojowej każdego z narodów. Z zestawień opracowanych przez Colin'a Clarke'a przytoczymy parę przykładów rzucających światło na sytuację społeczno-gospodarczą krajów Europy środkowo-południowo-wschodniej. Zgodnie z przyjętą nomenklaturą, dzieli on pracę ludzką na pierwotną, wtórną i pozostałą. Do zajęć pierwotnych zalicza: rolnictwo, pasterstwo, rybołówstwo i myślistwo. Do wtórnych zatrudnienia: w produkcji przemysłowej, wytwarzaniu energii mechanicznej, budownictwie i górnictwie. Pozostałe obejmują: czynności wymiany handlowej, administracyjnej, obiegu pieniężnego i inne. Zgodnie z wymienionym podziałem pracująca ludność Stanów Zjednoczonych Am. Płn. była przed wojną światową zatrudnioną w grupach wzmiankowanych następująco:

I grupa — 19·3%, II grupa — 31·1%, III grupa — 49·6%.

W Wielkiej Brytanii:

I grupa — 6·4%, II grupa — 43·9% III grupa — 49·7%.

W Niemczech:

I grupa — 24·8%; II grupa — 33·5%, III grupa — 37·2%.

W Z.S.S.R.: I grupa — 74·4%, II grupa — 15·4%, III grupa — 10·5%.

W Europie środkowo południowo-wschodniej z przeliczenia przybliżonego na zasadzie cyfr podanych dla poszczególnych państwlub ich zespołów:

I grupa — 60·0%, II grupa — 18·5%, III gupa — 21·5%.

Zestawienia powyższe podkreślają przewagę zajęć rolniczych i mały rozwój przemysłu na terenie przyszłych Stanów Zjednoczonych Europy Środkowej. Z porównania cyfr przytoczonych jeszcze raz uwidacznia się odrębność charakteru Europy środkowo-południowo-wschodniej, zarówno w stosunku do krajów zachodu jak i wschodu. Przewaga rolnictwa przy jednoczesnym jego upośledzeniu gospodarczym, wpływa na zmniejszenie dochodu społecznego i obniżenie życiowego standartu ludności. Rozpatrując na zasadzie opracowań przytoczonego powyżej ekonomisty wysokość dochodu przeciętnego pracownika, podaną

w zunifikowanych jednostkach obliczeniowych, stwierdzimy, że w okresie pomiędzy latami 1935-1938 robotnicy w Stanach Zjednoczonych Am. Płn. otrzymywali 1.389 jednostek, w Wielkiej Brytanii — 1.206, w Niemczech — 708, w Europie środkowo-południowo-wschodniej, po przeliczeniu przybliżonym — 405, w Z.S.S.S.R. — 323. Ludność Europy środkowo-południowo-wschodniej posiadała przed wojną obecną poziom życia ludności Wielkiej Brytanii z 1890 r. a ludności Szwecji z 1900 r. To opóźnienie, prawie półwiekowe, może być odrobione.

Uporządowana i ustabilizowana wymiana międzynarodowa licząca się z planową gospodarką i z potrzebami kontrahentów staje się koniecznością. Tempo w jakim rozwój techniki zmienia warunki produkcji przemysłowej, jest tak wielkie, że niszczy wszelkie przewidywania i wszelką kalkulację. Zmiany te pociągają za sobą perturbacje finansowe, uderzające w system bankowy i obieg pieniężny. Dotychczasowa polityka bankowa i technika obiegu pieniężnego stają wobec zjawisk, które nie mieszczą się w opracowanych długimi latami systemach. Wszelkie próby powrotu do przeszłości w tych warunkach są skazane na niepowodzenie. Uparte próby ratowania złota jako podstawy emisji pieniężnej, dowodzą braku orientacji w panującej rzeczywistości. W stosunku do Europy środkowo-południowo-wschodniej zagadnienie złota przedstawia się w świetle cyfr w sposób następujący: W 1938 r. jedenaście krajów omawianych miało równo 300 milionów dolarów pełnowartościowych złota monetarnego. W tejże dacie Stany Zjednoczone Am. Płn. rozporządzały sumą 8.571 milionów dolarów, W. Brytania — 1.589 milionów dolarów, Niemcy — 17 milionów dolarów, Z.S.S.R. — w 1936 r. ostatnio opublikowane — 225 milionów dolarów. Ten rozdział złota monetarnego podkreśla brak wszelkiego związku pomiędzy sumą posiadaną a życiem gospodarczym. Wysuwana propozycja repartycji złota nie zmieniłaby zasadniczo sytuacji. Próby rozwiązań zmierzające do zkumulowania rezerw złota spotkają się prawdopodobnie ze sprzeciwem krajów gorzej sytuowanych gospodarczo. Dla zdrowia wymiany międzynarodowej należałoby raczej zwrócić uwagę na zagadnienia produkcyjno-konsumpcyjne i im podporządkować rozwiązanie zagadnień finansowych.

Dużym uproszczeniem spraw obrotu międzynarodowego jak i spraw kredytowych będzie powstanie dużych jednostek gospodarczych. Stosunki gospodarcze i polityczne świata ulegną znacznemu uporządkowaniu gdy zamiast jedenastu państw, leżących w centrum naszego kontynentu powstanie jedna organizacja. Dotychczasowe doświadczenia wykazują, że zasadniczym warunkiem trwałości federacji jest wspólna polityka gospodarcza. Prawdą jest że warunki Stanów Zjednoczonych Am. Płn., Szwajcarii, Kanady, czy Australii różnią się wybitnie od terenu omawianego. Prawdą jest jednak, że istniejące związki federacyjne, przechodziły okres początkowych tarć po których zespalały się gospodarczo, gdyż zespolenie zabezpieczało dobrobyt. Obecne współżycie międzynarodowe wzmaga tendencję w kierunku zespalania organizmów drobnych w jednostki o większym znaczeniu. Powstanie Stanów Zjednoczonych Europy Środkowej jest zagadnieniem nie tylko dotyczącym ludności tego obszaru. Powstanie tej organizacji tworzy jeden z elementów obliczalnych, który ułatwi sharmonizowanie gospodarki światowej. Objęcie całego tego terenu w jednolity system gospodarczy posiadający jeden plan gospodarczy, jedną politykę, unormowaną wymianę, na jednych zasadach opartą gospodarkę finansową, uprości niezmiernie stosunki światowe. Pozyskanie tego rodzaju kontrahenta jest interesem wszystkich, dbających o stabilizację stosunków i ich uporządkowanie na podstawie wzajemnej współpracy zmierzającej do podniesienia materialnego i kulturalnego. Epoka kapitalizmu z nieopanowanymi egoizmami, doświadczenia Z.S.S.R. z przerostem biurokracji i pominięciem potrzeb człowieka, wysiłki gospodarcze

wojny światowej z próbami normowania produkcji i spożycia — to wszystko elementy, z których czerpać powinniśmy naukę dla jutra. Nadchodzące przeobrażenia dotkną prawdopodobnie zagadnień prawno-organizacyjnych, pojęć własności, spraw wytwarzania i użytkowania dóbr. Jeśli rozwinąć mamy ustrój demokratyczny i zapobiec eksploatacji świata pracy przez kapitalizm czy etatyzm, to winniśmy liczyć się z szeregiem zmian. Mocny wpływ konsumentów i pracowników na normowanie spraw społeczno gospodarczych, silniejsze uwzględnienie poczucia słuszności i moralności zarysowują te ramy organizacyjne, w których jednostka świadoma swego stanowiska w zespole znajdzie zaspokojenie swych potrzeb. Nasuwająca się konieczność rozwoju sądów gospodarczych przy uniezależnieniu ich od administracji państwa ułatwi uspołecznienie produkcji i wymiany. Ustalony plan gospodarczy stworzy podstawy prawno-formalne dla orzeczeń sądownictwa tego typu. W nowych warunkach przestrzeganie zasady, aby warsztat produkcyjny służył zaspokojeniu potrzeb konsumentów i pracowników, a nie wyrachowaniom spekulacyjnym właściciela lub biurokracji państwowej będzie możliwością. Współdziałanie przyszłych Stanów Zjednoczonych Europy Środkowej leży na tej linii gdyż odpowiada właściwościom psychicznym ludności tych terenów. Ludność rolnicza wytwarzająca dla zaspokojenia potrzeb a nie dla zysku odczuwa obowiązek produkcji w kategoriach moralnych. Tego rodzaju walory psychiczne obok walorów gospodarczych jakie przynieść mogą Stany Zjednoczone Europy Środkowej leżą na linii dorobku świata zachodniego.

Według sprawozdania Izby Handlowej z Essen z października 1863 r., w 1862 r. stalownia Kruppa przy pomocy 161 pieców do wytapiania, hartowania i cementowania stali oraz 32 maszyn parowych, 43 kuźni i 203 maszyn narzędziowych, jako też 24.000 robotników, wyprodukowała około 13 milionów funtów stali, czyli około 6.500 ton. Uwzględniwszy ówczesny dzień pracy, który wynosił 12 godzin oraz rok który zawierał 300 dni roboczych, stwierdzimy, że w doskonale urządzonej na ówczesne czasy fabryce trzeba było przeszło 1.000 godzin pracy dla wyprodukowania jednej tony produktu. Jeżeli przeniesiemy się 35 lat później na ląd amerykański, to stwierdzimy, że w 1900 r. przemysł stalowy Stanów Zjednoczonych wyprodukował 11 milionów ton zużywając 600 milionów godzin pracy czyli około 55 godzin na tonę. W 1909 r. przemysł ten produkował już 58 milionów ton przy zużyciu zaledwie 770 milionów godzin pracy czyli niespełna 17 godzin na tonę. Obecne wyczyny wojenne pozwoliły pobić wszystkie dotychczasowe rekordy. Produkcja przemysłowa w różnych dziedzinach rośnie w tempie przewyższającym dotychczasowe osiągnięcia. Kraje anglosaskie przodujące w tym rozwoju muszą myśleć o znalezieniu ujścia dla swej wytwórczości. Potrzeby odbudowy powojennej ani w swym nasileniu ani w czasie nie stanowią dostatecznego zabezpieczenia dla uruchomienia rozpędzonych maszyn. Trzeba rozglądnąć się za bardziej pociągającymi obiektami, które dostarczą na długi czas pracy i zagwarantują za nią pożądaną kompensatę. W 1960 r. ludność Stanów Zjednoczonych Europy Środkowej wynosić będzie, według obliczeń Colin'a Clark'a 147 milionów, ludność zaś Wielkiej Brytanii 47 milionów. Cyfry te i scharakteryzowane warunki wyznaczają drogi ekspansji gospodarczej. Idąc do ładu gospodarczego poprzez całkowanie rozdrobnionych organizmów i poprzez koordynowaną współpracę bloków terytorialnych idziemy nie tylko po drodze dobrobytu i pokoju ale umacniamy także moralny porządek świata.

CZESŁAW POZNAŃSKI

PRZEWÓDCY I PRZEDSTAWICIELE

Któż nie pamięta historii o tym obywatelu ateńskim, który przy głosowaniu rzucił swą skorupkę za wygnaniem Arystydesa, dlatego że go znudziło, że wszyscy Arystydesa nazywają Sprawiedliwym. Jest to jedna z tych anegdot, która tak doszczętnie została starta przez powtarzania, że nikt się bodaj głębiej nad nią nie zastanawia. Cytuje się ją po prostu, jako jeden z przykładów bezmyślności tłumu.

A jednak warto się nad tą anegdotą zatrzymać, spór bowiem między Arystydesem Sprawiedliwym a owym bezimiennym obywatelem ateńskim nie został jeszcze zakończony. Jest to spór odwieczny, przybierający co prawda w różnych epokach różne formy, ale tak samo aktualny dziś jak był aktualny w Atenach Arystydesa.

Jest to spór między koncepcją leadershipu a koncepcją demokracji.

Arystydes był przewódcą partii arystokratycznej Aten i anegdota została nam przekazana przez historyka, należącego do tejże partii. Sensem jej było wykazanie, że tłum nigdy nie jest zdolny ocenić wartości jednostek kierujących, że sprężyną działań tłumu są jedynie poziome uczucia zawiści; że organicznie nie znosi on żadnej wyższości.

Doskonałym pendant do historii o Arystydesie, którego wygnano dlatego jedynie, że był sprawiedliwym jest portret Kleona, namalowany przez innego arystokratę ateńskiego, Arystofanesa. Ten przewódca demokracji jest przedstawiony jako głupi prostak, utrzymujący się przy władzy dzięki temu jedynie że umie schlebić tłumowi.

Bezimienny obywatel ateński, który rzucił swą skorupkę za wygnaniem Arystydesa nie pozostawił nam swojego wyjaśnienia sprawy. Możemy jednak pokusić się o odtworzenie jego odpowiedzi.

„Tak jest, znudziło mi się słyszeć, jak wszyscy Arystydesa nazywają Sprawiedliwym. Jestem człowiekiem prostym, jestem demokratą. I jako demokrata wiem, że jest groźbą dla demokracji jeżeli jeden człowiek uznany zostanie za Sprawiedliwego, albowiem wiem, że grozi to skoncentrowaniem władzy w jego ręku, co więcej, że grozi to nieodwołalnością jego władzy. Istotą demokracji jest, że władza pochodzi od ludu, że legitymacją jej jest wola ludu, a nie to, że ktoś jest Sprawiedliwym. Nie chcę Führerów z Bożej łaski".

Jak powiedziałem ten spór o Arystydesa ciągnie się przez wieki. Kult wodzostwa, kult jednostki nieprzeciętnej jest głęboko zakorzeniony w psychologii ludzkiej. I demokracja w wiecznej defensywie stara się za pomocą najrozmaitszych przepisów konstytucyjnych bronić się przeciw temu, by jednostka władzy nie zagarnęła.

Republika rzymska nie tylko naczelną władzę oddała kolegialnie dwom konsulom, ale ograniczyła termin ich władzy do jednego roku. I Machiavelli słusznie zupełnie stwierdza, że upadek republiki zaczął się z chwilą, gdy termin władzy został przedłużony.

To samo widzimy i w Republice Stanów Zjednoczonych. Konstytucja nadała wielką władzę prezydentowi. Władza ta jednak nie tylko jest ograniczona skomplikowanym systemem równoległych uprawnień Kongresu i Najwyższego Sądu Federalnego. Jest ona ograniczona w czasie. I zwyczaj, ustalony przez Waszyngtona, że zaden prezydent nie może sprawować władzy dłużej niż przez dwie kadencje był właśnie nie czym innym jak obroną demokracji przed „pouvoir personnel"; przed permanentnym leadershipem.

Po dwóch blisko wiekach zwyczaj ten udało się przełamać Franklinowi Rooseveltowi, który został prezydentem po raz trzeci, a zapewne pokusi się zostać nim i po raz czwarty.

Ale jak wiemy warunki były zgoła osobliwe. I mimo że wojna trwa jeszcze wybór Roosevelta po raz czwarty nie jest zapewniony. Obawa wielu demokratów amerykańskich, że nawet tak szczery demokrata jak Roosevelt może się stać dla demokracji niebezpieczny, o ile władza jego zbytnio się w czasie przeciągnie niewątpliwie będzie grała rolę w wyborach roku obecnego.

Demokracja francuska w inny sposób zabezpieczała się przed niebezpieczeństwem wodzostwa.

Konstytucja 1873 roku nadała Prezydentowi Republiki bardzo szerokie uprawnienia. Większość, która konstytucję tę uchwalała była przecież większością monarchistyczną i przykrawała władzę prezydenta na miarę przyszłego króla. Zwyczaj konstytucyjny jednak nie pozwalał prezydentowi z władzy tej korzystać. Ponieważ jednak zawsze groziła możliwość, że silna jednostka w pałacu Elizejskim zwyczaju nie uszanuje, że pokusi się o pełnię władzy, parlament francuski stale dbał o to, by prezydentami zostawali nie istotni przewódcy stronnictw, nie ludzie „mocni", a ludzie w pewnej mierze „przeciętni", dający gwarancję, że pozostaną w ramach zwyczaju republikańskiego. Oświadczenie Clemenceau przy wyborach po upadku prezydenta Grévy: „Je vote pour Carnot, parcequ'il est le plus bête" w paradoksalnej formie sformułowało tę zasadę samoobrony demokracji przed „wodzami".*

W roku 1919 zresztą ta sama nieufność demokracji zwróciła się przeciw Clemenceau właśnie. Nie on, „le père de la Victoire", a Paweł Deschanel został prezydentem.

Było to może niewdzięcznością Francji wobec jednego z największych jej synów, można na ten temat drwić, tak jak się drwi z owego bezimiennego obywatela ateńskiego, który nie mógł znieść, że Arystydesa nazywano Sprawiedliwym, ale nie należy zapoznawać istoty zagadnienia.

Stanęło ono zresztą jaskrawie po wyborach 1924 roku, gdy człowiek dużo mniejszy od Clemenceau, Aleksander Millerand istotnie pokusił się o to by władzę prezydencką przekształcić w wodzostwo i przez demokrację francuską — wówczas jeszcze zdrową — został zmuszony do ustąpienia.

Stanie to zagadnienie przed nami nie raz jeszcze. Jeżeli wielu demokratów francuskich z nieufnością patrzy się na jenerała de Gaulle, mimo że w pełni doceniają jego olbrzymią zasługę, że pierwszy nie uznał kapitulacji, to właśnie dlatego, że boją się by de Gaulle na swej legendzie nie zbudował systemu władzy osobistej; że zdają sobie sprawę że konflikt między demokracją, a francuską formą Führerprinzipu, t.j. „bonapartyzmem" wciąż jeszcze istnieje.

Zasada „wodzostwa" w czystej jego formie może nie jest zresztą w czasach najbliższych największym z niebezpieczeństw, grożących demokracji. Mussolini i Hitler skompromitowali ją zbytnio. Istnieje natomiast inne niebezpieczeństwo, pokrewne, którego nawet szczerzy demokraci nieraz nie dostrzegają. Dajmy przykład.

W numerze październikowym 43 roku Polski Ludowej, organu P.S.L. w Kraju, znajdujemy następujące zdanie w jednym z artykułów ideowych:

„nie było i nie ma na świecie takiego ustroju, w którym by rządziły tłumy. W każdym ustroju rządzą przewódcy. I demokracja nie jest od tego wyjątkiem".

Jest to niewątpliwie jedno z najniebezpieczniejszych sformułowań. Jeden z ojców współczesnej demokracji, Tomasz Jefferson, powiedział był: „Każdy rząd degeneruje, o ile zostanie powierzony jedynie przewódcom ludu. Tylko samemu ludowi można bezpiecznie powierzyć rządy".

* Pamiętać jednak należy, że ci „przeciętni" prezydentowie nie byli bynajmniej figurami operetkowymi. Ludzie tacy jak Grévy, czy Fallières byli istotnymi mężami stanu, i pozorna ich szarość była właśnie formą ich republikanizmu.

I to jest jedynie słuszne stanowisko. W demokracji władza może należeć tylko do narodu, rządzić może tylko naród. Z chwilą, gdy się uzna uprawnienie do władzy „przewódców" nie ma demokracji.

Znamy odpowiedź na to. Przewódcy są koniecznością realną. W demokracji klasycznej, ograniczonej do miast, a w miastach do nielicznej liczby pełnoprawnych obywateli zebranych na agora, lud mógł sprawować władzę, tak zresztą jak sprawuje ją jeszcze dzisiaj w niektórych kantonach szwajcarskich. W wielkich jednak milionowych państwach nowożytnych ta bezpośrednia demokracja jest niemożliwością. Siłą rzeczy musi powstać podział na nieliczną grupę „rządzących" i wielką masę „rządzonych".

W czymże więc jest błąd Polski Ludowej. Czyż wyżej zacytowane zdanie nie jest po prostu stwierdzeniem niezaprzeczalnego faktu?

Otóż błąd leży w tym, że techniczną konieczność powierzenia sprawowania władzy nielicznym jednostkom transponuje się na istotną różnicę między rządzącymi i rządzonymi. Demokracja nie zna „tłumu" i jego „przewódców". Demokracja zna „obywateli" i ich „przedstawicieli".

Może to wydawać się sporem o słowa. Ale jest to istotnie spór o zasadę, spór ciągnący się od czasu gdy zachwiana została wiara w władzę dziedziczną, i szło o sformułowanie nowej zasady rządzenia.

Gdy rewolucjoniści amerykańscy zerwali z zasadą dziedziczności ogłosili w swej Deklaracji Niepodległości, że władza pochodzi od ludu. Ale od razu w interpretcaji tej zasady zarysowały się różnice. Waszyngton i jego przyjaciele, uznając że władza pochodzi od ludu, jednocześnie dodawali, że oczywiście lud jej sprawować nie może; że do sprawowania jej powołany jest nie „tłum", a jedynie „arystokraci", jedynie przewódcy. I gdy nazywali Tomasza Jeffersona „demokratą" to w ich pojęciu było to obelgą.

Najlepsze sformułowanie tego przeciwstawienia przewódców tłumowi znajdujemy u przewódcy partii „federalistycznej" Aleksandra Hamiltona, który mówił o absurdzie czynienia tego „co będzie się podobało ludowi, a nie tego co będzie dla niego pożyteczne".

Podczas gdy Jefferson pisał: „Rządy są republikańskie jedynie w tym stosunku w którym wyrażają i wykonywują wolę ludu."

Walka między tymi dwiema zasadami trwała lat 50 i dopiero wybór na prezydenta Andrew Jacksona w roku 1829 ostatecznie przypieczętował zwycięstwo zasady demokratycznej.

Echo Hamiltonowskiego ujęcia znajdujemy w Polsce w znanym powiedzeniu margrabiego Wielopolskiego, że „dla Polaków można coś zrobić, ale z Polakami nigdy". Znajdujemy je w Anglii w oświadczeniu lorda Claud Hamiltona w roku 1884, że chociaż robotnicy rolni nie mają prawa głosu, ale interesy ich są bezpieczne w ręku „gentlemanów" angielskich. Koncepcja, że „przewódcy" lepiej wiedzą od „tłumu", co dla niego jest dobre jest nieśmiertelna.

Oświadczenie lorda Hamiltona padło w czasie walki o rozszerzenie prawa wyborczego. I w wieku XIX walka o prawa „tłumu" głównie się toczyła w formie walki o rozszerzenie tego prawa. Jednakowoż podział na „rządzących" i „rządzonych" pozostaje przy najdemokratyczniejszym prawie wyborczym. Gdyż wtedy pozostaje zagadnienie doboru „rządzących", i także sprawa wzajemnego stosunku dwóch kategorii grup rządzących.

„Rządzący" bowiem to nie tylko rząd i parlament, uchwalający ustawy. Rządzący to także cały wyższy personel administracji państwowej. I można nawet zaryzykować twierdzenie, że w życiu codziennym ta właśnie druga klasa „rządzących" odgrywa dużo ważniejszą rolę od rządu i parlamentu.

Klasa ta ma z natury rzeczy wspólne interesy i to co się nazywa „biurokracją" w samej swej istocie zawiera niebezpieczeństwo dla demokracji,

niebezpieczeństwo wzmagające się w miarę rozszerzenia zakresu jej działania.

Niebezpieczeństwo to zaś staje się kardynalnym, gdy rekrutacja tej biurokracji ogranicza się do pewnej wyraźnej grupy społecznej.

Wendell Willkie, niesłychanie bystry obserwator, pisząc o Chinach zauważa „I would not like to suggest that the leaders I met in Chungking were not men of considerable calibre. They were. But they are not all representative in the Western sense. Just as the Chinese concept of democracy differs from ours in a certain respect, so does the pattern which life imposes on its leaders.

„I could not document this, but no one can stay in Chungking even for a short time without realising that the young republic despite its youth has already developed a kind of ‚old school tie' of its own which automatically keeps some men in high position. The chief wearers of this ‚old school tie' are the comrades in arm of the generalissimo during the years when he was fighting war-lords and it is China's gain that none of them is yet an old man".

Czyż tego samego co Willkie pisze o towarzyszach broni Cziang Kaj-Szeka nie można było pisać o „Pułkownikach" w Polsce... I czyż polska demokracja nie została sparaliżowana jeszcze przed zmianą konstytucji i przed uchwaleniem sławetnej ordynacji wyborczej właśnie przez opanowanie administracji.

Równolegle do tego przerostu władzy administracyjnej idzie oczywiście pogarda dla parlamentu, tej „gadalni"— „talking shop", tego zbiorowiska „politykierów? — „Nobodies elected by anybody".

I w formie ostatecznej ta przewaga demokracji daje nam państwo totalitarne. Istotą tego państwa jest bowiem identyfikacja grupy politycznie rządzącej z administracją państwową, i idąca za tym wszechwładza biurokracji niekontrolowanej przez przedstawicielstwo ludowe.

Co jest ciekawym szczegółem, to to, że grupy te rządzące dążą do wytworzenia hierarchii dziedzicznej. Ordensburgen Hitlera są tego najlepszym przykładem.

Próby filozoficznego, czy ekonomicznego uzasadnienia tej władzy grup, nazywanych „elitami", znajdujemy u Vilfreda Pareto, który twierdzi, że historia świata jest jedynie historią elit rządzących, że „cyrkulacja elit" jest istotnym zagadnieniem; znajdujemy je u James'a Burnhama, który pisze o rewolucji i w tej grupie widzi koniecznych „przewódców", „managerów", znajdujemy je w teorii prawa administracyjnego Leona Euguit.

Są one czasem bardzo inteligentne w tłumaczeniu dlaczego podział na „rządzących" i „rządzonych" nie jest po prostu formą organizacji społecznej, a jest wypływającą z istoty rzeczy koniecznością istnienia specjalnej grupy „przewódców", kierujących „tłumem".

Ale istotą jest nieufność do ludu „wielkiej bestii", jak go nazywał Aleksander Hamilton. I dlatego teorie te z demokracją nie mają nic wspólnego. Dlatego niebezpieczne jest dzisiaj w Polsce mówić o „tłumie" i jego „przewódcach".

W szkicu niniejszym przedstawiłem jedną stronę zagadnienia elitaryzmu analizując pobieżnie zagadnienie biurokracji rządzącej. Starałem się wykazać, że nie ma demokracji tam, gdzie ośrodek władzy przeniesiony zostaje z parlamentu, pochodzącego z wyborów, w ręce biurokracji rządzącej, gdzie technicy rządzenia mają prym przed przedstawicielami ludu.

Zagadnienie jednak „elity rządzącej" istnieje i w ramach systemu parlamentarnego. Istnieje ono jako zagadnienie doboru przewódców politycznych.

Temu zagadnieniu trzeba jednak poświęcić specjalne rozważania.

H. S. DOMINIK

„HOME FRONT“: O MORALE ANGIELSKIM

Wydaje się rzeczą zupełnie naturalną że myślimy o organizacji świata powojennego; o planowaniu przemysłu, aprowizacji, transportu; o nowych formach politycznych, nowych organach władzy czy nowych sposobach badania opinii publicznej. Wszystkie te sprawy przemawiają do naszego zmysłu praktyczności. Wiemy, że trzeba będzie dokonać cudów organizacji aby zwalczyć głód, nędzę i zimno, ale umiemy obliczyć bardzo dokładnie ilość potrzebnych surowców czy energii, wiemy skąd je brać i jak je przewieźć, wiemy czego nam potrzeba aby je przetworzyć na te materiały konsumpcji lub produkcji które będą potrzebne dla zaspokojenia potrzeb tylu a tylu dziesiątek milionów ludzi. Wiemy, że zastaniemy na kontynencie chaos polityczny i bezład jakich Europa nie znała w najczarniejszych chwilach swej historii. Wiemy, że o dusze ludzi będą walczyć przemożne siły zła, które mimo obalenia hitleryzmu będą wciąż jeszcze silne i zuchwałe. I dlatego rozumiemy, że bardziej dojrzali i światli spośród nas już dzisiaj szukają nowej formy politycznej, lepszej i bardziej ludzkiej niż przedwojenne faszyzmy, półfaszyzmy czy pseudo-demokracje.

To jest jasne. Gdy jednak przechodzimy do spraw bardziej abstrakcyjnych natrafiamy na opory i hamulce, niemal nie do przezwyciężenia. Nie udało mi się np. wyciągnąć żadnego z mych przyjaciół na rozmowę o *morale* polskim. Każdą próbę takiej dyskusji ktoś nieodmiennie przerzuca na tor rozgrywki politycznej, przeważnie aktualnej i przeważnie drobnostkowej.

Aforyzm „w zdrowym ciele, zdrowy duch” jest niestety odwracalny. Nędza fizyczna musiała odbić się na zdrowiu moralnym, cokolwiek by o tym myśleli ci co w zaciszu dostojnych gabinetów wypatrują jakiegoś biologicznego „cudu nad Wisłą”. Do tego dochodzi fakt, że wychowanie młodzieży i dorosłych było w ciągu ostatnich 4 i pół lat cząstkowe, dorywcze i siłą rzeczy jednostronne. Polska nie miała nawet tych wszystkich pomocniczych źródeł nauczania jak biblioteki, prasa, teatr, radio, odczyty itp., które w normalnych warunkach umożliwiają chętnym postęp i które są witaminami normalnego rozwoju duchowego.

I dlatego to ignorowanie przez emigrację wszystkich problemów dotyczących *morale* jest zarówno smutne jak lekkomyślne. A szkoda, bo mamy jedyną w swoim rodzaju sposobność obserwowania narodu o najzdrowszym na świecie *morale*. I choć — jak podkreślałem to niejednokrotnie — nie ma pewników wypływających z analogii, to jednak każda obserwacja jest bardzo pouczająca. Spytajcie się przyrodnika a wytłumaczy wam dlaczego.

* * *

Bardzo trudno zdefiniować słowo *morale*. Pojęcie to bywa zwężane przez ludzi, którzy nie umieją zmierzyć jego wagi albo którzy boją się jego treści. Mówią więc: „*Morale* to duch żołnierza, jego karność, jego ofiarność, jego męstwo”. Ale karność, ofiarność czy męstwo to są cechy nieraz bardzo głupie. Często bywają bezmyślnością, naiwnością i lekkomyślnością. Nie mówiąc o tym, że *morale* nie jest koniecznie cnotą żołnierską. Zaczynają więc z innej beczki: „*Morale* Polaków objawiło się w obronie Warszawy” i dodają usłużnie, „Warszawy walczącej bez nadziei, bez rządu, bez organizacji, bez broni”. Tutaj bliżsi jesteśmy prawdy, bo w Warszawie wówczas istotnie zabłysło *morale*. Ale nie dlatego, że „bez nadziei, bez rządu, bez organizacji czy bez broni”. Sprawa jest znacznie głębsza i bardziej skomplikowana.

Pani R. Langer mówi nam w swej opowieści-pamiętniku „The Mermaid and the Messerschmidt” o tym jak się włamała do mieszkania i szaf przyjaciela, który opuścił Warszawę ale który pozostawił dobrze zaopatrzoną

spiżarnię. „Gdy w pół godziny potem opuszczałyśmy mieszkanie Jana, byłyśmy ciężko obładowane łupem. Bo, szkoda gadać, to była grabież. Rzecz jasna, że zwrócimy Janowi i jego żonie te rzeczy gdy i jeśli kiedykolwiek wrócą, ale... Od tego dnia nie mogłam jakoś podzielać szczerego oburzenia mojej praworządnej rodziny i przyjaciół gdy mówili o ,tych potworach', którzy grabili domy i sklepy bombardowanej Warszawy".

Dla tej Warszawy — jej Warszawy — która łupiestwo (dla kawałka mydła) uznawała tylko jeśli było dokonane z zamiarem zwrotu, a łupiestwo z głodu, z nędzy i z ciemnoty uważała jako „potworne", *morale* to była walka „bez nadziei, bez rządu, bez organizacji, bez broni". To był stek słów nadętych treścią przedwojenną, niewojenną, burżuazyjno-szlachecką, mydlącą oczy, świętoszkowatą i nieprawdziwą.

Bliżej prawdy jest Jan Erdman w reportażu p.t. „Halo! Halo! Tu mówi Warszawa!" (Parada 5, września 1943 r.): „Zgliszcza polewano kubełkiem. Z równym powodzeniem można by zorganizować zbiorowe plucie. Rozczochrane Żydówki błagały o ratunek. Ktoś z nas powstał.

— Zaraz wrócę.

I zaczął wynosić z ognia zapluskwione komody i posagowe pierzyny."

„Kolega wrócił z pożaru. Był spocony i miał pierze we włosach. Przysiadł na murku.

— Całe miasto diabli wezmą.

Wiedzieliśmy to od dawna. I to nie było ważne. Ważne było gdzie szukać komendy, dowództwa, wojska, wskazówek, organizacji, oparcia...

— Więc co robimy?

Skoro wiszą obwieszczenia, że ,Warszawa będzie się bronić i mężczyźni zdolni do noszenia broni mają wrócić do stolicy' — to chyba nie ma dwóch zdań. Trzeba wracać".

Tak. To raczej to. Gdzieś podskórnie w tym krótkim reportażu pulsuje *morale*.

Ale obrona Warszawy, ten instynktowny, podświadomy, odruch ludu ma jeszcze innymi porami wypływające *morale*. Czeka ono na swego Uniłowskiego. Z cieniów starej Warszawy, z jej „slumsów" i z jej nędzy wypływa *morale* oblężenia Warszawy tak samo potężną strugą jak z shelterów East-Endu, Elephant & Castle, White Chapel, z zatłoczonych korytarzy kolei podziemnych *morale* londyńczyków, spokojnych i opanowanych podczas furii blitzu.

„Wiejska biedota bezrolna,
Co śpi pod polną mogiłą,
Ci co walczyli za wolność,
Której w ojczyźnie nie było,

Z Bema, z Grochowa i z Wolskiej
Bracia, co padli krwią zlani,
Ci co walczyli za Polskę,
Choć Polska nie była dla nich,

Nie usną snem sprawiedliwym
Ukołysani legendą,
I z mogił powstaną żywi
I oni sądzić nas będą".

(*A. Słonimski*)

Morale to duch tryumfujący nad materią. To są te cechy ludu, tłumu, narodu które sprawiają, że w pewnej chwili — w chwili w której nie myśli się o tym co wypada a co nie wypada, co można a czego nie można — nagle jednostka zapomina o sobie, o swoich prawach czy o swojej krzywdzie, a zaczyna myśleć konstruktywnie (— w obronie czy w tworzeniu —) o

zbiorowości. I nie ma siły — prócz śmierci — która ją wówczas może przełamać.

Polska znała zrywy swego *morale*. Czego jednak nie było, to konsekwencji *morale*. Konsekwencji która z narodu wielkiego duchem czyni naród wielki siłą.

* * *

Morale nie objawia się jednak tylko w walce, w czynie, w ruchu. Objawia się często w milczeniu. A wówczas — najbardziej niespodziewanie — bywa nieraz największe. Mam na myśli „Le silence de la mer".

I tu trzeba paru słów wyjaśnienia. Nasza przysłowiowa przyjaźń dla Francji nie wytrzymała próby klęski. Tak jak miłość poczęta w dobrobycie często nie wytrzymuje próby nędzy. Wielu zobaczyło Francję po raz pierwszy w klęsce. Znali ją poprzednio z Follies Bergères, z Monte Carlo, z Biarritz. Czytywali Boy'a — ale nie jego tłumaczenia lecz przeważnie „Słówka" i niektóre wyjątki z „Żywotów Pań Swawolnych". Wiedzieli, że Napoleon, Książę Józef, Madame Curie (koniecznie Skłodowska!) i Foch. Clemenceau — i owszem, choć nie ten z „Au soir de la pensée". Briand — ironiczny grymas. A nigdy, przenigdy Jaurès. A reszta, cała wielka reszta Francji: „...Barres, Boileau, Buffon... Chateaubriand, Hugo, Corneille, Descartes, Fénelon, Flaubert... La Fontaine, France, Gautier. Quel appel! — dit il avec un rire léger et hochant la tête. — Et je n'en suis qu'a la lettre H!... Ni Molière, ni Rabelais, ni Racine, ni Pascal, ni Stendhal, ni Voltaire, ni Montaigne, ni tous les autres!..." — to była dla większości naszych frankofilów terra incognita. Prześlizgiwali się po tym jak po słówkach łacińskich których się uczy w szkole ale do których się nigdy nie powraca.

Nic więc dziwnego, że w klęsce, „u kresu drugiego etapu" zobaczyli nie Francję ale karykaturę własnej ignorancji. A właśnie w tej Francji, najmniej nam znanej — choć najgęściej cytowanej w patosie pustych słów — zabłysło *morale* Francji. To *morale* którego wielkości nie zagłuszą ani Laval, ani Pétain, ani Darlan, ani nawet Drieu la Rochelle — zdrajca wielkości jej słowa, czy Montherlant — zdrajca wielkości jej myśli.

„Le silence de la mer", książka podpisana pseudonimem Vercors, „écrit en France, publié a Londres" (Les cahiers du silence, Londres 1943) jedyne arcydzieło sztuki stworzone w Europie czasów pogardy i klęski, które wydostało się w świat ludzi wolnych i doczekało publikacji nieskrępowanej konspiracją, jest tego *morale* najlepszym i najbardziej odpowiednim wyrazem.

Jest to opowieść o Niemcu, o dobrym Niemcu (bez cudzysłowu) który stara się zdobyć serce Francji i który natrafia na mur milczenia. Mur nie do przebycia nawet dla miłości. A pamiętajmy, że łatwiej opierać się wrogowi który gnębi niż wrogowi który kusi. Gwałt się gwałtem odciska, ale jakże trudno jest się oprzeć pokusie. My Polacy nie mieliśmy właściwie wyboru, (co bynajmniej nie pomniejsza wartości naszego oporu) ale Francja miała przemożną pokusę. I na tę pokusę odpowiedziała milczeniem.

Wspaniale jest oddane to milczenie Francji. Książka jest tak oszczędna w słowach i precyzyjna w treści, jak tylko książka francuska być może.

„Je ne puis me rapeler, aujourd'hui, tout ce qui fut dit au cours de plus de cent soirées d'hiver. Mais le thème n'en variat guère. C'était la longue rapsodie de sa découverte de la France: l'amour qu'il en avait de loin, avant de la connaître, et l'amour grandissant chaque jour qu'il éprouvait depuis qu'il avait le bonheur d'y vivre. Et, ma fois, je l'admirais. Oui: qu'il ne se décourageat pas. Et que jamais il ne fut tenté de secouer cet implacable silence par quelque violence de langage... Au contraire, quand parfois il laissait ce silence envahir la pièce et la saturer jusqu'au fond des angles comme un gaz pesant et irrespirable, il semblait bien être celui de nous trois qui s'y trouvait le plus a l'aise".

Niemiec zakochany we Francji, oczarowany jej „klimatem" kusi i uwodzi dwoje Francuzów. Z pedantyczną systematycznością — coś jak Hans Castorp piękną Madame Chauchat w „Zauberbergu" — stara się zdobyć ich względy, a przez nich chce „nawrócić" Francję do Niemiec. Ale tak stary Francuz jak jego młoda siostrzenica odpowiadają na zaloty Niemca milczeniem.

A milczenie Francji, ojczyzny myśli ubranej w najbardziej logiczne i przejrzyste zdania jest równie wymowne jak jej słowa i tak donośne, że głos jej *morale* rozbrzmiewający w „Le silence de la mer" wzniosłą wielkością pierwszego narodu Europy, zagłusza najgorsze wspomnienia i najbardziej przykre rozczarowania.

* * *

„Dobrze!" powie czytelnik. „*Morale* jest ukryte gdzieś u kresu nocy" broniącej się Warszawy, rozbłyska meteorem milczenia w „Le silence de la mer", ale ani tak sercu naszemu droga Warszawa, ani „la doulce France" cierpiąca i poniżona nie są symbolem tego właściwego *morale* które jest zwycięstwem ducha nad materią. Miernikiem jego jest dopiero zwycięstwo, a tego zwycięstwa nie miała ani obrona Warszawy ani milczący opór Francji.

Morale rosyjskiego ludu i rosyjskiego żołnierza, *morale* zwycięskich pilotów z Battle of Britain, *morale* społeczeństwa brytyjskiego oto dopiero prawdziwy wyraz *morale*. Więc dlaczego to wysuwanie na plan pierwszy Polski i Francji?"

Odpowiedź jest tylko jedna: — Dlatego, że sprawy ducha nie znają „power politics".

* * *

J. L. Hodson w czwartym tomie swych pamiętników wojennych p.t. „Home Front" (V. Gollancz, Ltd., 1944) opowiada, że „Wing-Commander A. E. Clouston, w toku badań nad niszczącym działaniem lin balonów zaporowych, z rozmysłem wlatywał na nie chcąc stwierdzić jaki rodzaj liny najbardziej uszkadza skrzydło samolotu. Oto odwaga najwyższego rzędu. Dowodzi ona, że śmierć nie jest przeszkodą dla najlepszych spośród nas". Jest to przykład konsekwencji *morale*. Nie zapamiętała mściwość, nie „raz kozie śmierć", nie straceńcza brawura, nawet nie ofiara — ale ryzyko z wyrachowania. Obmyślane i wyrozumowane, konsekwentne i uporczywe. I...bardzo typowo angielskie.

Najciekawszą namiętnością angielską i najbardziej charakterystyczną odrębnością jest fakt, że Anglicy lubią rozumieć. Lubią rozumieć to co robią, czemu służą, do czego się modlą, o co walczą, za co kochają. Ten „racjonalizm" nie ma nic wspólnego z francuskim ukochaniem precyzji. Nie jest postawą myślową ale wynikiem pewnej specyficznej cechy charakteru, usposobienia i temperamentu. Jeśli Anglik coś zrozumie, nie oznacza to, że będzie zawsze postępował w myśl tego zrozumienia. Ale jeśli to co zrozumiał poruszy jego sumienie, przemówi do jego serca lub będzie szło po linii jego usposobienia, wówczas nie oglądając się ani na prawo ani na lewo, jak ów rycerz „sans peur et sans reproche" bez wahania pójdzie za głosem...rozumu.

Ten sentymentalny racjonalizm spotykamy na wszystkich szczeblach społecznych i na wszystkich poziomach umysłowych. Od naiwnych prostaczków, wierzących w dosłowną prawdę biblii, którzy wiarę swą obnoszą na transparentach i wygłaszają kazania na... Piccadilly, aż po ludzi takich jak 38-mio letni Sir Richard Acland, który w imię swej ideologii i swych przekonań ofiarowuje na rzecz państwa majątek wartości 400.000 funtów. Bohaterstwo Wing-Commandera A. E. Clouston'a, lotników Battle of Britain, strażaków A.F.S., wardenów A.R.P., ofiarność sióstr szpitalnych; kobiet W.V.S., które służą bezpłatnie (i bez grymasów) w kan-

tynach, w ochronkach, w szpitalach; entuzjazm Home Guardu — tej do niedawna ochotniczej armii obywatelskiej — to wszystko i wiele jeszcze innych spraw jest niewątpliwie także wynikiem owego sentymentalnego racjonalizmu i równocześnie...objawem *morale*.

* * *

Dziwnymi drogami chodzi jednak owo angielskie *morale*. W wyżej cytowanej książce Hodsona znajdujemy następujący opis wizyty w londyńskiej fabryce broni. (Data 11.6.1942 roku.)

„Spytałem się co ludzie myślą o Rosji.

— Hm, woleliby raczej pracować dla Rosji niż dla Anglii". „Po Dunkierce ludzie pracowali po 66 godzin tygodniowo. Maj był pierwszym miesiącem bez pracy w niedzielę...", pisze nieco dalej.

Po Dunkierce Anglia walczyła sama, a propaganda komunistyczna tak skutecznie dzisiaj działająca, że ludzie „woleliby raczej pracować dla Rosji", wówczas pracowała równie energicznie — chociaż mniej skutecznie — w kierunku wręcz odwrotnym. I wówczas ci sami robotnicy angielscy pracowali po 66 godzin tygodniowo. Przetłumaczone na język polskich urzędników państwowych oznaczają te godziny pracę od 7.30 rano do 6-tej wieczorem (z jednogodzinną przerwą na lunch) przez 7 dni w tygodniu. Przy odległościach londyńskich robotnik opuszczający dom o godzinie 6.45 rano, wracał do domu o godzinie 6.45 wieczorem. Więc skoro „woleliby obecnie raczej pracować dla Rosji niż dla Anglii" to nie jest to chyba patriotyzm ale *morale*...

Przypomina mi się ów rodak, polski Cato (dla innych, naturalnie), który uważał, że pewien nasz wspólny znajomy powinien był w owym czasie — gdy pracował (dla chleba) 66 godzin tygodniowo w fabryce bomb — zgłosić się ochotniczo do wojska. „Ojczyzna woła" powiedział donośnie i męsko z wysokości swej pułkownikowskiej gaży i nieomylności (fakt!). Pan pułkownik — jeśli przypadkiem czyta ten artykuł — znowu pewnie marszczy swe marsowe i przystojne brwi.

Co to znaczy „to nie jest patriotyzm ale *morale*"? myśli sobie zgorszony. „Nie ma *morale* bez patriotyzmu!"

Może jednak po zastanowieniu udobrucha się pan pułkownik, bo to przecież o Anglikach mowa a nie o Polakach.

Choć, czy ja wiem...*morale* nie zna przecież granic. I...czy *morale* ma koniecznie coś wspólnego z patriotyzmem?

* * *

Skąd się bierze *morale*? Przypomina mi się stara anegdota o Mussolinim. Raz, bardzo dawno temu, gdy synowie jego byli jeszcze dziećmi, mały Bruno Mussolini spytał się ojca przy stole: „Tatusiu, co to jest faszyzm?" „Milcz i jedz!" brzmiała odpowiedź.

Morale nie wywodzi się ze ślepego posłuszeństwa. Człowiek myślący trudniej popada w histerię — która jest przeciwieństwem *morale*. Zrozumieli to Anglicy i dlatego ich system wychowawczy w wojsku polega głównie na kształceniu żołnierza w samodzielnym myśleniu. Nie gotowe formułki, nie starannie dobierane klisze zawsze te same, zawsze państwowotwórcze i niemal zawsze reakcyjne, jak to niestety bywa u nas, ale dyskusja, dyskusja i jeszcze raz dyskusja.

W swym pamiętniku pisze Hodson 4 października 1942 r.: „Onegdaj rano byłem w sali w której około stu oficerów i żołnierzy — oraz parę kobiet — z „Army Pay Corps" pilnie pracowało nad korespondencją i księgami. Było około pół do dwunastej rano. Nagle na dany znak przerwano pracę i tych stu ludzi podzieliło się na cztery grupy i rozpoczęło dyskusję o bieżących sprawach politycznych i o planach na po wojnie. Jedna grupa dyskutowała o przebudowie miast, druga — o Imperium Brytyjskim, trzecia — o kampanii libijskiej, a czwarta o nas i o naszych

amerykańskich sprzymierzeńcach. W każdej grupie przewodniczył porucznik. W parominutowym przemówieniu, krótko szkicował zagadnienie poczem wzywał ludzi do dyskusji. Jego zadaniem było bezstronnie przewodniczyć obradom. Po 40 minutach dyskusji wszyscy wracali do swych ksiąg.

„Oto przykład jak pracuje A.B.C.A. (Army Bureau of Current Affairs). „The Army Council" zdając sobie sprawę z tego, że armia nasza jest armią obywateli, przejął cromwellowską zasadę; żołnierz musi wiedzieć o co walczy i kochać to co wie. Nie wystarczy dać mu broń i nauczyć go nią władać. Konieczny jest podkład woli, myśli i ducha".

„Pewien młody oficer Commandosów omawiał ze swymi ludźmi tak drażliwe sprawy jak antysemityzm, małżeństwo na próbę i religię".

„Co 14 dni A.B.C.A. wydaje dwie broszury, jedną o sprawach wyłącznie wojskowych, drugą o sprawach bardziej ogólnych. Ostatnia broszura miała tytuł: „What Price Victory?" Omawia ona *morale* rosyjskie, niemieckie i angielskie. Opisuje wolność która nie jest frazesem poetyckim ale rzeczą pierwszej potrzeby szarego człowieka. Mówi, że nasze ukochanie brytyjskiego sposobu życia nie oznacza, że jesteśmy bez reszty zadowoleni z brytyjskich cnót i urządzeń. Wspólnym celem wszystkich brytyjczyków bez względu na ich majątek czy poglądy polityczne jest naprawienie po wojnie błędów które zbyt długo istniały w przemyśle, w naszych mieszkaniach, w służbie zdrowia, w ubezpieczeniach emerytalnych, w klasowości naszego szkolnictwa i t.d." „Jest wiele szczerości w tych broszurach i wydaje mi się że odpowiadają one żołnierzom. Ludziom nie mówi się w co mają wierzyć, lecz daje im się szereg informacji i wzywa się ich do stawiania dalszych pytań i do dyskusji..."

Cytaty powyższe chcą zasugerować czytelnikowi porównanie. Ale porównanie szczere i nie zakłamane. Bez patosu i bez świętego oburzenia. Bo takie porównanie dopiero doprowadzi nas do zrozumienia skąd się bierze angielskie *morale*. To *morale* które można światu postawić za wzór.

Wybrałem cytaty omawiające tematy dyskusji żołnierskich. Tematy które w naszej armii — co tu owijać w bawełnę — są tabu. W warunkach w których liberalizm jest uważany za herezję (— „To liberał" opowiadał młody polski oficer o kimś z przekąsem. Fakt! —), a każde słowo przeciw własności czy w obronie praw robotnika czy chłopa jest aż...bolszewizmem, trudno już nie tylko o swobodę dyskusji ale w ogóle o swobodę myśli.

Napisałem raz o pewnym szczerym przyjacielu Polski — Angliku —, że jest reakcjonistą i że niestety (— dla nas —) nie posiada większych wpływów. Była to moja osobista ocena. Ponieważ słowo „reakcja" ma obecnie zły posmak i uważa się je jako obraźliwe — zwłaszcza na prawicy —(wiadomo: w domu powieszonego nie mówi się o sznurze), postawiono mi zarzut że szkodzę sprawie polskiej, bo deprecjonuję naszych przyjaciół. Nie mówiąc o tym że ów Anglik „może się obrazić". Zarzut i obawa bardzo typowo polskie. Jeślibym przejął się zarzutem musiałbym albo przestać pisać, albo pisać inaczej niż myślę. W obu wypadkach nie byłbym w zgodzie z własnym sumieniem. Obawa jest także płonna. Albo ów przyjaciel Polski jest szczerym przyjacielem, a wówczas głos mój nie może zaważyć na szali jego przekonań, albo jest on przyjacielem bardzo powierzchownym, a wówczas cokolwiek bym powiedział naprawdę nie gra roli. Nadto ów przyjaciel Polski jest Anglikiem, a u Anglików — jak wiadomo — przyjaźń i business to dwie hermetycznie od siebie oddzielone sprawy. Polacy — ale także inni kontynentalni Europejczycy — nie znają tej głębokiej mądrości życiowej która każe Anglikom oddzielać „private life" od „public life". Polak mógłby się obrazić. U Anglika atak w zasadniczej dyskusji nie przedrze się przez pancerz „privacy" i nie ugodzi w żadną osobistą wrażliwość. I dlatego *morale* angielskie nie załamuje się tak łatwo jak *morale* człowieka z kontynentu. I dlatego A.B.C.A. może dyskutować na każdy temat a Polacy dyskusji na tematy drażliwe się boją.

Dlatego w Anglii na jednej platformie przemawiać może konserwatysta z komunistą; Chesterton będzie pisywał w „Daily Herald'zie" a Bernard Shaw w „Daily Mail'u"; Herbert Morison zwolni z więzienia Mosleya, a Churchill bez wahania ogłosi Rosję sprzymierzeńcem. I nikomu korona z głowy nie spadnie. Na sprawę burską, Irlandii, Indii, Rosji będą patrzeli Anglicy z najrozmaitszych punktów widzenia. Angielskie hasło „my country right or wrong" nigdzie nie było bardziej gwałcone niż w Anglii. Lloyd George sprzeciwiał się wojnie burskiej w czasie gdy szał szowinizmu dosięgał w Anglii zenitu i nie zaszkodziło to bynajmniej jego karierze politycznej. Sprawa Irlandii i Indii znajduje w Anglikach równie gorących popleczników jak między Hindusami czy Irlandczykami. O Rosji z entuzjazmem mówi wielu księży i nikt nie uważa, że są przez to mniej religijni lub mniej patriotyczni.

Swoboda wypowiadanych sądów i śmiałość głoszonych zasad jest w Anglii najbardziej znamienną cechą wszystkich dyskusji. W armii, we fabryce, w pubie, na meetingach publicznych, w Hyde Parku, przy „lovely fire", gdziekolwiek Anglicy rozmawiają — a rozmawiają częściej niż przystało na ich renomę — dyskusja jest równie śmiała, niewymuszona, swobodna i pewna siebie. Aż zazdrość bierze.

Angielski mówca — zarówno ten który przemawia jak i ten który rozmawia — nie boi się mówić. Oto sekret jego pewności siebie, a także — w dalszej konsekwencji — jego *morale*. Nie zna hamulców które ludziom z kontynentu nakłada lęk przed obelgą, potwarzą, śmiechem. W Anglii nikt nie użyje w dyskusji zasadniczej argumentów sięgających w „privacy" jednostki. Nikt nie powie przeciwnikowi: „Ty garbusie", „Ty rozwodniku", „Ty jąkało" lub coś podobnego. Taki argument jest rzeczą tak nie do pomyślenia, że używa się go często w formie żartobliwej. Np. na odczycie posła Ivor Thomasa przewodniczący Wickham Steed, polemizując z jego wywodami powiedział: „Ten młodzik nie zna spraw sprzed 1900 roku". Był to żart dopuszczalny, bo Wickham Steed ma ponad 80 lat a Ivor Thomas wygląda na około 40. Zarzut „młodości" jest jednym z tych nierzeczowych, osobistych argumentów których tak często używa się w dyskusji na kontynencie. W Anglii powstać może tylko w tak żartobliwej formie jak powyższa. To są reguły gry. Niewzruszalne jak w cricket'cie, w football'u, w tennisie i w bridge'u.

Człowiek głoszący w Anglii jakiekolwiek poglądy nie musi się bać, że za słowo które wypowie czy zdanie które napisze będzie osobiście prześladowany. Anglia w swym rozwoju minęła już bardzo dawno okres nietolerancji.

Anglicy są dziwni. Idziemy przez ulicę lub siedzimy w Underground'zie i nagle widzimy rzecz której w żadnym innym kraju nie moglibyśmy zobaczyć. Otwieramy gazetę czy książkę lub nastawiamy radio i czytamy lub słyszymy coś co nam się wydaje herezją lub dziwactwem, co jednak jest najbardziej normalną rzeczą dla Anglika.

W rubryce „Correspondence" socjalistycznego tygodnika „Tribune" znalazłem następujący list do redakcji. Podpisany jest on przez niejakiego (bliżej nieznanego) Paul Pottsa i staje w obronie poety amerykańskiego Ezry Pounda. Dla przeciętnego Europejczyka z kontynentu jest Ezra Pound najbardziej wstrętnym typem zdrajcy. Zdrajcy który nie tylko zdradził swój kraj, ale który podobnie jak William Joyce (Lord Haw-Haw) swój własny kraj lżył i oczerniał, a rodaków kusił i namawiał do zdrady. List ten stwierdza:

„Podstawą sentymentalnej obrony Pounda jest założenie, że jest on prawdziwym poetą i że prawdziwa poezja jest rzeczą tak rzadką że powinniśmy przyjąć wraz z nią najrozmaitsze domieszki. Pisarze zwykle opierają się bądź to o władzę, bądź o anarchię. Pound wybrał złą władzę, bo każda współczesna władza jest zła". It.d., i.t.d.

Co jest rzeczą najbardziej dla nas Polaków dziwną, to nie treść tego listu, (— można by na ten temat napisać znacznie lepiej —) ale fakt, że znalazł się ktoś kto nie lękał się podjąć przegranej sprawy i wytoczyć ją na forum publiczne. Chociaż kto wie, może to nasz brak odwagi cywilnej i paniczny strach przed tak zwaną opinią publiczną jest rzeczą dziwną, a ten list nieznanego pisarza angielskiego czymś bardziej naturalnym i bardziej godnym.

Autor listu może się spodziewać polemiki prasowej, ale nie jest bardzo prawdopodobne aby miał dyscyplinarkę jeśli jest np. urzędnikiem państwowym, albo aby przyjaciele przestali podawać mu rękę. Zdarzają się wprawdzie i takie wypadki, jak np. zwolnienie Toma Driberga, M.P. (z „Daily Express'u") za pewne wystąpienie w Izbie Gmin, lub usunięcie ze stanowiska naczelnego redaktora „Evening Standard'u" Michael Foot'a za napisanie książki p.t. „The Trial of Mussolini", ale są one tak przypadkowe, że nie można mówić o powszechności nietolerancji. Tej powszechności która bywa regułą gdzie indziej.

Jeszcze jeden przykład zanim przejdziemy do wniosków.

Learie Constantine, zawodowy gracz cricketowy, pochodzi z Indii Wschodnich i jest Murzynem. We wrześniu 1943 r. przyjechał na mecz do Londynu i zajechał do Imperial Hotelu przy Russel Square gdzie miał zamówione pokoje. Natychmiast po przybyciu został wezwany do dyrektora hotelu, który oświadczył mu, że ze względu na przesądy rasowe niektórych gości prosi go o poszukanie innego mieszkania.

W czasie obecnej wojny, gdy miliony niewinnych ludzi ginie w najstraszliwszych męczarniach tylko dlatego, że należą do rasy którą ktoś silniejszy uważa za „niższą rasę" i gdy dziesiątki milionów na kontynencie europejskim cierpi bez miary pod szaleństwem furii hitlerowskiej, sprawa Learie Constantine'a wydaje się naprawdę zbyt mało ważna i zbyt błaha aby zaprzątać nią umysły ludzkie, aby poświęcać jej tak wiele miejsca w gazetach czy tak wiele czasu w radio. Mimo to fala oburzenia przeszła przez całą Anglię. 8 interpelacji złożyli w parlamencie posłowie konserwatywni, liberalni i labourzyści. Cała prasa od brukowego „Daily Mirror" aż po arystokratycznego „Times'a" poświęciła jej notatki, komentarze i artykuły. „B.B.C." zaprosilo Constantine'a do wygłoszenia pogadanki p.t. „The Story of My People". Na falach brytyjskiego radia rozeszły się po całym imperium proste i wzruszające słowa. „Moi dziadkowie byli niewolnikami..."

Ale nawet te proste, szczere i wzruszające słowa są nieważne. Ważne jest, że je wypowiedziano, że dopuszczono do mikrofonu murzyna mimo bardzo rozpowszechnionych i dość głęboko zakorzenionych przesądów. Ważne jest że znaleźli się ludzie którzy mu pośpieszyli z pomocą i z obroną. Ważne jest, że nikt nie zorganizował nagonki na protestującego Murzyna. Ważne jest wreszcie, że te głosy były spontaniczne. Nie wyrachowane lecz płynące z przekonania które nie boi się głośno wyrażać swych zasad. I dlatego ten epizod ma większe znaczenie i głębszą naukę niżby jego waga na to zezwalała. Anglicy — tak jak Murzyni — bywają „zarówno źli jak i dobrzy". Fakt, że są Anglikami „nie daje im monopolu na wszystkie cnoty". Ale jedno nierozsądne wystąpienie dyrektora hotelu spotka się z dziesiątkiem odważnych i zdecydowanych głosów protestu; krzywda którą pochwali jakiś odłam opinii, zostanie potępiona przez innych. Wolność słowa i wolność myśli nie są skrępowane żadnym tabu, żadną presją rządu, ani tą groźniejszą — bo działającą zza płota — presją t.zw. opinii publicznej.

I kto wie czy właśnie tu nie kryje się sekret angielskiego *morale*.

Czy obserwowaliście kiedyś dzieci angielskie? Ich swobodę i pewność siebie gdy są w towarzystwie dorosłych. Nie! To nie jest tylko dobre wychowanie. Andrus z East-Endu jest równie swobodny jak uczeń

z Harrow. Nie spotyka się tego zapeszenia tak częstego u nas gdy dorosły mówi do wyrostka. Byłem niedawno gościem w preparatory boarding school (szkoła dla chłopców od lat 7-miu do 14-tu) i obserwowałem stosunek uczniów do nauczycieli i do headmaster'a. Owe grzeczne, ale nie uniżone ani zalęknione:,, Yes, Sir" ,,May I do this or that, Sir!" Uśmiech na twarzy ucznia i uśmiech na twarzy headmaster'a. Ton pełen respektu u ucznia a pełen życzliwości u nauczyciela, ale zarazem rozmowa prowadzona jak równy z równym. I pomyślałem sobie, że i ja miałem równie życzliwych nauczycieli ale, że...się ich bałem. Podobnie rzecz się ma we wzajemnym stosunku dzieci. Angielskie dziecko nie boi się, że zostanie wyśmiane czy wykpione. Stąd ta szczera, dziecięca naiwność którą tak wielu Anglików przenosi aż w wiek dojrzały.

Strach rodzi kłamstwo. Kłamstwo ustokrotnione codziennością strachu uras a w zakłamanie ogarniające gromadę, powiat, naród. Nieszczerość i nieufność idą ich tropem. A *morale* nie kwitnie na takim gruncie.

* * *

Każda krzywda znajduje w Anglii swego obrońcę a każda prawda swego proroka. Nie jest to z powodu jakiejś specjalnie wyróżnienia godnej cnoty angielskiej. Ludzie innych narodowości reagują prawdopodobnie tak samo. Tyle tylko, że reagują po cichu. Stąd pozorna ,,jednomyślność" we wielu krajach świata. Gdy nie widzimy opozycji wnioskujemy, że jej nie ma. Faszyści wszystkich kolorów i wszystkich koszul, dbali zresztą o to aby tę pozorną jednomyślność — która jest wodą na ich młyn — roztrąbić i rozreklamować.

I w Polsce wierzyliśmy w tę jednomyślność narodu. ,,Król z narodem, naród z królem" przemieniło się współcześnie na inne bardziej zaktualizowane, choć równie nieprawdziwe, slogany. ,,Zwarci, silni, gotowi!" Ufaliśmy tak święcie w nieomylność Rydza i w sprawną gotowość naszej armii (,,wszystko dla wojska"), że każde krytyczne słowo o naszym słabym potencjale przemysłowym czy o niedołęstwie naszych wysiłków motoryzacyjnych było uważane za zdradę. Do dziś dnia bardziej naiwni — lub bardziej zakłamani — spośród nas zdejmują czapkę przed Rubensem jak przed kościołem. Dlaczego? Służba we wojsku jest rzeczą słuszną i rzeczą godną, ale dlaczego organizacja armii w której i której służy każdy Polak, ma być rzeczą nietykalną, nie wiem. Chyba aby podtrzymać *morale*. Czy tak?

Kazano nam wierzyć i ogłupiano masy polskie (— dziś wiemy za czyje pieniądze —) straszakiem żydowskim. (Znałem Polaka który wstydził się tego, że nie był antysemitą!) I dlaczego dzisiaj ta ,,jednomyślność" w sprawie żydowskiej jest tak powszechna, że oprócz oficjalnych propagandowych protestów jak dotąd wśród Polaków tylko w poezji Balińskiego i w prozie Terleckiego Tragedja Żydów znalazła wyraz godny i chrześcijański. Czyżby i to mogło zaszkodzić naszemu *morale*?

Dlaczego Voigt nie boi się bronić sprawy polskiej gdy jest ona w Anglii wyraźnie niepopularna? Dlaczego angielski Żyd V. Gollancz nie waha się bronić Niemców gdy tak dyktuje mu jego sumienie? Dlaczego wolno ,,Tribune" pisać paszkwile na Churchilla (— a nie wolno atakować Sosnkowskiego —)? Dlaczego nikogo nie gorszy ani nie wprowadza w trans świętego oburzenia jeśli Anglik opowiada się po stronie de Valery albo Ghandiego? Czyżby to nie zagrażało angielskiemu *morale*? A jeśli to nie zagraża angielskiemu *morale*, to może brak jednomyślności nie zaszkodziłby także Polakom? I dlaczego Tuwimowi nie wolno powiedzieć co myśli (nawet gdy myśli błędnie), a wolno było rozmaitym po dziś dzień ,,nieposzlakowanym" chwalić faszyzm, jeździć do Mussoliniego i wysługiwać się Hitlerowi?

* * *

Przeciętnego Polaka „obowiązywało” *morale* tylko we wojsku. A wojsko z całym arsenałem drillu, ślepego posłuszeństwa, masowej dyscypliny nie jest najszczęśliwszym przykładem na udowodnienie tezy o wielkości polskiego *morale*. Bo słusznie możnaby zaoponować, że w wojsku słabość *morale* wychodzi na jaw dopiero w chwili klęski.

W życiu prywatnym czy publicznym *morale* — które wówczas nazywa się „postawą moralną” lub tp., — było raczej balastem. Balastem, który bardzo chętnie zrzucano. Jego miejsce zajmowało cwaniactwo, które w normalnych warunkach równie dobrze spełniało zadanie,a nie obciążało sumienia kompleksami. W czasach kryzysu cwaniactwo naturalnie nie potrafi zastąpić *morale*, ale któż myślał w Polsce o czasach kryzysu?

I to jest zasadnicza różnica pomiędzy *morale* angielskim a...innym. Angielskie *morale* objawia się nie tylko w wojsku. Widzimy je w zdyscyplinowanej cierpliwości Anglików ustawiających się w „ogonku” aby było bardziej *fair*; w posłuszeństwie prasy poddającej się dobrowolnie uciążliwej wojennej — ale jakże często także politycznej — cenzurze; nie zna Anglia paniki — blitzowej, walutowej, kuponowej, żywnościowej którą „refudziady” wszystkich narodowości tak ciężko grzeszyli i grzeszą; nie przeraża Anglika — perspektywa nędzy, choć nędzy wbrew pozorom było tu zawsze sporo; nie ugina się *morale* robotnika tak łatwo w strajku, ani nie paczą się charaktery tak łatwo w dobrobycie. *Morale* Polski jest natomiast wyłącznie na użytek wojskowy.

Skąd to polskie uwielbienie wojska? Dlaczego mój znajomy, — ów polski Cato o którym wspominałem powyżej — wymawiał człowiekowi pracującemu nad siły we fabryce broni, że powinien być we wojsku. Czy sądził może, że *morale* Polaka jest pewniejsze gdy ubierze się go w mundur? Dlaczego, wciąż jeszcze, dziewczyna londyńska pracująca za dnia we fabryce a nocą czuwająca wśród blitzu mniejszą ma w oczach naszych zasługę niż pan pułkownik (emerytowany) Xsiński, który na czas wojny znowu przywdział mundur i amci w jakimś biurze a nocą schodzi do shelteru.

Mówiąc o *morale* myślimy wciąż i zawsze o żołnierzu i o wojnie. To jest błąd który nas wiele kosztował i w który nieprzytomnie brniemy dalej. Po pierwsze, jak stwierdziliśmy, wojsko nie jest miernikiem *morale*, a po drugie — i najważniejsze — jest inne źródło polskiego *morale* o którym zapominamy wpatrzeni w wojsko. Polski lud. The common people.

MARIA KUNCEWICZOWA

O UCZCIWY BILANS

Bardzo niewielu Polaków w tej wojnie może pracować dla jutra. Ciężar dnia dzisiejszego jest tak olbrzymi nad Polską, że życie w kraju porównać można do nieustannego wysiłku atlety o mięśniach i nerwach sprężonych do ostateczności. W tej sytuacji wielkim osiągnięciem jest samo oddychanie, funkcje zaś takie jak myśl o przyszłości wkraczają już w sferę bohaterstwa.

Polacy poza zasięgiem wroga są stosunkowo nieliczni. Oprócz zadań wojskowych, wyrastają przed nimi co chwila skomplikowane problemy polityki międzynarodowej, informacji i propagandy, do których przeważnie nie są przygotowani. Ci również rzadko pracują dla jutra, zaprzątnięci doraźnymi reakcjami na przemijające zjawiska.

Tymczasem jutro piętrzy się przed nami — nieuniknione i groźne. Nie da się zażegnać ani bohaterstwem, ani improwizacją. Żąda rozsądku i pracy. Żąda charakteru.

Wskutek fatalnej koniunktury politycznej braki wychowania w Polsce były olbrzymie w ciągu ostatnich wieków i dwadzieścia lat niepodległości wsiąkło w pustynię tych niedoborów, jak jedna bezsilna kropla. Cudzoziemcom, wysuwającym zarzuty przeciw charakterowi polskiemu, łatwo jest odpowiadać, cytując opory historii, która tak nierównymi szansami obdzieliła narody. Ale okoliczności łagodzące, o ile mają swą wymowę przed Bogiem, rzadko mają ją przed ludźmi, a najrzadziej w obliczu współczesnych partnerów i kontrahentów. Zresztą cokolwiek dałoby się powiedzieć na usprawiedliwienie np. polskiej nieumiejętności zespołowego działania (tak często i tak niesłusznie interpretowanej jako indywidualizm), nie uchroni to nas samych przed złowrogimi skutkami tej wady. Nawet jeśli uda się nam wywalczyć poprawę sytuacji naszego narodu w świecie, a także wykoncypować plan najdoskonalszych reform społecznych i politycznych na wewnętrzny polski użytek, rozwój nasz nie pójdzie w górę, o ile Polacy — jako jednostki i jako społeczeństwo — nie okażą się zdolni do codziennych zorganizowanych wysiłków konstruktywnych.

Aby taką zdolność w sobie wyrobić trzeba — wypróbowanym przez chrześcijaństwo sposobem — zacząć od trzeźwej autoanalizy, czyli od rachunku sumienia. Pokora jest cnotą heroiczną, dostępną bodaj tylko świętym, wysoce niepopularną wśród patriotów. Tym niemniej właśnie patrioci, w interesie ambicji narodowej, powinni się zdecydować na praktykowanie trzeźwości, która jest cywilnym odpowiednikiem cnoty anielskiej, pokory. Trzeźwości wobec samych siebie i swoich ojczyzn. Bez uczciwego bowiem bilansu cech narodowych nie zdołamy nigdy usprawnić mózgów i serc na tyle, by uzyskać miejsce poczesne w konkurencji narodów.

Na emigracji nie wiele widać skłonności do uczciwej buchalterii polskich osiągnięć i predyspozycyj. Nie dziwne to. Tęsknota nasza jest magicznym kosmetykiem spraw i ludzi dalekich. Kompleks niższosci, tak naturalny u wydziedziczonych, domaga się kompensaty w mitach i snach o potędze. Wielki nawał materiału porównawczego, wynikający z niechcianego globtrotterstwa, zmusza do pracy intelektu i wyobraźni, wstrętnej dla zmęczonych, którzy — w ucieczce przed nią — chronią się to ghetta. Wszystko to jest wysoce zrozumiałe. Ale i rzecz inną należy zrozumieć. Należy zrozumieć, że okazja konfrontacji wartości własnych z zagranicznymi jest jedną bodaj, uchwytną już dzisiaj, szansą wychowawczą narodu polskiego w latach 1939-44. Nie sądźmy, że w Kraju nie dokonywuje się ta konfrontacja. Zarówno Niemcy, jak Rosjanie, miażdżąc Polskę przewagami swojej organizacji (bo właściwie do problemów organizacji zaliczyć trzeba i kwestie przewidywania i dar taktyczny i szantaże t.zw. „ideologii”) wyciskają ze świadomości narodowej Polaków wskazania na dziś i na jutro. Jednak świat, którym Polska ma istnieć zamyka się — na szczęście — w perspektywach szerszych i głębszych od horyzontu naszych sąsiadów. Doświadczenia, jakie płyną ze zmagań z sąsiadami są chlebem codziennym naszej historii od kilku setek lat. Kto wie, czy ich bezowocność nie wynika z ich partykularyzmu, z braku synchronizacji między nimi a doświadczeniami zachodu.

W okresie przeżywanym obecnie, około stu tysięcy Polaków z najróżniejszych środowisk zostało przez los wydelegowanych na Zachód. Kraj, który by w czasie pokoju potrafił wysłać za granicę tylu stypendystów, byłby uważany za Krezusa między narodami. Tymczasem t.zw. uchodźcy, czy emigranci (zarówno cywilni jak wojskowi) są dziś stypendystami Polski w najdosłowniejszym sensie, skoro żyją niemal wszyscy na koszt — materialny, czy moralny — naszego państwa. A wojna na obczyźnie, wbrew pozorom, nie jest gorszym uniwersytetem, niż studia pokojowe. Podczas pokoju społeczeństwa zachodnie wykazują większą ekskluzywność, niż podczas wojny, kiedy alianci bywają dopuszczani do takich kręgów

życia, które zazwyczej zazdrośnie są przed obcymi strzeżone. Pod naporem wspólnego nieszczęścia rozwiązują się języki, pycha narodowa słabnie, ciekawość odmiennych norm i reakcji wzrasta. Żaden przecież wykład na temat zagranicy nie dorówna kwadransowi rozmowy z cudzoziemcem.

Zatem sposobności do obserwacji, do porównań, do — prywatnego i narodowego — rachunka sumienia, do uczciwych wniosków z historii i do pracy nad sobą — mają dziś Polacy więcej, niż kiedykolwiek. Wbrew wszelkim niechęciom, do korzystania z niej są bezwzględnie obowiązani, tak samo, jak do służby w wojsku.

Że obowiązek ten wyczuwany jest coraz powszechniej, widać z licznych inicjatyw samokształceniowych, z wysiłków obecnego Ministerstwa Oświaty, z działalności czynników oświatowych w armii. Nigdy jednak program pracy nad charakterem narodowym nie został sformułowany tak konkretnie, jak w załączonej odezwie ludzi, podtrzymujących w Edynburgu tradycje Krakowskiego Klubu Dyskusyjnego „Krąg".

Ludzie ci rekrutujący się z kół Polskiego Fakultetu Medycznego w Edynburgu i z grupy ich przyjaciół, to przeważnie przyrodnicy i lekarze. Lekarze nie tylko naukowcy, ale i praktycy, rozporządzający warsztatem doświadczalnym w postaci Szpitala im. Paderewskiego.

Każdy, kto zetknął się choć przelotnie z jakimkolwiek szpitalem, zdaje sobie sprawę, jak znakomitym polem obserwacji charakterów jest dom napełniony chorymi. Cechy indywidualne i zespołowe występują tam, pod wpływem fizycznej słabości, w czystej niemal postaci. Pod obuchem cierpienia cholerycy stają się pasjonatami, flegmatycy popadają w marazm. Ale bywa też i inaczej. Podobnie jak organizm posiada ukryte rezerwy sił, które dochodzą do głosu, gdy śmierć sięga po zmęczone ciało tak samo duch ludzki, skonfrontowany z wiecznością, zdobywa się na dramatyczne wysiłki i nieraz w godzinie konania odnajduje prawdę o życiu.

Przyrodnicy, psychologowie, skrzętni obserwatorzy życia, zarówno jak myślący, wrażliwi lekarze, niemniej od zawodowych wychowawców, powołani są do pracy nad charakterem narodu. Ich odezwa nie powinna minąć bez echa. Do znanych rezerw polskiego organizmu narodowego i polskiego ducha należy dar przetwarzania — w czarnych godzinach losu — chronicznych wad na zalety. Do tego daru sięgnijmy teraz, aby budować jutro dla braci, którzy ponoszą za nas straszliwy ciężar teraźniejszości.

* * *

Otrzymaliśmy Odezwę Klubu Dyskusyjnego „Krąg", którą podajemy w streszczeniu.

Każdy naród posiada pewne dodatnie i ujemne cechy, które go od innych narodów odróżniają. Są one wynikiem czynników dziedzicznych i czynników otoczenia w najszerszym tego słowa znaczeniu. Nauka o cechach dziedzicznych człowieka, zwłaszcza w odniesieniu do cech psychicznych, stoi na tak niskim jeszcze poziomie, że nie nasuwa żadnej praktycznej możliwości wpływania na charakter. Całkowite jednak wyzyskanie i pełnia rozwoju naszych właściwości dziedzicznych zależy w zupełności od czynników otoczenia, ponieważ one kierują całym rozwojem człowieka.

Wpływ otoczenia składa się z szeregu czynników, jak klimat, teren i jego szata roślinna, urządzenia domowe, odżywianie, wychowanie i tradycja, powszechne zwyczaje, literatura, budowle i pomniki, atmosfera domu, szkoła, warsztat pracy, struktura społeczna, ocena wartości własnych, sposób obcowania z innymi i t.d. słowem całe środowisko materialne i klimat psychiczny, w których człowiek wzrasta i rozwija się od pierwszych dni życia. Rosnąca jednocześnie świadomość pozwala na czynne i osobiste rzeźbienie własnego charakteru. Ta właśnie praca osobista każdego z nas nad sobą ma znaczenie decydujące.

Czyż nie czas zdać sobie sprawę z wad i błędów, które zaciemniają naszą przyszłość i z naszych wartości, które mają być jej tworzywem?

Stare życie zginęło w pożarach wojny; — jak wyrośnie nowe, zależy w wysokim stopniu od posiewu naszych zjednoczonych wysiłków. Toteż chwila obecna nadaje się wybitnie do zapoczątkowania akcji, którą podejmujemy, wojna zaś nadarza wiele sposobności do studiów nad cechami naszego narodu. *Jakie są cechy naszego umysłu i ducha*

w formie jednostkowej i zbiorowej, *jaka jest ich wartość? Gdzie szukać źródeł cech poszczególnych?* Jakie są drogi kształtownia ich i rozwoju? Jakimi metodami wprowadzać pożądane zmiany, które mają wejść w krew narodu? Oto są pytania, na które odpowiedź ma być wspólnym naszym dorobkiem.

Trzeba się więc zastanawiać niejednokrotnie nad charakterem osób i zespołów sobie znanych, zaczynając oczywiście od cech własnej osobowości. Poza tym brać pod uwagę spostrzeżenia i doświadczenia gromadzone dawniej i w czasach obecnych, one bowiem stanowić mają cenny materiał do badań dalszych. Po powrocie do Polski szeroka dyskusja publiczna przyczyni się do wytworzenia jednolitego poglądu społecznego na wartości nasze i braki, a stąd i na metody postępowania. Wywrze to niewątpliwie wpływ dodatni na nasze życie narodowe.

Inicjatywa ta nie ma żadnego hasła politycznego. Wszystkie odłamy myśli politycznej mogą i winny odnieść się do niej dodatnio, mając na uwadze, że wykonanie każdego programu zależy od charakteru jego zwolenników. Do pracy nad poprawą cech narodowych przez dobór odpowiednich warunków otoczenia, zwłaszcza w okresach początkowych, powołani są wszyscy bez względu na zawód ludzie dobrej woli. Z góry bowiem można przewidzieć, że ujęcie sprawy od początku przez samych tylko pedagogów, psychotechników i innych specjalistów, którzy bez udziału szerokich kół społeczeństwa nie mieliby materiału do studiów, nie przyniosłoby spodziewanych wyników.

Członkowie Krakowskiego Klubu Dyskusyjnego „Krąg" w Wielkiej Brytanii.

* * *

Komitet zwraca się z prośbą do wszystkich, którym zagadnienia w załączonym piśmie zawarte wydają się ważne, by na ręce Komitetu nadsyłali swoje spostrzeżenia i uwagi. Mają one dotyczyć charakterystycznego czy typowego dla nas zachowania się, postępowania lub reagowania jednostek, grup i większych zbiorowisk polskich.

W związku z tym prosimy o podawanie charakterystycznych momentów i możliwie dokładnie opisanych zdarzeń, bez poruszania zagadnień personalnych czy partyjnych, bez przytaczania nazwisk, miejscowości czy innych elementów, które by mogły wskazywać na tę czy inną osobę.

Opis wypadku lub zdarzenia i okoliczności im towarzyszących należy ująć w formę krótką i rzeczową, podobnie jak swoje uwagi i wnioski, po czym nadesłać pod adresem: T. Janikowski, King's Buildings, West Mains Road, Edinburgh 9.

Materiał w ten sposób zebrany ma być podstawą dalszej pracy badawczej, następnie zaś wyjściem do podjęcia odpowiedniej akcji w przyszłości.

Komitet organizacyjny:

o. I.M. Bocheński o.p., J. Czekałowski, B. Czemplik, Z. Godłowski, J. Iwaszkiewicz, T. Janikowski, J. Japa, J. Konopnicki, K. Krzeczunowicz, J. Kulczycki, Z. Malkiewicz, W. Nowicki, J. Ruszkowski, H. Śliżyńska, B. Śliżyński, W. Tomaszewski C. Uhma, K. Wańkowicz, T. Wąsowicz.

Edinburgh, 1 marca 1944.

TADEUSZ RÓŻYC

ZWIERZ ALPUHARY

Zwierz Alpuhary straszył całe pokolenia młodych Polaków. Pamięć o nim zacierała się w miarę, gdy dzieciństwo ustępowało miejsca młodości — z jej innymi troskami i goryczami — aby natarczywie powracać w dojrzalszym już wieku. Każde nowe, niespodziewane, niezrozumiałe przeszkody; każdy nieprzewidziany, niedozwolony chwyt losu — przywracały do życia apokaliptyczny twór językowej dwuznaczności, który zjawiał się w coraz to nowej formie. Aż wreszcie — jak w opowieściach Sindbada żeglarza słup dymu buchający z wyłowionej puszki — zaczął przybierać określone kształty. Nękająca od dzieciństwa zagadka doczekała się rozwiązania. Zwierz Alpuhary — to biurokracja.

Bynajmniej zresztą nie nasza własna, przedmajowa lub przedwrześniowa. Ani dzisiejsza — strattońska czy rubensowska. Ani polska biurokracja powojenna (bo i taka będzie niewątpliwie). Biurokracja w ogóle, bez względu na szerokość geograficzną i epokę historyczną. Biurokracja,

jako zjawisko złączone z samym kunsztem rządzenia, a dające się uniknąć chyba w jednym tylko układzie społeczno-politycznym: anarchiźmie. Dopóki jednak powszechna anarchia nie zapanuje na świecie, niepodobna będzie — niestety — zniweczyć biurokracji w jej przeróżnych formach i materializacjach.

Najniebezpieczniejsza była zapewne austriacko-węgierska, bo oparta na dwóch dogmatach:

„Komu Pan Bóg dał urząd, temu dał i rozum" — głosiła pierwsza prawda. A druga, jeszcze bardziej niezwykła, objawiała że urzędnik jest z naturalnego porządku rzeczy mądrzejszy od przychodzącego do niego obywatela — „petenta". Już samo to słowo ma wydźwięk jeśli nie pogardliwy, to co najmniej oparty na kompleksie wyższości wobec „strony". Aby ją zaś całkowicie a serdecznie pognębić, używa się w „urzędowaniu" przyprawiającego o ból zębów normalnych ludzi, a zupełnie niezrozumiałego dla ogółu słownictwa, chciałoby się powiedzieć: żargonu. Nie ma potrzeby cytowania przykładów. Na polski pożytek podał je Antoni Słonimski w granej przed wojną w Warszawie komedii „Rodzina". Wojewoda z tej sztuki przemawia — bo przecież nie mówi, lecz stale przemawia — takim właśnie językiem urzędowo-państwowo-twórczym, gdzie „rzutowanie pionu impregnowanego koncepcją" kuma się z osobliwym tworem wyobraźni biurokratycznej: „rakiem, który w rozumieniu niniejszej ustawy jest rybą".

Trzeba jednak przyznać, że w austriackiej biurokracji znakomicie, wzorowo funkcjonowała jedna jej „agenda". Nic zresztą dziwnego, bo przez samą biurokrację wymyślona. Był nią „dziennik podawczy". Kamień węgielny rutyny urzędniczej, arka przymierza między ostatnim kancelistą a pierwszym dyrektorem departamentu, instrument do nadawania „Amtskraftu" wszystkim napływającym kawałkom. Ta wiekopomna aparatura była zaopatrzona w trzy aż skorowidze: chronologiczny, rzeczowy i osobowy. Dzięki nim można było z pewnością ustalić, czy i kiedy jakiś papierek dostał się do alembiku biurokratycznego; niekiedy — do jakiego zawędrował działu; nigdy — jak został załatwiony. Ale — panował porządek formalny.

I otóż właśnie benedyktyńska troska o stronę formalną, przewaga jej nad treścią, która przestaje już wówczas mieć jakie bądź znaczenie — stanowi najgłębszą cechę biurokracji. Czytałem niedawno o następującym budującym zdarzeniu: po którymś z cięższych nalotów na Hamburg nie zdołano odgrzebać spod gruzów zbombardowanego domu dwojga mieszkających tam osób — męża i żony. Nie zgłaszali się też oni w ciągu najbliższych dni ani na policję, ani do komitetów pomocy. Uznano ich przeto za nieżyjących, opisując ten fakt jak najformalniej w odpowiednich księgach. Po upływie paru tygodni zjawiają się jednak w Hamburgu oboje żywi i cali: uciekli przed samym nalotem na wieś, a teraz wracają żądając dachu nad głową, pomocy, tudzież nowych dokumentów. I tutaj zaczął się obłędny taniec biurokracji: skoro formalnie nie żyją, nie mogą istnieć faktycznie. Nie dostaną łyżki zupy, kawałka chleba, książeczek aprowizacyjnych — bo zostali urzędowo i najprawidłowiej przeniesieni na piwną kwaterę Abrahama. Nie pomogły przekonywania że żyją istotnie — pod względem formalnym byli nieboszczykami, którym się już nic na ziemi nie należy.

Bo jest dla biurokraty zgoła obojętne, jakie to będą polityczne, socjalne, gospodarcze skutki podjętej decyzji, byle tylko była ona w zgodzie formalnej z przepisami. Stąd też, im administracja jest bardziej zbiurokratyzowana, tym więcej płodzi zarządzeń, wyjaśnień, wykładni, okólników, obwieszczeń i innych o coraz cudaczniejszych nazwach papierowych dokumentów, których twórcą jest sama biurokracja, a których celem jest uchylenie się od odpowiedzialności.

Gdy bowiem urzędnik może zakryć się tarczą przepisu, użyć magicznego zaklęcia że działał zgodnie z formułką, wówczas ta czapka-niewidka osłoni go przed odpowiedzialnością nawet za krzywdę, wyrządzoną obywatelowi. Ba! nałożywszy maskę Katona, będzie mógł biurokrata zaryzykować nawet maksymę: „Dura lex sed lex" — zupełnie spokojny, że patroni i kontrolerzy, szefowie i wykonawcy nie wypomną mu ani przekroczenia kompetencji, ani nadużycia władzy, ani przestępstw formalnych.

Obawa przed ponoszeniem odpowiedziałności rodzi dalsze charławe a pokraczne potomstwo biurokracji: przerzucanie decyzji na kogo innego, oraz rozłożenie odpowiedzialności na tak wielką ilość osób, że praktycznie żadna już jej nie ponosi.

Najprościej i najłatwiej decyzji nie podejmować w ogóle, działając zgodnie z głęboką prawdą filozoficzną: kto śpi, ten nie grzeszy. Wypada tylko zachować wówczas pozory, fasadę pracy, a zwłaszcza uzbroić się w pisane dowody niewinności. I stąd łańcuszkowa, dla niewtajemniczonych pełna groteski, korespondencja międzyministerialna, międzydepartamentowa, międzywydziałowa, a nawet listy od biurka do biurka w tym samym pokoju. Ideałem byłoby przeto pisanie do siebie samego, a niedościgłym wprost wzorem staje się ten z noweli Reymonta urzędnik kolejowy, który będąc w jednej osobie zawiadowcą stacji i telegrafistą, pisze jako zawiadowca raport na telegrafistę. Nagminna klęska, bezmyślne maniactwo zbędnej pisaniny sprawiają, że nawet genialny wynalazek zeszłego jeszcze stulecia — telefon — traci w ogóle swój sens, wartość i znaczenie. Służy co najwyżej do przeniesienia po drucie znamiennego zdania: „Niech pan przyśle mi pisemko..."

Zgromadzone, zarejestrowane i uporządkowane „pisemka" tworzą defensywną broń biurokracji — akty. Klasyczny biurokrata nie broni meritum powierzonej mu sprawy. Broni aktów. Zależnie od koniunktury politycznej, układa z nich figury rozmaitego kształtu: w kwadrat, w trójkąt, w gwiazdę. Ale akty zawsze zostają te same. Mogą zmieniać się ministrowie, rządy, ustroje — biurokrata pozostaje nietknięty w swej fortecy z aktów.

Wzmacnia ją tylko od czasu do czasu drugim elementem mądrości urzędniczej. Jest nim „procedura uzgadniania". Sama jej treść najsmakowitsza tkwi w rozłożeniu na wielką ilość osób odpowiedzialności urzędniczej. Rozcieńcza się ona wówczas tak dokładnie, jak kropla octu w szklance wody, o co przecież chodzi. Do tego właśnie celu prowadzą różnorakie komisje i konferencje międzyministerialne, które powołać z nicości do życia bardzo łatwo, lecz doczekać się rozstrzygnięcia spraw jest znacznie trudniej. Okazuje się bowiem, że zachodzi potrzeba dodatkowych uzgodnień, narad wewnątrz urzędów, zasięgnięcia opinii ekspertów fachowych — słowem całej kuchni czarownic biurokracji.

Wtedy też w ozdobnej krasie występuje wewnętrzny rak biurokracji, który ją kiedyś zeżre ode środka: spory kompetencyjne. Przypominają one scenę w warszawskiej cukierni z epoki Prusa. Stary emeryt przy pół-czarnej trzyma w ręku jedną gazetę, siedząc zazdrośnie na dziesiątku innych. Sam ich nie czyta, lecz innym też nie da, bo leżą w zakresie jego zasiedziałej kompetencji.

Urzędy spierają się również nie dlatego, aby wyrywały sobie szlachetnie pracę. Nie — z chwilą, gdy się wygra „spór kompetencyjny", sprawa jest zakończona i można się już nią w ogóle nie zajmować. Przynajmniej tak długo, póki nie wybuchnie następna kłótnia o zakres władzy. Wygrywa ją zresztą nie ten bynajmniej, kto ma najwyższe kwalifikacje, najgłębszą znajomość tematu, najwięcej doświadczenia. Decydują bowiem wszystkie inne przesłanki, oprócz opartych na zdrowym sensie. Oczywiście, najważniejsze są względy polityczne i personalne. W ustrojach demokratycz-

nych — mocny politycznie minister, należący do silnego stronnictwa, może bez większych trudności ograbić z kompetencji swego gabinetowego kolegę, słabszego we wpływy lub nie opierającego się o mocną partię polityczną. W ustrojach totalnych tę samą grę prowadzi się w imię łask u dyktatora i jego dworu. Rezultat — zawsze ten sam: wygrywa mocniejszy, zyskuje biurokracja, traci obywatel.

Biurokracja opycha się kompetencjami, nadyma jak żaba z bajek Ezopa —tylko pęknąć, niestety, nie może. Może za to — i robi to z ekstazą i entuzjazmem męczenników — w nieskończoność omawiać. Słusznie przeto nasunąć się może potrzeba powołania specjalnej instancji, przeznaczonej tylko do omawiania spraw. Myśl zdaje się być znakomita i, co ważniejsze, świeża. Ale — niełatwo o nowe odkrycia. Bo oto okazuje się. że instytucja taka została już przewidziana i szczegółowo opisana:

„Urząd Omawiania był (jak powszechnie wiadomo) najważniejszym departamentem rządowym. Żadna sprawa publiczna jakiegokolwiek rodzaju nie mogła być kiedykolwiek załatwiona bez zgody Urzędu Omawiania. Kładł on swe palce do największego publicznego placka i do najmniejszego publicznego ciastka. Jednakową niemożliwością było zrobić coś oczywiście słusznego, lub nie zrobić czegoś oczywiście niesłusznego — bez wyraźnej zgody Urzędu Omawiania.

„Cokolwiek było do zrobienia, Urząd Omawiania stał na czele wszystkich urzędów publicznych w sztuce dostrzegania: Jak tego nie zrobić.

„Mechanicy, filozofowie natury, żołnierze, marynarze, petenci, pamiętnikarze, ludzie pokrzywdzeni, ludzie którzy chcieli przeciwdziałać krzywdom, ludzie którzy pragnęli wynagrodzić krzywdy, ludzie oszukujący, ludzie oszukani, ludzie którzy nie mogli być nagrodzeni za zasługi i ludzie którzy nie mogli być ukarani za przewinienia — wszyscy mieścili się bez dyskryminacji w papierach Urzędu Omawiania.

„Wielu ludzi ginęło w Urzędzie Omawiania. Nieszczęśliwi ze swymi krzywdami lub z projektami powszechnego dobrobytu, którzy po długim czasie i udrękach przebrnęli już szczęśliwie przez inne publiczne urzędy; którzy — zgodnie z regułą — byli nękani w jednych, okpieni w innych, unikani przez innych — na koniec trafiali do Urzędu Omawiania i nigdy nie wracali na światło dzienne. Referenci siedzieli nad nimi, sekretarze spisywali protokóły, komisarze zrzędzili, kanceliści rejestrowali, numerowali, wciągali na listy, sprawdzali i spławiali. Krótko mówiąc, wszystkie sprawy kraju przechodziły przez Urząd Omawiania, z wyjątkiem spraw, które nigdy stamtąd nie wychodziły; a imę ich było Legion".

Oto wizja znakomitego urzędu, rysująca się w wyobraźni Dickensa przed stu przeszło laty. Nie wiele zmieniło się od tego czasu. Przeszła cała epoka wiktoriańska, fin de siècle, pierwsza wojna światowa, era genewska, trwa druga wojna — ale „tryb urzędowania" pozostał nienaruszony.

Ciągle się coś uzgadnia, czemuś nadaje bieg urzędowy, jeszcze coś innego załatwia w drodze wydania dekretu. Gdyby tak można wszystko w tej drodze załatwić! Ustalić i w paragrafach uporządkować ścisłą datę początku (z dniem ogłoszenia, oczywiście) i końca kryzysu gospodarczego. Albo wydać zarządzenie, regulujące ilość wypadków księgosuszu na powiat, z karami za zwłokę w wykonywaniu „odnośnych postanowień". Albo wreszcie, wzorem systemu paragwajsko-jezuickiego, ustalić godzinę wykonywania obowiązków małżeńskich: na odgłos bijącego w tym celu dzwonu.

I, gdy już wszystko zostało ujęte w przepisy nienaganne pod względem formalnym, będzie można nareszcie pozbyć się zbędnego biurokracie balastu myślenia. Zamiast niego wystarczy rutyna, formularz, schemat i reguła Eugeniusza Oniegina, który "w uczonym sporze umiał zachować

milczenie". Wprawdzie co wytrawniejsi biurokraci i dzisiaj korzystają z tej genialnej recepty. Ale — zdarza się czasem, że trzeba i milczenie przełamać i nic nie powiedzieć.

Najprościej wtedy użyć innego chwytu, nieco może banalnego, lecz zawsze skutecznego. Jest nim tajemnica urzędowa — pojęcie elastyczne, jak podwiązka baletnicy z Bal Tabarin. Począwszy od godziny kiedy minister przychodzi do biura, kończąc na wiadomości że wróg przekroczył granice kraju: wszystko może być tajemnicą urzędową. Ujawnienie jej zależy od dobrego humoru biurokraty, od koloru krawatu, od ciśnienia barometrycznego, od sposobu zaciągnięcia się papierosem. Nieuchylenie rąbka tajemnicy jest jednak i łatwiejsze i dla biurokraty bardziej pożyteczne. Nadaje mu bowiem pozory kapłana wiedzy magicznej, wielkiego wtajemniczonego, strażnika pieczęci milczenia, zaklinacza wężów, a nade wszystko — człowieka niezastąpionego. A urobić sobie opinię niezastąpionego w urzędzie znaczy więcej, niż połowa powodzenia w szlachetnym zawodzie biurokraty.

Niekiedy jednak, gdy nawet abrakadabra tajemnicy urzędowej nie uchroni od wypowiedzenia własnego zdania, wychodzi na jaw dusza biurokraty. I wówczas materializują się trzy jej zasadnicze wcielenia.

Pierwsze — to biurokrata złośliwy. Cechuje się małpią złośliwością. Wyszukuje z uciechą tylko takie przepisy, które pozwolą mu odmownie załatwić każdą sprawę. Bez uczuć ludzkich, nie szuka sposobu dopomożenia obywatelowi, zresztą — on jest władzą która może wszystko. Więc też prośby natychmiast odrzuca z ukrytą, a częściej jawną radością.

Drugie — to biurokrata pokorny. Owszem, onby nawet i chciał, i rozumie, i przyznaje rację obywatelowi. I gdyby on był na miejscu obywatela, teżby inaczej nie postępował. I obiektywna słuszność jest po stronie obywatela. Ale — przepisy nie pozwalają. I szef będzie niezadowolony. A gdyby jeszcze kontrola się dowiedziała: mój Boże, cóż to byłaby za przykrość! A przecież — on ma żonę, on ma dzieci, on ma obowiązki. Więc, niestety, bardzo żałuje i przeprasza, lecz nie może.

Wariant trzeci: biurokrata chytry. Sprawa nie należy do jego kompetencji. Trzeba się naradzić, zwołać konferencję, dać do rostrzygnięcia szefowi. Byle nie powziąć decyzji, a zwłaszcza odpowiedzialności za nią nie ponosić. Niech tam już spadnie na kogo innego!

Oczywiście, mogą się też przytrafić okazy mniej czyste rasowo. Na przykład biurokrata chytry i pokorny; albo złośliwy i chytry. Objawiają się też niekiedy biurokraci-asceci, albo biurokraci-fantaści, albo biurokraci-romantycy. Ci jednak należą do wyjątków. Biurokratyczny podział biurokracji na te trzy klasyczne typy jest też i podziałem życiowym w krainie św. Biurokracego.

Ale...czy taki święty w ogóle istnieje? Obawiam się że nie, a nawet wątpię, czy biurokraci mają swojego w niebie patrona. Gdyby go nie mieli, to chciałbym postawić pewną kandydaturę na tę wakującą posadę orędownika.

Mianowicie, świętego Stefana. Tego ze starej angielskiej kolędy, który był „high official" na dworze Króla Heroda. Bardzo pięknie ta kolęda opisuje wzruszającą scenę, gdy święty Stefan wnosi na półmisku głowę dzika, ofiarowując ją Herodowi. Święty Stefan — to urzędnik; dzik — to obywatel; Król Herod — to Biurokracja.

A gdyby święty Stefan wstawił się istotnie u Opatrzności o objawienie dla kapłanów biurokracji, to możeby zesłał im jedno przykazanie:

STOSOWANIE ZDROWEGO ROZUMU NIE JEST W URZĘDACH ZAKAZANE.

TADEUSZ POTWOROWSKI

TAJEMNICZA PRZYGODA

W pewną księżycową noc londyńską wracałem do domu bardzo późno. Kiedy przechodziłem koło starego Hampsteadskiego kościoła zegar wybił właśnie godzinę 12-tą.

Wszedłem na ulicę Cmentarną, z prawej strony zamajaczyły białe grobowce i pomniki ustawione długimi szeregami.

Zatrzymałem się zapatrzony w to miasto umarłych, ręce moje ścisnęły żelazne pręty ogrodzenia, zimne i twarde. Myślałem z uporem o tym, że chciałbym ażeby jakiś duch przyszedł do mnie pogawędzić, byłoby to takie interesujące i niezwykłe.

Kiedy zajęty byłem tymi myślami usłyszałem za sobą ciche kroki i ktoś zatrzymał się obok mnie. Odwróciłem się i zobaczyłem człowieka który stał i patrzał na mnie. Światło księżyca padało na jego kapelusz, ale twarz pozostawała w cieniu, tylko oczy dziwnie błyszczały i z uporem wpatrywały się we mnie. Puściłem sztachety, trochę zawstydzony tym, że zostałem schwytany na moim romantycznym rozmyślaniu pod cmentarzem i skierowałem się w stronę domu.

Nieznajomy nic nie mówiąc zaczął iść za mną takimi samymi cichymi krokami. Zrobiło mi się dziwnie nieprzyjemnie, przyśpieszyłem kroku, ale nieznajomy przyśpieszył również. Ogarnął mnie wyraźny niepokój, dzielnica w której mieszkałem była dość odludna, a w nocy już zupełnie pusta. Zatrzymałem się nagle i odwróciłem, nieznajomy zatrzymał się również.

Staliśmy naprzeciw siebie i znów widziałem te świecące się oczy, które wpatrywały się we mnie. Tylko, że twarz nieznajomego była tym razem oświetlona z boku księżycowym blaskiem, który kładł się na załamującym się wielkim nosie, błyszczał niebieskawo na wystającej kości policzkowej i podkreślał spiczastość wygolonej brody.

Za nieznajomym widać było jakieś ruiny zbombardowanego domu, które ponurym konturem rysowały się na tle zimnego granatowego nieba.

„Czego pan chce? — zawołałem bardzo zdenerwowany, i podniecony, czując, że się stanie coś dziwnego.

Ale nieznajomy nie poruszył się, opuścił tylko głowę i zaczął mówić cichym i równym głosem, który brzmiał tak, jakby szedł do mnie z bardzo daleka, gdzieś z końca ulicy, z mgły i z mroku. To co mówił, było tak dziwne, że zapomniałem nagle, że stoję na ulicy w nocy i słucham jakiegoś nieznajomego przechodnia. Słowa jego przenikały wprost do mojej świadomości, dochodziły jakby od razu do najgłębszej jej części.

Trudno jest powtórzyć wszystko, co usłyszałem, ale będę się starał zrobić to jak najdokładniej, porządkując moje wspomnienia z tej tajemniczej nocy. Właściwie nie mogę sobie przypomnieć słów, nieznajomy wyrażał się w jakiś zupełnie inny sposób, niż zwykli ludzie, którzy ze słów budują zdania, które wyrażają pojęcia i myśli.

Nieznajomy operował od razu gotowymi pojęciami, które były zupełnie plastyczne i dochodziły do mojej świadomości wyraźnie i dokładnie, tak, że nie mogło być żadnej pomyłki w interpretacji. Nie potrzebowałem w ogóle wysilać się na to ażeby zrozumieć, wystarczyło, że miałem szeroko otwarte oczy.

Księżyc oświetlał każdą myśl nieznajomego swoim zimnym światłem, głębokie czarne cienie podkreślały formę z wielką dokładnoscią. O ile pamiętam niektóre myśli miały własne małe światełka wewnętrzne. Światełka te były żółtawe i patrzenie na nie sprawiało mi specjalną przyjemność.

Rozbawiony tym zdarzeniem wziąłem nieznajomego pod rękę i poszliśmy poprzez oświetlone księżycem ulice w kierunku parku Hampsteadskiego. Ulica którą szliśmy, stawała się coraz bardziej podmiejska, zamiast domów wyrastały po bokach drzewa, które stawały się coraz większe i wkrótce zakryły niebo swymi czarnymi poplątanymi gałęziami. Cienie rzucane przez potężne pnie były ciemno zielone i wilgotne, a od mokrej trawy szedł zimny powiew.

Na tle gęstniejącej ciemności alei widziałem o wiele wyraźniej myśli nieznajomego. Były one coraz to inne, a zawsze nieoczekiwane, odsłaniały tajemnice których istnienia nigdy nie podejrzewałem, niektóre z nich były tak wspaniałe, że zatrzymywałem się ażeby lepiej się im przyjrzeć.

Zdawałem sobie sprawę, że są one w gruncie rzeczy tylko fikcją i złudą, ale nie chciałem ich płoszyć, wolałem cieszyć się ich widokiem. Nagle załomotało coś w gałęziach, zaskrzeczało i wyskoczył z chaosu ciemnych konarów mały człowieczek z nożyczkami w ręku. Człowieczek zaczął szybko obcinać każdą ukazującą się myśl mego nowego przyjaciela. Robił to bardzo zręcznie, zaczynał od słabo oświetlonych brzegów, wycinał je w zygzaczki, zaginał brzegi, wywijał, prasował i po chwili z dziwnej myśli robił się jakiś papierowy ptaszek albo inny figielek i spadał z szelestem na ziemię, jakby jakiś spóźniony liść jesienny.

Zaniepokojony, zapytałem się mego towarzysza kim jest ten dziwny człowieczek.

Nieznajomy uśmiechnął się smutnie i wskazał mi na napis który ów osobnik miał na kołnierzu.

Napis był wyraźny, zrobiony czarnym tuszem na białym tle, litery były stylizowane, a brzmiał: „Sztuka w zastosowaniu praktycznym".

Skręciliśmy w inną aleję, człowieczek z nożyczkami zniknął w ciemności. Robiło się coraz zimniej, doszliśmy do jakiegoś zrujnowanego muru z którego powyrywano sztachety żelazne na potrzeby wojny. Za murem była wielka łąka nad którą unosiła się szaro-biała mgła. Jakieś dziwne zwierzęta przesuwały się po niej jak cienie, kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyłem, że było to stadko jeleni, a łąka zapewne częścią zwierzyńca królewskiego.

Staliśmy w pośrodku alei, a urok księżycowej nocy opanował nas zupełnie. Myśli mego tajemniczego przyjaciela stawały się coraz bardziej błyskotliwe, zapalały się jak jakieś niesamowite fajerwerki pomiędzy poplątanymi gałęziami drzew i odbijały się o nie z suchym trzaskiem.

Jelenie podniosły swoje zgrabne głowy i zaczęły przypatrywać się nam z niepokojem, nagle rzuciły się w ciemność nocy, widocznie spłoszone. Skok jeleni był tak gwałtowny, że rozdarł bladą mgłę i powstał w niej rodzaj czarnej dziury, podobny do wielkiej bramy.

Ledwie tętent jelenich kopyt ucichł w głębiach parku, kiedy w otworze tym zaczęło się coś powoli poruszać. W pierwszej chwili nie mogłem dokładnie zobaczyć co to było, gdyż księżyc zaszedł właśnie za chmurę i zrobiło się bardzo ciemno.

Jakaś szara postać wydostawszy się z ciemnego otworu we mgle, zaczęła powoli zbliżać się do nas. Kiedy księżyc wyszedł z poza chmur i oświetlił nocny pejzaż swym bladym światłem, zauważyłem, że ta dziwna osoba ma na sobie mnóstwo numerowanych guzików, bardzo starannie wyczyszczonych. Twarz jej była jakaś zupełnie pozbawiona wyrazu, linie i zmarszczki krzyżowały się na niej bezładnie i przypadkowo, nie wyrażając nic. Nie wiadomo było zupełnie z czego jest ta twarz zrobiona, była jakaś galaretowata i rozpływająca się. Wszystko do czego się ta postać zbliżała robiło się szare, rozpaczliwe i nudne.

Chciałem dowiedzieć się co to jest, nieznajomy nic nie mówiąc wskazał mi palcem na oczy zjawy bezbarwne i nic nie widzące; powtarzał się w nich bez końca jeden i ten sam wyraz: „Konwenans."

Odeszliśmy zniechęceni w głąb parku. Szeroka aleja skończyła się nagle, zamieniajac się w ścieżkę. Zaczęliśmy wspinać się pod górę, przeszliśmy koło małego jeziorka, którego czarna powierzchnia połyskiwała w świetle księżyca. Coraz więcej było krzaków koło nas, coraz trudniej było przedzierać się przez gąszcz, który bił mnie po twarzy mokrymi i ostrymi gałęziami.

Coś zatrzepotało się nad moją głową, zobaczyłem czarne nietoperze skrzydła i uczułem bolesne ukąszenie w szyję. Chciałem się bronić, oderwałem od siebie małe kosmate zwierzę i rzuciłem ze wstrętem na ziemię, ale nietoperzy było coraz więcej, napadały na mnie ze wszystkich stron.

Należały one zdaje się do gatunku nietoperzy biurokratycznych, były zorganizowane hierarchicznie i dobrze odżywione.

Nieopatrznie wkroczyłem na teren, który stanowił ich wyłączną własność.

Zacząłem biec przed siebie potykajac się o kamienie, nagle zobaczyłem, że ścieżka kończy się urwiskiem.

Pod moimi stopami była jakaś przepaść, której głębokości nie mogłem zrozumieć, ani objąć.

W dali widziałem migocące światełka i słyszałem jakiś gwizd, podobny do gwizdu lokomotywy, który rozpływał się we mgłach.

Nietoperze odleciały.

W pierwszej chwili nie mogłem zdecydować się co robić dalej, mój towarzysz zniknął, może zabłąkał się w gąszczu krzaków kiedy uciekaliśmy przed nietoperzami, a może po prostu powrócił do siebie na cmentarz.

Byłem zupełnie sam, w nieznanej mi okolicy, a przede mną znajdowała się niezbadana, ciemna przepaść.

Zmęczony usiadłem na brzegu urwiska i oparłem się plecami o drzewo.

Było zimno, schowałem ręce do kieszeni i podniosłem kołnierz od kurtki.

Wtedy to nastąpił zwrotny dzień w moim życiu. W kieszeni znalazłem długi kawał sznurka. Po krótkim namyśle przywiązałem do niego leżący na ścieżce kamień i otrzymałem w ten sposób rodzaj sondy.

Przyrządem tym, zacząłem badać nieznane i tajemnicze ciemności, które leżały pod moimi stopami.

Mam wrażenie że musiałem zasnąć zmęczony tymi poszukiwaniami.

Kiedy wschód słońca mnie obudził przekonałem się, że całą noc przepędziłem na ścieżce niedaleko od bramy mego własnego domu.

OD WYDAWNICTWA

Na skutek chwilowych i niespodziewanych trudności technicznych w naszych zakładach graficznych, spowodowanych warunkami wojennymi, zmuszeni byliśmy do wydania podwójnego zeszytu za marzec i kwiecień.

Aby jednak czytelnikom i prenumeratorom „NOWEJ POLSKI" stratę tę powetować, dokładamy wszelkich starań aby jeden z najbliższych numerów ukazał się w zwiększonej objętości i jesteśmy już na drodze uzyskania aprobaty władz brytyjskich, nadzorujących kontrolę obrotu papierem.

SPIS RZECZY

3/- Published by „Nowa Polska" 91 Great Titchfield Street London W 1 and Printed by JOHN BALE & STAPLES LIMITED (A STAPLES PRESS COMPANY) 83-91 Great Titchfield Street London W 1 **3/-**

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM III NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 6.

KSAWERY PRUSZYŃSKI
MARIA PAWLIKOWSKA
JULIAN TUWIM
MARIA KUNCEWICZOWA
ANTONI SŁONIMSKI
FLORIAN SOKOŁÓW
ZYGMUNT HAUPT
BOGUMIL ANDRZEJEWSKI
MARIAN CZUCHNOWSKI
PORUCZNIK HERBERT
MIECZYSŁAW PRUSZYŃSKI
JAN MROZOWICKI
OLGIERD GÓRKA
M. K. DZIEWANOWSKI
STEFAN ŁĘCZYC
ADAM KOSSOWSKI
KRZYSZTOF MUSZKOWSKI

LONDYN
CZERWIEC
1944